

AGATHA CHRISTIE

**TAJEMNICA SIĘDMIU  
ZEGARÓW**

**TŁUMACZYLI LESZEK ŚLIWA I ANNA PELECH  
TYTUŁ ORYGINAŁU: THE SEVEN DIALS MYSTERY**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY O WCZESNYM WSTAWANIU

Jimmy Thesiger, przemiły młodzieniec, zbiegał po szerokich schodach wiekowej rezydencji „Chimneys”. Pokonywał po dwa stopnie naraz z takim pośpiechem, że u stóp schodów omal nie zderzył się z Tredwellem, statecznym kamerdynerem, który przemierzał hall niosąc dzbanek gorącej kawy. Podziwu godny spokój i niezwykła zręczność Tredwella zdołały szczęśliwie zapobiec katastrofie.

— Przepraszam — rzucił Jimmy beztrasko. — Czy już wszyscy zeszli?

— Nie, proszę pana. Nie ma jeszcze pana Wade’a.

— No tak — rzekł Jimmy i podążył do jadalni. Pokój był pusty, jeżeli nie liczyć obecności pani domu, która obdarzyła młodzieńca spojrzeniem pełnym wyrzutu. Jimmy poczuł się nieswojo. Podobnego wrażenia doświadczał, ilekroć napotkał wzrok martwego dorsza na wystawie w sklepie rybnym. Do diabła, czemu ta kobieta tak na niego patrzy? W końcu kto to słyszał, żeby podawać śniadanie punktualnie o dziewiątej trzydzieści? I to mają być miłe wywczasy w uroczej wiejskiej rezydencji? Wprawdzie jest kwadrans po jedenastej, ale i tak...

— Obawiam się, że nieco zasnęłam, lady Coote — usprawiedliwił się.

— Och, nic nie szkodzi — westchnęła lady Coote z nutką melancholii w głosie.

Przyznać należy, że nic nie wytrącało jej z równowagi bardziej niż ludzie, którzy spóźniają się na śniadanie. Przez pierwsze dziesięć lat małżeństwa sir Oswald Coote (wtedy jeszcze zwyczajny pan Coote) czynił jej wyrzuty, ilekroć ranny posiłek podano choć pół minuty później niż o ósmej. Lady Coote przez te wszystkie lata przyzwyczała się traktować niepunktualność jak śmiertelny grzech. A powszechnie wiadomo, że przyzwyczajenie bywa drugą naturą człowieka. Ponadto, będąc kobietą nad wyraz dobroduszną, często zadawała sobie pytanie, jak ci młodzi ludzie będą kiedykolwiek w stanie dojść do czegoś, skoro nie potrafią zmusić się do wczesnego wstawania. Sir Oswald często podkreślał w swych wypowiedziach dla prasy, a nawet w rozmowach w gronie znajomych, że swoje osiągnięcia zawdzięcza tylko i wyłącznie skromnemu życiu i dobroczyнным skutkom wczesnego wstawania.

Lady Coote była kobietą o obfitych kształtach i o twarzy, na której malował się ból istnienia. Miała wielkie, smutne oczy i dojmująco głęboki, niski głos. Artysta szukający modelki do Racheli oplakującej swe dzieci na jej widok niewątpliwie zapiałby z zachwytem, zaś reżyser melodramatu z radością przyjąłby ją do roli skrzywdzonej żony brnącej przez głębokie śniegi w ucieczce przed mężem łajdakiem.

Postronny obserwator patrząc na lady Coote wysnułby przypuszczenie, iż na dnie swej duszy kryje ona jakiś przeraźliwie smutny sekret. Prawdę powiedziawszy, jedynym problemem, który trapił tę poczciwą niewiastę, był sir Oswald, który niczym gwiazda rozbłysnął w sferach finansjery. W młodości była przemiłym, tryskającym optymizmem stworzeniem zakochanym po uszy w Oswaldzie Coote’ie. Ten młody, pełen aspiracji chłopiec pracował w sklepie z rowerami znajdującym się tuż obok magazynu jej ojca. Po ślubie Coote’owie pędzili wesoły żywot w skromnym, wynajętym mieszkanku. Wkrótce przenieśli się do niewielkiego domku, potem większego domu, potem zaś zamieszkiwali niezliczone domostwa, kamienice i tym podobne, zawsze jednak w pobliżu huty. Teraz jednak, kiedy osiągnął tak pokaźny stan konta, że mógł się wreszcie jako tako uniezależnić od huty, sir Oswald czerpał przyjemność z wynajmowania największych i najwspanialszych posiadłości w Anglii. „Chimneys” było miejscem, gdzie o historię można się było potknąć na każdym kroku, więc siłą rzeczy sir Oswald nie potrafił oprzeć się pokusie i odnajął rezydencję na dwa lata od markiza Caterham. Jego ambicje póki co były zaspokojone.

Lady Coote, przynajmniej to otwarcie, nie podzielała ambicji męża. Czuła się samotna. Od niepamiętnych czasów jedyną radością rozświetlającą jej szarą egzystencję u boku męża były rozmowy ze służbą. Nawet teraz, po latach, kiedy liczba usługujących jej osób rosła w zastraszającym tempie, lady Coote z namiętnością oddawała się temu zajęciu, mimo że tak naprawdę, pośród tej rzeszy roztrzepanych pokojówek, czuła się niczym rozbitek na bezludnej wyspie. Przerazał ją kamerdyner o manierach arcybiskupa, kucharz z obcym akcentem, potężna gospodyni, pod której stopami deski podłogi trzeszczały przeraźliwie...

Westchnęła ciężko i odpłynęła niczym zjawa przez otwarte drzwi tarasu ku niepomiernej uldze Jimmy'ego Thesigera, który skwapliwie skorzystał z okazji i sięgnął po następną porcję wymienionych nerek.

Lady Coote stała przez chwilę na tarasie przybrawszy pozę tragiczną, po czym zebrała się na odwagę, by zamienić parę słów z MacDonaldem, głównym ogrodnikiem, który z miną udzielnego władcy lustrował właśnie swe włości. MacDonald był zaiste księciem pośród ogrodników. Jego obowiązkiem było rządzić i należy przyznać, że czynił swą powinność skutecznie, jak przystało na despotę.

Lady Coote nieśmiało dała znać o swej obecności.

— Dzień dobry, MacDonald.

— Dzień dobry, jaśnie pani.

Mówił z powagą i dostojeństwem, jak cesarz na pogrzebie.

— Zastanawiam się, czy nie można by zerwać trochę winogron na dzisiejszy podwieczorek?

— Muszą jeszcze trochę dojrzeć — odparł MacDonald grzecznie, lecz z naciskiem.

— Ach, tak — rzekła lady Coote, po czym niepewnym głosem dorzuciła: — Wczoraj zajrzałam do szklarni. Spróbowałam trochę i wydawały się w sam raz.

MacDonald spojrział na nią tak, że aż poczerwieniała ze wstydu. Miała wrażenie, że popełniła niewybaczalny grzech. Najwyraźniej nieboszczce markizie Caterham przez myśl by nie przeszło dopuścić się podobnej niestosowności.

— Gdyby jaśnie pani rzekła słówko, kazałbym ściąć kiść i dostarczyć jaśnie pani przez Tredwella — rzucił MacDonald z wyrzutem.

— Och, dziękuję — powiedziała lady Coote. — Następnym razem tak właśnie zrobię.

— Ale i tak muszą jeszcze trochę dojrzeć.

— No cóż — wymamrotała lady Coote — w takim razie obędziemy się bez winogron.

MacDonald milczał taktownie. Lady Coote postanowiła raz jeszcze zebrać się na odwagę.

— Zamierzałam porozmawiać z wami na temat trawnika na tyłach ogrodu różanego. Zastanawiam się, czy nie można by go użyć do gry w kręgle. Sir Oswald bardzo lubi grać w kręgle.

„W końcu cóż w tym złego?” — dodała w duchu. Z lekcji historii pamiętała, że sir Francis Drake również grywał w kręgle ze swymi znamienitymi przyjaciółmi. Wszak wiadomość o Armadzie dotarła do niego, właśnie kiedy oddawał się tej szlachetnej grze. Niewątpliwie było to więc zajęcie godne gentlemana i nawet MacDonald nie będzie miał nic przeciwko temu. Nie wzięła jednak pod uwagę dominującej u każdego dobrego ogrodnika cechy, jaką jest odrzucanie wszelkich czynionych mu sugestii.

— Raczej się do tego nie nadaje — odparł MacDonald niezobowiązująco.

Lady Coote nie zdawała sobie sprawy, że brnie w zastawioną podstępnie pułapkę.

— A gdyby go tak nieco przyszczyć i... no... uprzętnąć? — ciągnęła z nadzieją.

— Niby tak — cedził MacDonald. — To by się dało zrobić. Ale wtedy musiałbym ściągnąć Williama z dolnego skraju.

— Ach, tak — odparła skonfundowana lady Coote. Wprawdzie termin „dolny skraj” nic jej nie mówił, ale dla MacDonalda najwyraźniej wiązał się on z przeszkodą nie do pokonania.

— A to by było przecież nierozsądne... — dorzucił ogrodnik.

— No tak, rzeczywiście nierozsądne — przytaknęła skwapliwie, sama nie wiedząc, czemu tak łatwo się zgodziła.

MacDonald zmierzył ją wzrokiem.

— Naturalnie — ciągnął — jeżeli takie jest jaśnie pani życzenie...

Tu urwał, ale lady Coote przestraszona groźnym tonem jego głosu natychmiast skapitulowała.

— Och, nie — rzekła. — Doskonale rozumiem. Niech William pozostanie przy dolnym skraju.

— Święte słowa, jaśnie pani.

— No tak — bąknęła lady Coote.

— Wiedziałem, że jaśnie pani się zgodzi.

— No tak — powtórzyła lady Coote. MacDonald uchylił kapelusza i odszedł.

Lady Coote ciężko westchnęła spoglądając za odchodzącym ogrodnikiem. Jimmy Thesiger, z żołądkiem pełnym bekonu i nerek, stanął obok niej na tarasie i również westchnął, chód, dodajmy, z innych zgoła pobudek.

— Klawa pogoda — zagadnął.

— Słucham? — lady Coote spojrzała na niego nieobecny wzrokiem. — Och, tak, rzeczywiście. Nie zwróciłam uwagi.

— A gdzie reszta towarzystwa? Zbijają bąki nad jeziorem?

— Tak przypuszczam. Wcale by mnie to nie zdziwiło. Lady Coote odwróciła się na pięcie i wróciła do jadalni. Tredwell stał przy stole zajęty studiowaniem czajniczka do kawy.

— Mój Boże! Czy pan... jak mu tam, pan...

— Wade, milady?

— Wade, no właśnie. Jeszcze go nie ma?

— Nie, milady.

— Już późno.

— Tak, milady.

— Mój Boże! Mam nadzieję, Tredwell, że w końcu zaszczyci nas swą obecnością.

— Niewątpliwie, milady. Wczoraj pan Wade wstał o jedenastej trzydzieści.

Lady Coote zerknęła na zegar ścienny. Pokazywał za dwadzieścia dwunastą. Ogarnięta nagłym współczuciem rzekła:

— To musi być strasznie kłopotliwe, prawda? Sprzątnąć to wszystko i zdążyć na pierwszą z lunchem.

— Przywykłem już do manier dzisiejszej młodzieży, milady.

W tym dystygowanym stwierdzeniu kryła się nagana. W podobny sposób zapewne biskup wyrzucałby barbarzyńcy nieumyślne bluźnierstwo.

Twarz lady Coote po raz drugi tego poranka pokryła się rumieńcem. Szczęśliwie w tymże momencie otwarły się drzwi i do jadalni wszedł poważny młodzieniec w okularach.

— Aaa, tu pani jest, lady Coote. Sir Oswald pyta o panią.

— Już idę, panie Bateman.

I pośpieszyła w stronę hallu.

Rupert Bateman, osobisty sekretarz sir Oswalda, ruszył w stronę otwartych drzwi tarasu i pograżonego w błogim nieróbstwie Jimmy'ego Thesigera.

— Witaj, Pongo — rzucił Jimmy. — Zdaje mi się, że wypadałoby poszukać tych przeklętych dziewczyn i spełnić towarzyski obowiązek. Idziesz ze mną?

Bateman zaprzeczył ruchem głowy i podążył tarasem do biblioteki. Jimmy posłał w ślad za nim pobłażliwy uśmiešek. Obaj młodzieńcy uczęszczali niegdyś do tej samej szkoły i z tych czasów pochodziło owo przezwisko, którym ktoś obdarzył Batemana z bliżej nie wyjaśnionych powodów.

Pongo, zdaniem Jimmy'ego, nie zmienił się wiele od szkolnych czasów i pozostał takim samym osłem, jakim był podówczas. Wszystkie slogany w rodzaju „bez pracy nie ma kołaczy” były, jak się zdaje, wymyślone specjalnie z myślą o nim.

Jimmy ziewnął i ruszył niespiesznie w stronę jeziora. Dziewczęta rzeczywiście już tam były, cała trójka, nic nadzwyczajnego. Dwie miały czarne włosy przycięte na pazia, trzecia, również krótko obcięta, w odróżnieniu od koleżanek była blondynką. Ta, która najczęściej i najgłośniej chichotała, zwała się (jeśli dobrze pamiętał) Helen, druga — Nancy, na trzecią zaś wołano, nie wiedzieć czemu, Socks. Obok stali dwaj koledzy Jimmy'ego, Bill Eversleigh i Ronny Devereux, obaj zatrudnieni w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, choć, zdaniem Jimmy'ego, było z nich tam mniej pożytku niż z obrazów na ścianie gabinetu.

— Jimmy! Dzień dobry — powiedziała Nancy (a może Helen?). — A gdzie jest ten... jak mu tam?

— Tylko mi nie mów — dodał Bill Eversleigh — że Gerry Wade jeszcze nie wstał. Na miłość boską, trzeba coś zrobić z tym chłopakiem.

— Jak tak dalej pójdzie — zauważył Ronny Devereux — to biedny Gerry prześni nie tylko śniadanie, ale i lunch. Jak już zdoła zwlec się z łóżka, będzie musiał zadowolić się herbatą.

— Taki wstyd! — rzuciła Socks. — Lady Coote tak się niepokoi. Sprawia wrażenie kwoki, która chciałaby znieść jajko, a nie może!

— Chodźcie, chłopaki — podsunął Bill — ściągniemy go z łóżka! Idziesz, Jimmy?

— Och, tak nie można. Trzeba bardziej subtelnie — zaprotestowała dziewczyna zwana Socks. Najwyraźniej kochała się w słowie „subtelnie”, bo używała go przy lada okazji.

— Daleko mi do subtelności — rzekł Jimmy. — Nie potrafię być subtelny.

— Słuchajcie, obmyślmy jakiś dowcip, co? — podrzucił Ronny. — Obudzimy go o siódmej. Pomyślcie tylko! Gerry schodzi na dół o siódmej rano! Służba otwiera gęby z wrażenia. Tredwell gubi swoje fałszywe bokobrody i upuszcza dzbanek z kawą. Lady Coote dostaje hysterii i mdleje prosto w ramiona Billa. Sir Oswald wykrzykuje „Ha!” i stał na giełdzie podskakuje o pięć procent. Co wy na to?

— Nie znasz Gerry'ego — odparł Jimmy. — Przyznaję, że zimna woda mogłaby go ewentualnie obudzić, oczywiście umiejętnie zaaplikowana. Ale on obróciłby się tylko na drugi bok i znowu zasnął.

— Może znajdziemy jakiś inny sposób, coś bardziej subtelnego niż zimna woda? — rzekła Socks.

— Ba, ale jaki? — spytał Ronny. Nikt jakoś nie pospieszył z propozycją.

— Coś trzeba wymyślić — rzekł Bill. — Kto tu ma najwięcej pomysłu?

— Pongo — odparł Jimmy. — Właśnie nadchodzi, jak zwykle w pośpiechu. Pongo zawsze miał łeb. To jego przekleństwo, z którym boryka się biedak od wczesnego dzieciństwa. To jak, wciągamy go do spisku?

Bateman wysłuchał cierpliwie całej tej nieskładnej paplaniny, choć przez cały czas sprawiał wrażenie człowieka, który ma ważniejsze sprawy na głowie. Gdy wreszcie dopuścili go do głosu, bez chwili zastanowienia podrzucił im rozwiązanie.

— Proponowałbym budzik — zaopiniował. — Sam go używam, by nie zaspać. Wprawdzie służący przychodzi rano z herbatą, ale robi to tak cicho, że wolę dla pewności zaufać wypróbowanym metodom.

I pospieszył do swoich obowiązków.

— Budzik, też coś — Ronny pokręcił głową. — Na Gerry'ego potrzeba co najmniej tuzin budzików.

— A niby czemu nie? — podchwycił Bill skwapliwie. — Sądzę, że trzeba skoczyć do miasteczka i niech każde z nas zakupi po budziku.

Rozbawione towarzystwo z ochotą przystało na tę propozycję. Bill i Ronny poszli wyprowadzić samochody z garażu, a Jimmy został wysłany do jadalni na przeszeptki. Po chwili wrócił.

— Siedzi tam i nadrabia stracony czas pożerając grzanekę z marmoladą. Trzeba odwrócić jego uwagę, bo inaczej zechce jechać razem z nami.

Zdecydowano, że najlepiej będzie wciągnąć w spisek lady Coote. Jimmy, Helen i Nancy odciągnęły ją na bok i wtajemniczyli w szczegóły. Lady Coote była nieufna.

— Figiel? No dobrze, moi drodzy, postaram się go tutaj zatrzymać, ale, na miłość boską, bądźcie ostrożni. Nie polewajcie go zbyt obficie, żeby nie uszkodzić politurę. Wiecie, że w przyszłym tygodniu musimy oddać ten dom w nienaruszonym stanie. Nie chciałabym, żeby lord Caterham pomyślał...

Bill, który właśnie wrócił z garażu, przerwał jej w pół zdania.

— Proszę się nie obawiać, lady Coote. Bundle Brent, córka lorda Caterhama, jest moją dobrą znajomą. To bardzo miła i wyrozumiała osobka. Poza tym załatwimy to bez uciekania się do drastycznych środków. To będzie czysta robota.

— Subtelna — dorzuciła dziewczyna zwana Socks.

Lady Coote odeszła wolnym krokiem. Z jadalni wyłonił się Gerald Wade. Jeśli Jimmy Thesiger był chłopcem ślicznym niczym cherubin, o Geraldzie można by jedynie powiedzieć, iż był, o ile to możliwe, jeszcze bardziej cherubinowaty. Jego twarz była tak pusta i pozbawiona wyrazu, że w porównaniu z nią nawet Jimmy zdawał się człowiekiem wielkiego rozsądku i wnikliwości.

— Dzień dobry, lady Coote — rzekł Gerald. — Gdzie są wszyscy?

— Pojechali do miasteczka.

— Po co?

— Planują chyba jakiś figiel — oznajmiła milady melancholijnie.

— Figiel? Tak wcześnie rano?

— Wcale nie jest tak wcześnie rano — zauważyła lady Coote z naciskiem.

— Zdaje się, że spóźniłem się trochę na śniadanie — wyznał Gerald Wade z rozbrajającą szczerością. — To dziwne, ale ilekroć gdzieś nocuję, zawsze schodzę rano ostami.

— Bardzo dziwne — zgodziła się lady Coote.

— Nie wiem, dlaczego tak się dzieje — zastanawiał się Gerald. — Nie mam pojęcia, naprawdę.

— Dlaczego po prostu nie wstanie pan rano? — zasugerowała lady Coote.

— Och! — zawołał Gerald. Prostota tego rozwiązania zbiła go trochę z tropu.

Lady Coote kuła żelazo póki gorące.

— Sir Oswald zawsze powtarza, że nie ma nic lepszego dla młodego gentlemana niż punktualność.

— Zgadza się w zupełności — odparł Wade. — I muszę pani powiedzieć, że w domu staram się wstawać wcześnie. Prawdę mówiąc nie mam innego wyjścia. W starym, pocziwym ministerstwie chcą, bym przychodził o jedenastej. Proszę nie myśleć, lady Coote, że ze mnie zawsze taki leniuch. Ale, jeśli można zmienić temat, trzeba przyznać, że tam w dolnym skraju ma pani prześliczne kwiaty. Nigdy nie wiem, jak się nazywają, te fiołkowe jak im tam. U nas w domu mamy takie same, moja siostra jest wielką znawczynią. Wprost uwielbia swój ogródek.

Na wspomnienie o ogrodzie lady Coote przypomniała sobie o urazie.

— Trzymacie ogrodników?

— Tylko jednego. To stary dziwak. Trochę przyglupi, ale robi, co każą. A w końcu o to chodzi, prawda?

Lady Coote przytaknęła z uczuciem, niczym pierwszej wody artystka dramatyczna. Rozmowa zesłała na temat cech idealnego ogrodnika.

Tymczasem nasza ekspedycja dotarła do miasteczka i ruszyła do szturm na jedyny w okolicy sklepik. Nagły i nieoczekiwany popyt na budziki wprawił właściciela przybytku w niepomierne zdumienie.

— Szkoda, że nie ma tu z nami Bundle — perorował Bill. — Znasz ją, Jimmy? Mówię ci, z miejsca byś ją polubił. Wspaniała dziewczyna i w dodatku rozsądna. Ronny, znasz Bundle Brent?

Ronny zaprzeczył ruchem głowy.

— Niemożliwe! Nie znasz Bundle? Gdzieś ty się bracie do tej pory uchował? Mówię ci, chłopie, pierwszorzędna babka.

— Co za brak subtelności — wtrąciła Socks. — Bill, przestań wreszcie rozprawiać o swoich przyjaciółkach. Nie po to tu przyszliśmy.

Pan Murgatroyd, właściciel Składu Murgatroyda, okazał się nad wyraz elokwentny.

— Jeśli panią pozwoli, odradzałbym raczej ten tańszy. To dobry zegareczek, nie powiem, ale sam wybrałbym ten za dziesięć. Niewiele droższy, ale za to absolutnie niezawodny. Markowy, panią rozumie...

Po chwili stało się oczywiste, że pana Murgatroyda należy po prostu wyłączyć jak trzeszczące radio.

— Nie chcemy niezawodnego zegarka — rzekła Nancy.

— Wystarczy, jak wytrzyma do jutra rano — poparła ją Helen.

— Żadnych subtelności — dodała Socks. — Byleby tylko głośno dzwonił.

— I żeby... — zaczął Bill, ale nie dane mu było skończyć, bo Jimmy zdołał wreszcie rozwikłać skomplikowany mechanizm. Przez następne pięć minut mały sklepik trząsał się w posadach od przeraźliwego dźwięku kilkunastu budzików.

Po krótkiej debacie wybrano sześć najgłośniejszych.

— Wezmę jeszcze jeden dla Pongo — rzekł. Ronny szarmancko. — W końcu to jego pomysł i nieładnie by było wykluczać go z zabawy. Jego osoba będzie godnie reprezentowana.

— Racja — powiedział Bill. — Ja też kupię jeden dla lady Coote. Im więcej, tym weselej. Bez niej nie poszłoby tak łatwo. Biedny Gerry pewnie ma już po uszy jej gadania.

W rzeczy samej lady Coote w owej chwili z entuzjazmem dzieliła się z Gerrym informacjami o MacDonalddie i o brzoskwini, która dostała złoty medal na konkursie.

Budziki zostały zapakowane, opłata uiszczona. Pan Murgatroyd obserwował odjeżdżające samochody nie rozumiejąc ni krztyny z tego, co przed chwilą miało miejsce w jego sklepie. Ech, ta młodzież, ta młodzież. Pełni werwy, owszem, choć ciężko ich zrozumieć. Sklepiarz z ulgą powitał żonę pastora, która przyszła w poszukiwaniu niekapiącego imbryczka.

## ROZDZIAŁ DRUGI W SPRAWIE BUDZIKÓW

— Pytanie tylko, gdzie je ustawić?

Po kolacji gromadka konspiratorów jeszcze raz była zmuszona poprosić lady Coote o współudział w spisku. Niespodzianie z pomocą przyszedł sir Oswald proponując partyjkę brydża, chód może „propozycja” nie byłaby tu właściwym słowem. Szacowny magnat przemysłu ciężkiego po prostu raczył wyrazić swą intencję, która przez zebranych wokół przyjęta została z entuzjazmem.

Sir Oswald grał w parze z Rupertem Batemanem przeciwko lady Coote i Geraldowi. Udział tego ostatniego w .wieczornej rozgrywce niepomrotnie ucieszył naszych spiskowców. Jak we wszystkim co robił, również w brydżu sir Oswald był perfekcjonistą kładącym szczególny nacisk na kooperację, zaś Bateman podchodził do gry dokładnie tak, jak do całej reszty swych obowiązków: sprawnie i kompetentnie. Obaj partnerzy stanowili zgrany zespół i podczas rozgrywki ograniczali się jedynie do niezbędnych uwag w rodzaju: „dwa bez atu”, „kontra”, lub też „trzy piki”. Lady Coote i Gerald Wade byli dla odmiany bardzo rozmowni i przez cały czas wymieniali liczne grzeczności. Młody człowiek, jak przystało na gentlemana, po każdej zwycięskiej lewie obsypywał swą partnerkę wyrazami podziwu dla jej wspaniałej gry. Lady Coote przyjmowała owe komplementy z lekkim zakłopotaniem, ale wyraźnie schlebiały jej manieri Geralda. Dodajmy jedynie, iż mieli wiele szczęścia w kolejnych rozdaniach.

Reszta towarzystwa oświadczyła, że zamierzają udać się do, sali balowej i spędzić wieczór na tańcach przy radiu. Naturalnie była to jedynie wymówka. Tak naprawdę stali stłoczeni na piętrze pod drzwiami sypialni Geralda. W mrocznym korytarzu rozlegały się przytłumione chichoty i głośne tykanie zegarków.

— W rzędzie pod łóżkiem — zaproponował Jimmy w odpowiedzi na pytanie Billa.

— A na którą godzinę? To znaczy tak, żeby zadzwoniły wszystkie naraz, czy jeden po drugim?

Przez chwilę trwała zażarta dyskusja. Jedni argumentowali, że na takiego śpiocha trzeba połączonych sił ośmiu budzików. Inni optowali za ciągłym i długotrwałym bodźcem.

W końcu zwyciężyła druga propozycja. Budziki zostały nastawione tak, by dzwoniły jeden po drugim, począwszy od szóstej trzydzieści.

— Mam nadzieję — rzekł Bill — że to go nauczy rozumu.

Właśnie mieli zabrać się za ustawianie budzików pod łóżkiem, gdy stojący na czatach Jimmy podniósł alarm.

— Pst, ktoś tu idzie!

Wybuchła panika.

— W porządku — rzekł Jimmy po chwili. — To tylko Pongo.

Korzystając z tego, że był „dziadkiem”, Bateman wybrał się do swojego pokoju po chusteczkę. Zatrzymał się w korytarzu, objął spojrzeniem całą scenę, po czym wydał krótką, acz rzeczową opinię.

— Usłyszysz jak cykają, kiedy pójdzie spać. Konspiratorzy spojrzeli po sobie stropieni.

— A nie mówiłem? — rzucił Jimmy nabożnie i z podziwem. — Pongo ma łeb!

Właściciel łba zniknął w swej sypialni.

— Faktem jest — przyznał Ronny Devereux marszcząc brwi — że te budziki hałasują jak diabli. Poczciwy Gerry jest matolem, ale nie aż takim, żeby ich nie usłyszeć. Wszystko na nic.

— Nie wydaje mi się, żeby naprawdę był — rzekł Jimmy.

— Żeby co był?



— Żeby był takim matolem, za jakiego go uważamy. Ronny spojrział na niego z politowaniem.

— Nie przesadzaj. Wszyscy znamy Gerry'ego.

— Czyżby? — zapytał Jimmy. — Czasem sobie myślę, czy to możliwe, żeby Gerry był aż takim matolem, jakiego udaje.

Wszyscy spojrzeli na Jimmy'ego. Ronnie przybrał poważną minę.

— Jimmy — powiedział. — Ty to masz łeb!

— Drugi Pongo — dodał Bill z uznaniem.

— Nic takiego. Po prostu się zastanawiałem i tyle — bronił się Jimmy.

— Zostawmy te subtelności! — rzuciła Socks. — Co zrobimy z tymi budzikami?

— Pongo wraca — szepnął Jimmy. — Spytajmy, co o tym sądzi.

Pongo uległ naleganiom i ponownie użył swego sławnego łba.

— Poczekać, aż zaśnie. Wtedy po cichu wejść do pokoju i ustawić budziki pod łóżkiem.

— Pongo jak zwykle ma rację — rzekł Jimmy.

— Dobrze, kochani, a teraz każdy idzie schować swój budzik. Za minutę wszyscy spotykamy się tutaj i idziemy na dół rozwiać ewentualne podejrzenia.

W salonie brydż szedł pełną parą. Trochę wcześniej nastąpiła zmiana partnerów. Sir Oswald grał ze swoją żoną i bezustannie wytykał jej błędy w zagrywkach. Lady Coote przyjmowała wyrzuty męża ze stoickim spokojem i wyraźnie traciła zainteresowanie tym, co działo się na stoliku. Co rusz powtarzała:

— Tak, kochanie. Masz zupełną rację. I co rusz popełniała te same błędy.

Gerald Wade z kolei co chwila rzucał wesoło do partnera uwagi w stylu: — Doskonały wist, przyjacielu.

Bill Eversleigh czynił na boku obliczenia, którymi dzielił się z Ronnym Devereux.

— Powiedzmy, że pójdzie spać o dwunastej. Damy mu z godzinę, co? Jak sądzisz?

Po czym ziewnął.

— Ciekawa rzecz — ciągnął. — Normalnie nie kładę się spać przed trzecią rano, a dzisiaj, pewnie dlatego, że muszę czekać, aż Gerry pójdzie lulu, najchętniej już teraz bym się położył.

Wszyscy pokiwali głowami na znak, że czują dokładnie to samo.

— Mario, moja droga — głos sir Oswalda krył nutkę zirytowania. — Tyle razy ci powtarzałem, żebyś nie zastanawiała się tak długo, jak zamierzasz impasować. W ten sposób zdradzasz wszystkim, co masz na ręku.

Lady Coote miała w zanadrzu doskonałą ripostę. Wszak sir Oswald będąc „dziadkiem” nie miał prawa komentować rozgrywki. Miał się jednak odezwać, uśmiechnęła się rozbijając i pochyliła swe obfite kształty nad stolikiem. Bezceremonialnie rzuciła okiem w karty Geralda, który siedział po jej prawej stronie.

Odetchnęła z ulgą, dostrzegając w jego ręku damę. Dorzuciła waleta i po wygranej lewie wyłożyła resztę kart na stół.

— Cztery jest cztery — oznajmiła radośnie. — Partia i rober. Nie sądziłam, że uda się wziąć tę czwartą, ale wygląda na to, że mam dzisiaj szczęście.

Gerald Wade odsunął krzesło, podziękował za grę i dołączył do młodzieży, która grzała się przy kominku.

— Ona to nazywa szczęściem! — mruknął. — Mówię wam, tę babę trzeba przywiązywać do oparcia!

Lady Coote zgarnęła ze stołu kupkę bilonu.

— Wiem, że nie jestem dobrym graczem — rzekła z udanym smutkiem, choć widać było, iż jest niezwykle dumna z siebie. — Ale wygląda na to, że mam szczęście w kartach.

— Uważam, Mario, że z ciebie nigdy nie będzie brydżystka — rzucił sir Oswald z przekąsem.

— Masz rację, mój drogi — odparła lady Coote. — Wiem, że nie będę, zawsze mi to mówisz. Ale przynajmniej się staram.

— Pewnie, że się stara — skomentował Gerald Wade sotto voce. — Mało sobie karku nie wykręci.

— Cóż z tego, moja droga, że się starasz. Do brydża trzeba mieć wycucie.

— Wiem, wiem. Ciągłe to powtarzasz. Ale, ale, Oswaldzie. Jesteś mi winien jeszcze dziesięć szylingów.

— Tak? — sir Oswald wyglądał na zaskoczonego.

— Siedemnaście punktów, prawda? To daje osiem funtów i dziesięć szylingów, jeśli się nie mylę.

— Przepraszam. Mój błąd.

Lady Coote z uśmiechem zainkasowała brakującą kwotę. Kochała męża, ale za nic nie dałaby się oszukać na dziesięć szylingów.

Sir Oswald podszedł do barku i zaproponował gościom po szklaneczce whisky z wodą sodową. Zanim wreszcie towarzystwo rozeszło się na spoczynek, dochodziło wpół do pierwszej.

Ronny Devereux, który zajmował pokój obok sypialni Geralda, został oddelegowany do śledzenia rozwoju sytuacji. Za piętnaście drugą uznał, że już pora, i obszedł korytarz pukając cicho do drzwi konspiratorów. Grupka spiskowców zebrała się po chwili odziana w piżamy i szlafroki, wśród szeptów i chichotów.

— Światło w pokoju zgasło dwadzieścia minut temu — wyszeptał Ronny chrapliwie. — Już zaczynałem myśleć, że nigdy nie pójdzie spać. Przed chwilą zajrzałem tam i sędzę, że śpi jak zabity. Co robimy?

Sprawdzono, czy wszystkie budziki zostały należycie nakręcone. W trakcie tej czynności wynikła kolejna trudność.

— Nie możemy tam wszyscy wejść. Za dużo hałasu. Trzeba wysłać jedną osobę, a zegarki będziemy podawać od drzwi, po jednym.

Powstała dyskusja, kto ma być tym wybranym.

Dziewczęta odrzucono z miejsca, gdyż istniała obawa, iż mogłyby parsknąć śmiechem w krytycznym momencie. Bill Eversleigh uznany został za zbyt ciężkiego i niezdarnego, co z kolei spotkało się z protestami ze strony zainteresowanego. Rozważano kandydatury Jimmy'ego i Ronny'ego, w końcu jednak znakomitą większością głosów wyznaczono Ruperta Batemana.

— Pongo się nadaje — zgodził się Jimmy. — Chodzi jak kot. I w przypadku, gdyby Gerry się obudził, Pongo na pewno zdoła wymyślić jakąś przekonującą historyjkę. Coś, co uśpi jego podejrzenia.

— Coś subtelnego — podsunęła Socks po namyśle.

— Dokładnie — rzucił Jimmy.

Pongo zrobił swoje jak należy, sprawnie i dokładnie. Otworzył cicho drzwi sypialni Wade'a i zniknął w mroku dzierząc dwa budziki. Po chwili wrócił i wyciągnął ręce po dwa następne. Obrócił jeszcze dwa razy, po czym wyszedł. Zanim zamknięto drzwi, nasi spiskowcy stali wstrzymując oddechy i nasłuchując. Rytmiczny oddech Geralda Wade'a utonął zagłuszony triumfalnym i bezdusznym tykaniem ośmiu budzików pana Murgatroyda.

## ROZDZIAŁ TRZECI NIEUDANY FIGIEL

— Już dwunasta — oznajmiła Socks z rozpaczą w głosie.

Żart raczej się nie udał. Budziki natomiast wypełniły swoje zadanie doskonale. Rozdzwoniły się z taką mocą i wigorem, że Ronny Devereux wyskoczył z pościeli w przekonaniu, że nadszedł oto Dzień Sądu. Jeżeli wywołały taki efekt w sypialni obok, to co działo się w pokoju ofiary? Ronny wybiegł na korytarz i przyłożył ucho do szczeliny w drzwiach.

Spodziewał się potoku przekleństw, tymczasem nie usłyszał nic. To znaczy żadnej z rzeczy, których oczekiwał. Budziki cykały jak należy, głośno, drażniąco. Nagle rozdzwonił się następny, dźwięcząc tak przeraźliwe, że nawet głuchy by się obudził.

Nie było żadnych wątpliwości, budziki wykonały swoją robotę bez zarzutu. Najwyraźniej jednak nikt, łącznie z panem Murgatroidem, nie docenił klasy Geralda Wade'a, który pozostał niewzruszony na szczytowe dokonania zegarmistrzowskiego fachu.

Spiskowcy byli przybici niepowodzeniem akcji.

— On chyba nie jest człowiekiem — jęknął Jimmy Thesiger.

— Pewnie wydawało mu się, że to telefon, więc przewrócił się na drugi bok i zasnął na nowo? — podsunęła Helen (a może Nancy?).

— Osobliwy przypadek — zauważył Rupert Bateman. — Sądzę, że chłopakowi przydałaby się wizyta u specjalisty.

— Kłopoty ze słuchem? — sugerował Bill.

— Moim zdaniem — powiedziała Socks — on nas nabiera. Niemożliwe, żeby ich nie usłyszał. Po prostu siedzi tam i śmieje się w kułak.

Wszyscy spojrzeli na nią z respektem i podziwem.

— Całkiem możliwe — przyznał Bill.

— Subtelny, ot co — ciągnęła Socks. — Zobaczycie, że zejdzie na śniadanie jeszcze później niż zwykle, żeby tylko pokazać nam swą wyższość.

A ponieważ było już parę minut po dwunastej, opinia ogółu przychyliła się do zdania Socks. Jedynie Ronny Devereux miał pewne wątpliwości.

— Nie zapominajcie, że nasze pokoje dzieli tylko ściana. Niezależnie od tego, co Gerry wymyślił potem, na pewno musiał się przestraszyć, ale pierwszy budzik zaczął dzwonić. Coś bym przecież usłyszał, nie? Pongo, gdzie postawiłeś te budziki?

— Na szafce nocnej, tuż koło jego ucha — odparł Bateman.

— Zmyślnie. Sam powiedz — Ronny zwrócił się do Billa — co byś powiedział, gdyby o szóstej trzydzieści rano, tuż obok twojego ucha zaczął dzwonić jakiś cholerny budzik nie wiadomo skąd?

— O rany — Bill nie krył zdegustowania na samą myśl o tym. — Powiedziałbym... — przerwał taktownie.

— No właśnie! — rzekł Ronny z triumfem. — Ja też bym tak powiedział. Każdy normalny człowiek by tak zareagował. Jak to mówią, w takiej chwili w człowieku budzi się prawdziwa natura. A tu tymczasem nic. Więc moim zdaniem Pongo ma rację, jak zwykle zresztą. Gerry ma jakąś tajemniczą wadę słuchu.

— Piętnaście po dwunastej — rzekła jedna z dziewcząt ze smutkiem.

— A ja myślę — zaczął Jimmy przeciągle — że coś tu nie gra. Rozumiem, żart żartem, ale to już chyba lekka przesada. Nie wierzę, żeby Gerry robił wszystkim na złość.

Bill zmierzył go wzrokiem.

— Co masz na myśli?

— Sam nie wiem — odparł Jimmy. — Coś mi tu nie pasuje. To nie w jego stylu.  
Nie potrafił ubrać swych podejrzeń w słowa. Bał się powiedzieć .coś nieprzemyślanego, z drugiej zaś strony... Poczul na sobie pełen niepokoju wzrok Ronny'ego.

I właśnie w tej chwili do salonu wszedł Tredwell. Rozejrzał się wokół niepewnie.

— Myślałem, że znajdę tu pana Batemana... — rzekł przepraszająco.

— Właśnie przed chwilą wyszedł na taras — odparł Ronny. — Coś się stało?

Tredwell spojrział na niego poważnie, po czym przeniósł wzrok na Jimmy'ego Thesigera. Tknięci przecuciem, obaj młodzieńcy pospieszyli za nim. Tredwell dokładnie zamknął drzwi od jadalni.

— Mówże człowieku! — nalegał Ronny. — Co jest grane?

— Pan Wade nie zszedł na śniadanie, pozwoliłem więc sobie posłać Williamsa do jego sypialni.

— No i?

— Williams właśnie przybiegł z powrotem bardzo poruszony, proszę pana — Tredwell przerwał na chwilę, zbierając odwagę. — Obawiam się, panowie, że pan Wade nie żyje.

Jimmy i Ronny znieruchomieli.

— To jakaś bzdura! — wykrzyknął w końcu Ronny. — To... to niemożliwe! — Jego twarz wykrzywił nagły skurcz. — Pobiegnę na górę i sprawdzę. Ten idiota Williams musiał się pomylić.

Tredwell powstrzymał go ruchem ręki. Jimmy doznał dziwnego uczucia, że stary kamerdyner doskonale panuje nad sytuacją.

— Nie, proszę pana. Williams nie pomylił się. Posłałem już po doktora Cartwrighta i zamknąłem drzwi na klucz, aby móc pójść i poinformować sir Oswalda o tym, co zaszło. A teraz szukam pana Batemana.

Tredwell oddalił się szybkim krokiem. Ronny był wstrząśnięty.

— Gerry — wyszeptał cicho.

Jimmy wziął przyjaciela pod rękę i poprowadził przez boczne drzwi ku ustronnej części tarasu. Tam posadził go na ławce.

— Nie przejmuj się tak, stary — rzekł ciepło. — Za chwilę zrobi ci się lepiej.

Ale przez cały czas bacznie go obserwował. Nie miał pojęcia, że Ronny i Gerry byli takimi przyjaciółmi.

— Biedny Gerry — rzekł w zamyśleniu. — Wyglądał tak kwitnąco.

Ronny skinął głową.

— Ten kawał z budzikami wydaje się teraz taki idiotyczny — ciągnął Jimmy. — Dziwne, jak często farsa miesza się z tragedią.

Mówił byle co, żeby dać Ronny'emu czas na dojdzie do siebie. Ronny tymczasem kręcił się niespokojnie.

— Chciałbym, żeby ten lekarz już tu był. Chcę wiedzieć...

— Wiedzieć co?

— Dlaczego on... umarł. Jimmy zacisnął usta.

— Serce? — wysunął przypuszczenie.

Ronny parsknął krótkim, pogardliwym śmiechem.

— Wiesz co, Ronny... — zaczął Jimmy.

— No?

Jimmy nie bardzo wiedział, jak ma zacząć.

— Nie wydaje ci się... to znaczy, czy nie odniosłeś wrażenia, że... trochę to było wszystko dziwne. To, że Tredwell zamknął te drzwi na klucz i w ogóle.

Jimmy'emu wydawało się, że jego słowa zasługują na jakiś odzew, ale Ronny dalej siedział nieruchomo wpatrując się w jeden punkt.

Jimmy potrząsnął głową i zamilknął. Nie widział innego wyjścia z sytuacji, jak czekać. Czekał więc.

W końcu pojawił się Tredwell.

— Pan doktor chciałby się z panami zobaczyć w bibliotece, jeżeli panowie pozwolą.

Ronny zerwał się natychmiast. Jimmy pośpieszył za nim.

Doktor Cartwright był szczupłym, energicznym mężczyzną o inteligentnej twarzy. Przywitał ich skinieniem głowy. Pongo, jeszcze bardziej poważny i rzeczowy niż zwykle, przedstawił ich sobie.

— Pan, jak słyszałem, był przyjacielem pana Wade'a — zwrócił się lekarz do Ronny'ego.

— Najlepszym przyjacielem.

— Hm. Sprawa wydaje się zupełnie jasna. Aczkolwiek smutna. Wyglądał na zdrowego młodzieńca. Czy pan Wade miał w zwyczaju brać środki na sen?

— Na sen? — Ronny zdumiał się. — Przecież on spał jak kłoda.

— Nigdy nie uskarżał się na bezsenność?

— Nigdy.

— Fakty mówią za siebie. Obawiam się jednak, że trzeba będzie przeprowadzić obdukcję.

— Jak umarł?

— Nie mam powodów wątpić, że przyczyną śmierci było przedawkowanie chloralu. Buteleczka tego środka stoi na szafce przy łóżku. Znalazłem również karafkę z wodą i szklanekę. Bardzo smutna sprawa.

Jimmy wyręczył przyjaciela zadając pytanie, którego Ronny najwyraźniej nie mógł wyartykułować.

— Czy wyklucza pan... zabójstwo? Doktor spojrzał na niego uważnie.

— Czemu pan pyta? Czy ma pan podstawy, by wysuwać podobne wnioski?

Jimmy spojrzał na Ronny'ego. Jeżeli przyjaciel miał jakieś podejrzenia, teraz właśnie nadszedł czas, by je wyjawić. Ku jego zdumieniu Ronny potrząsnął głową.

— Żadnych podstaw — rzekł dobitnie.

— A samobójstwo?

— Z całą pewnością nie wchodzi w grę.

Ronny stanowczo odrzucał tę ewentualność, doktor jednak nie wydawał się usatysfakcjonowany.

— Nie miał żadnych kłopotów? Problemy finansowe? Może kobieta?

Ronny ponownie pokręcił głową.

— Cóż... Pozostała jeszcze sprawa krewnych. Trzeba ich powiadomić.

— Z tego, co wiem, miał siostrę, przybraną, jak mi się zdaje. Mieszka w Deane Priory, jakieś dwadzieścia mil stąd. Gerry często ją odwiedzał.

— Hm — mruknął doktor. — Należałoby ją poinformować.

— Ja to zrobię — rzekł Ronny. — Parszywy obowiązek, ale ktoś to musi przecież zrobić.

— Spojrzał na Jimmy'ego. — Znasz ją, nie?

— Słabo. Tańczyłem z nią może ze dwa razy.

— Więc weźmiemy twój samochód. Podskoczysz ze mną, co? Sam sobie nie poradzę.

— Jasne — zapewnił Jimmy. — Nawet chciałem to zaproponować. Pójdę zobaczyć, czy ten stary gruchot zechce zapalić.

Ucieszył się, że coś może zrobić. Zastanawiało go dziwne zachowanie Ronny'ego. Coś wiedział lub coś przypuszczał. Ale dlaczego nie chciał podzielić się swymi podejrzeniami?

Wkrótce obaj młodzieńcy mknęli szosą wykazując kompletny brak respektu dla ograniczeń prędkości.

— Jimmy — wydusił Ronny po dłuższym milczeniu. — Chyba mogę cię uważać za przyjaciela?

— Pewnie — odparł Jimmy.

— Muszę ci coś wyznać. Myślę, że powinieneś to wiedzieć.

— Chodzi o Geralda?

— Tak.

Jimmy czekał cierpliwie.

— Więc? — nie wytrzymał.

— Nie wiem, czy powinienem...

— Czemu?

— Przysięgłem zachować to dla siebie.

— W takim razie nie mów.

Zapadła niezręczna cisza.

— Ale z drugiej strony... Widzisz, Jimmy, wydaje mi się, że może ty coś z tego pojmiesz.

— Zdecyduj się, chłopie — Jimmy powoli tracił cierpliwość.

— Nie, stary. Nie mogę.

— Jak wolisz.

Po dłuższym milczeniu Ronny spytał.

— Jaka ona jest?

— Kto?

— Ta dziewczyna. Siostra Gerry'ego.

Jimmy zastanawiał się przez chwilę.

— W porządku. Całkiem niezła babka.

— Gerry bardzo ją kochał. Ciągle o niej mówił.

— Myślę, że wzajemnie. Nie, wydaje mi się, żeby to łatwo przyjęła.

— Parszywa sprawa. Milczeli do końca podróży.

Służąca poinformowała ich, że panna Loraine jest w ogrodzie. Chyba, że chcą się widzieć z panią Coker.

Jimmy zapewnił, że nie chcą się widzieć z panią Coker.

— Co to za jedna, ta Coker? — spytał Ronny, kiedy obchodzili dom wokół.

— Stara flądra, która mieszka z Loraine.

Środkiem nieco zaniedbanego ogrodu wiodła ścieżka. Na jej końcu dostrzegli dziewczynę w towarzystwie dwóch czarnych spanieli. Dziewczyna była niewysoka, o jasnych włosach, odziana w podniszczone sztruksy. Ronny nie tak ją sobie wyobrażał. Nie była w typie Jimmy'ego.

Loraine wyszła im naprzeciw, przytrzymując jednego z psów za obrozę.

— Dzień dobry — rzekła. — Nie zwracajcie, panowie, uwagi na Elizabeth. Niedawno się oszczeniła i jest trochę nerwowa.

Dziewczyna spoglądała na nich z rozbijającą szczerością. Kiedy się uśmiechnęła, na jej policzki wypłynął delikatny rumieniec. Jej oczy były ciemnoniebieskie niczym chabry. Kiedy zauważyła ich poważne miny, oczy jej rozszerzyły się nagle. Czyżby już zgadła?

Jimmy pospieszył z prezentacją.

— Panno Wade, to jest Ronny Devereux. Gerry z pewnością wspominał o nim.

— Tak, słyszałam o panu wiele dobrego. Bardzo mi miło. — Lorraine obdarzyła Ronny'ego ciepłym uśmiechem. — Przyjeżdżacie z „Chimneys”, nieprawdaż? Czemu nie przywieźliście ze sobą Gerry'ego?

— Hm, tego... Nie mogliśmy... — Ronny urwał.

Ponownie Jimmy dostrzegł cień niepokoju w jej oczach.

— Panno Wade — zaczął — obawiam się, że mamy dla pani przykre wieści.

Niepokój przerodził się w strach.

— Gerry?

— Tak. On... — zawahał się.

Tupnęła nogą w nagłej złości.

— Przestańcie mnie dręczyć! — odwróciła się w stronę Ronny'ego. — Może od pana się dowiem.

Jimmy poczuł nagłe ukłucie zazdrości. W tym momencie nagle zdał sobie sprawę z tego, do czego bał się przed sobą przyznać. Wiedział już, czemu i Helen, i Nancy, i Socks były dla niego tylko koleżankami, niczym ponadto.

Prawie nie słyszał odpowiedzi Ronny'ego.

— Panno Wade — rzekł Ronny odważnie — Gerry nie żyje.

Przyjęła to naprawdę dzielnie. Kiedy oswoiła się już z tragiczną wiadomością, zaczęła zadawać pytania głosem spokojnym. Jak? Kiedy?

Ronny odpowiadał tak delikatnie, jak tylko potrafił.

— Środki nasenne? Gerry?

W jej głosie brzmiało autentyczne zdziwienie. Jimmy rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. Obawiał się, że Lorraine w swojej naiwności może powiedzieć zbyt wiele.

Zabrał głos i delikatnie powiadomił ją o konieczności przeprowadzenia sekcji zwłok, co dziewczyna przyjęła wzruszeniem ramion. Odmówiła jechania wraz z nimi do „Chimneys” dodając, że być może przyjedzie później własnym samochodem.

— Potrzebuję trochę czasu w samotności — powiedziała z bólem.

— Rozumiemy to — rzekł Ronny.

Spoglądali na nią bezradnie, czując się wprost okropnie.

— Dziękuję wam, panowie, że zechcieliście się fatygować — rzekła Lorraine.

W drodze powrotnej niewiele się odzywali. Obaj czuli między sobą jakąś niewidzialną barierę.

— Mój Boże — Ronny próbował nawiązać kontakt.

— Ta dziewczyna naprawdę jest dzielna!

Jimmy kiwnął głową.

— Gerry był moim przyjacielem — ciągnął Ronny.

— Czuję się w pewnym sensie odpowiedzialny za Lorraine.

— Pewnie, pewnie — mruknął Jimmy.

Po powrocie do „Chimneys” Jimmy natknął się na zapłakaną lady Coote.

— Biedny chłopiec — powtarzała. — Biedny chłopiec.

Jimmy rzucił parę uwag, które uznał za stosowne w zaistniałych okolicznościach.

Lady Coote uraczyła go w zamian szeregiem opowieści o nieszczęśliwych wypadkach, które spotkały jej krewnych i znajomych. Jimmy słuchał cierpliwie. W końcu zdołał uwolnić się od towarzystwa lady Coote. Szczęśliwie nie musiał uciekać się do niegrzeczności.

Wbiegł po schodach na górę. Ronny właśnie wychodził z sypialni Geralda.

— Zajrzałem, by rzucić okiem na biedaka. Idziesz tam?

— Nie, dziękuję — odparł Jimmy. Jako młody i zdrowy człowiek nie przepadał za nieboszczykami.

— Sądzę, że powinieneś.

— Tak? — Jimmy nie po raz pierwszy tego dnia zauważył, że Ronny Devereux chyba za bardzo bierze to sobie do serca.

— Tak. Chyba należy mu się choć trochę szacunku. Jimmy poddał się presji z westchnieniem.

— Skoro tak uważasz... — westchnął i wszedł do sypialni zaciskając zęby.

Na pościeli leżała wiązanka białych kwiatów, pokój był posprzątany i lśnił czystością.

Jimmy rzucił okiem na bladą, woskową twarz zmarłego. Nie chciało się wprost wierzyć, że ten sztywny, nieruchomy kształt na łóżku to naprawdę jest różowutki, przystojny Gerald Wade. Jimmy Thesiger zadrżał i spuścił wzrok.

Kiedy odwracał się do wyjścia, jego spojrzenie padło na półkę nad kominkiem. Ze zdumieniem stwierdził, że ktoś ustawił na niej budziki w równym rządku.

Opuścił pokój czym prędzej. Na zewnątrz czekał Ronny.

— Wygląda tak spokojnie — wymamrotał Jimmy z obowiązku. — Cholera, szkoda człowieka. — Po chwili dodał: — Słuchaj, Ronny. Nie wiesz czasem, kto ustawił te budziki nad kominkiem?

— Niby skąd? Pewnie ktoś ze służby.

— Dziwna sprawa — ciągnął Jimmy. — Jest ich tylko siedem, a powinno być osiem. Jednego brakuje. Zauważyłeś?

Ronny'ego zatkało.

— Siedem zamiast ośmiu — Jimmy zmarszczył brwi. — Ciekawe dlaczego?



## ROZDZIAŁ CZWARTY

### LIST

— Ja to nazywam brakiem rozważli — rzekł lord Caterham.

Mówił głosem delikatnym, niemal żalonym. Był wyraźnie dumny, że znalazł właściwe określenie.

— Brak rozważli, ot co. Ci wszyscy nuworysze są w rzeczy samej nierozważli. I tylko dzięki temu udaje im się gromadzić takie fortuny.

Powiódł ponurym wzrokiem po swych posiadłościach, do których właśnie dzisiaj wrócił po dłuższej nieobecności.

Jego córka, lady Eileen Brent, wśród przyjaciół znana jako Bundle, wybuchnęła śmiechem.

— Ty z pewnością nigdy nie zdołasz Zebrać fortuny — zauważyła — choć trzeba przyznać, że nieźle oskubałeś starego Coote'a za wynajem „Chimneys”. Powiedz no, jaki on jest? Przystojny?

— Jeden z tych wielkoludów — lord Caterham wzruszył ramionami. — Z czerwoną twarzą i siwizną na czubku głowy. Silny człowiek. O takich mówią: władcza osobowość. Moim zdaniem wygląda jak walec drogowy, który dobra wróżka zamieniła w człowieka.

— Męczący? — podsunęła Bundle ze współczuciem.

— Okropnie! Pełen tych wszystkich obrzydliwych cech typu trzeźwość, punktualność i tak dalej. Sam nie wiem co gorsze: władcza osobowość czy szczerzy polityk. Ja osobiście preferuję wesołych obiboków.

— Wesoły obibok nigdy nie zdołałby zapłacić sumy, którą zażądałeś za to mauzoleum — przypomniała Bundle.

Lord Caterham skrzywił się z niesmakiem.

— Wolałbym, żebyś odnosiła się do „Chimneys” z większym szacunkiem, moja droga. Myślałem, że nie będziemy już wracać do tej kwestii.

— Nie wiem, skąd u ciebie tyle wrażliwości na tym punkcie — rzekła Bundle. — W końcu ludzie muszą gdzieś umierać.

— Ale dlaczego akurat w moim domu?

— A czemu niby nie? Przecież to nie pierwszy wypadek. Cała rzesza naszych wielkich przodków wyjechała stąd nogami do przodu.

— Więcej szacunku, Bundle. Zresztą to całkiem inna sprawa. Naturalnie Brentowie mają prawo tu umierać, ale stanowczo sprzeciwiam się nieboszczykom spoza rodziny. A jeszcze bardziej stanowczo sprzeciwiam się śledztwom. To już drugi raz! Pamiętasz to całe zamieszanie cztery lata temu? Wszystkiemu winien był George Lomax.

— A teraz wszystkiemu jest winien ten walec drogowy Coote? Jestem pewna, że on sam był całą tą sprawą równie wstrząśnięty jak ty.

— Brak rozważli, powiadani ci — lord Caterham upierał się przy swoim. — Nie powinien był go zapraszać. Mów co chcesz, Bundle, ale powtarzani ci: nigdy nie lubiłem śledztw. Nigdy nie lubiłem, nie lubię i nie będę lubił. Ot co!

— Ale tym razem wykluczono morderstwo.

— Ja bym nie był taki pewny. Ten inspektor to kawał durnia. Jeszcze nie wydobrał po tym, co tu się stało cztery lata temu. Myśli, że każda śmierć, która ma miejsce w tym domu, musi być od razu podejrzana. Nie wyobrażasz sobie, Bundle, jakiego narobił zamieszania. Tredwell wszystko mi opowiedział ze szczegółami. Przewrócili cały pokój w poszukiwaniu odcisków palców. I oczywiście nic nie znaleźli, z wyjątkiem odcisków tego biedaka. Sprawa jasna jak słońce. Ale czy to był wypadek, czy samobójstwo, to już zupełnie inna para kaloszy.

— Spotkałam go raz na jakimś przyjęciu, tego Geralda Wade'a. Bill przedstawił mi go jako swego znajomego. Na pewno byś go polubił. Nigdy nie spotkałam weselszego obiboka niż on.

— Nie lubię ludzi, którzy przychodzą do mojego domu i ni z tego, ni z owego umierają — rzekł lord Caterham z uporem.

— Pojęcia nie mam — ciągnęła Bundle niewzruszona

— dlaczego ktoś miałby go mordować. To absurd.

— Pewnie, że absurd. Wszyscy to przyznają, tylko nie ten osioł, inspektor Raglan.

— Oj, tato, nie rozumiesz. Chciał udowodnić, jaki jest ważny. Tak czy inaczej, podciągnęli to pod „nieszczęśliwy wypadek”, prawda?

— Zapewne nie chcieli ranić uczuć jego siostry.

— Siostry? — zainteresowała się Bundle. — Nie wiedziałam, że miał siostrę.

— Owszem, przybraną. O wiele młodszą. Owoc jednej z przygód starego Wade'a. Powiadam ci, Bundle, ten stary pryk nie obejrzał się na ulicy za kobietą, jeśli nie miała obrączki na palcu.

— Ciesz się, że jest przynajmniej jedna wada, której nie oddajesz się z lubością, drogi ojczulku.

— Zawsze prowadziłem życie pełne szacunku dla boskich przykazań — oświadczył lord Caterham.

— Dlatego dziwię się, że ludzie nie dają mi spokoju, mimo że nie robię nikomu krzywdy. Gdybym tylko...

Przerwał, ponieważ Bundle energicznym krokiem wyszła nagle na taras.

— MacDonald! — zawołała stanowczym tonem. Księżę ogrodników wyłonił się z zarośli. Coś, co nieco przypominało powitalny uśmiech, ukazało się na jego obliczu, ale szybko zostało zastąpione służbowo ponurą miną.

— Do usług jaśnie panienki — rzekł MacDonald.

— Jak się miewasz?

— Nie bardzo zdrow.

— Chciałam z tobą pomówić o trawniku pod kręgle. Strasznie zarósł. Bądź łaskaw posłać tam kogoś.

MacDonald pokręcił głową.

— Musiałbym ściągnąć Williama z dolnego skraju, proszę panienki.

— Do diabła z dolnym skrajem — odparła Bundle. — Każ mu zacząć od zaraz. Aha, i jeszcze jedno...

— Słucham jaśnie panienki?

— Zetnij parę kiści winogron. I nie mów mi, że jeszcze za wcześnie, dobrze? Chcę je widzieć na dzisiejszym podwieczorku, rozumiemy się?

Bundle odwróciła się na pięcie i zniknęła na powrót w bibliotece.

— Przepraszam, tatku — powiedziała. — Musiałam zamienić słówko z MacDonaldem. Coś mówiłeś...

— W rzeczy samej — odparł lord Caterham — ale już zapomniałem, o czym. Co za sprawę miałaś do MacDonalda?

— Wydaje mu się, że jest Bogiem Wszechmogącym. Byłam zmuszona pokazać mu, gdzie jego miejsce. Coote'owie rozpuścili go jak dziadowski bicz. Ciekawam, jaka jest ta lady Coote?

Lord Caterham rozważał pytanie.

— Kojarzy mi się z kiepską artystką z amatorskiej trupy — rzekł po chwili. — Na mój gust zbyt melodramatyczna. Cała ta sprawa z zegarami musiała ją nieźle wytrącić z równowagi.

— Z zegarami? O czym mówisz?

— Słyszałem o tym od Tredwella. Przyjaciele chcieli się zabawić kosztem tego nieszczęsnego Wade'a. Nakupili całe mnóstwo budzików i porozstawiali po kątach w jego pokoju. Rano okazało się, że biedak nie żyje. Dość makabryczny dowcip.

Bundle pokiwała głową.

— Tredwell mówił— jeszcze coś — ciągnął lord Caterham zadowolony, że ktoś chce go słuchać. — Po całej sprawie ktoś pozbiarał te wszystkie zegarki i ustawił rządkiem nad kominkiem.

— No i co?

— No i nic — odparł. — Problem w tym, że nikt nie chciał się do tego przyznać. Przesłuchano całą służbę i wszyscy zaklinali się, że nie dotykali tych przeklętych budzików. Ot i zagadka. Zresztą ten osioł komisarz zadawał mnóstwo dziwnych pytań. Sama wiesz, jak trudno jest pojąć ludzi z niższych sfer...

Bundle zgodziła się z opinią ojca.

— Cała ta sprawa jest koszmarnie zawiła. Tredwell próbował mi opowiedzieć wszystko po kolei, ale przyznam ci, że niewiele z tego rozumiem. A, byłbym zapomniiał. Ten biedak mieszkał w twoim pokoju.

Bundle skrzywiła się z niesmakiem.

— Czy ludzie nie mają gdzie umierać, tylko akurat w moim pokoju?

— A nie mówiłem!? — lord Caterham triumfował. — Brak rozwagi! Oto źródło wszelkich nieszczęść w dzisiejszych czasach.

— Nie żebym się przejmowała — odparła Bundle zadziomie. — Sądysz, że powinnam?

— Ja tam na twoim miejscu bym się przejął. Te wszystkie zjawy po nocach, to brzęczenie łańcuchów! Brr...

— Cóż — odrzekła Bundle. — Ciotka Luiza umarła, zdaje się, w twoim łóżku. I co, nawiedza cię o północy?

— Czasami — wzdrygnął się lord Caterham. — Zwłaszcza po homarze.

— Bogu dzięki, że nie jestem przesądna — stwierdziła Bundle.

Ale jeszcze tego samego wieczoru, gdy siedziała w piżamie przed kominkiem, jej myśli powróciły do wesołego młodego człowieka nazwiskiem Gerry Wade. Wydało się jej nieprawdopodobne, żeby taki pełen życia chłopak mógł popełnić samobójstwo. Nie, raczej to drugie przypuszczenie musi być prawdziwe. Wziął środek nasenny i przez pomyłkę przedawkował, to się przecież zdarza. Nawiasem mówiąc odniosła wrażenie, że nie grzeszył zbytnią inteligencją.

Jej wzrok przesunął się na półeczkę nad kominkiem i to przywiodło jej na myśl sprawę budzików. Pokojówka uraczyła ją szczegółami tej historii, zasłyszany od reszty służących. Wspomniała też o czymś, czego Tredwell nie przekazał lordowi Caterham, uznawszy ten detal za nieistotny. Bundle jednak wydał się on godny uwagi.

Ktoś ustawił siedem budzików w równym rządkiem nad kominkiem. Natomiast ósmy został znaleziony na trawniku, najwyraźniej wyrzucony przez okno.

Bundle łamała sobie nad tym głowę. Wydawało jej się to wyjątkowo nielogiczne. Mogła sobie z łatwością wyobrazić, jak któraś ze służących sprząając pokój ustawia budziki nad kominkiem. Ale przecież żadna pokojówka nie wyrzuciłaby zegara do ogrodu.

Czy to Gerry Wade cisnął budzikiem przez okno, gdy obudził go ostry terkot dzwonka? Ale nie, Bundle pamiętała, dobrze, że jego śmierć nastąpiła we wczesnych godzinach rannych, więc w momencie, kiedy rozległo się dzwonienie, na pewno było już po wszystkim.

Bundle zmarszczyła brwi. Sprawa budzików była zagadkowa. Musi skontaktować się z Billem Evers—leighem. W końcu był przy tym, z pewnością więc powie jej coś więcej.

Bundle była kobietą czynu. Podniosła się i podeszła do biurka. Usiadła, przysunęła sobie arkusz papieru listowego i zaczęła pisać.

*Drogi Billu...*

Przerwała, by wysunąć blat biurka. Zaciął się jak zwykle w połowie drogi. Bundle szarpnęła nim niecierpliwie, ale nawet nie drgnął. Przypomniało jej się, jak kiedyś koperta dostała się w szczelinę blokując wysuwanie blatu. Bundle chwyciła wąski nóż do papieru i zaczęła grzebać nim w szparze. Jej wysiłki zostały wkrótce nagrodzone. W szczelinie ukazał się rożek białego papieru. Bundle wydobyla go i rozprostowała. Była to pierwsza strona jakiegoś listu, nieco wymięta.

Najpierw jej uwagę przyciągnęła data. Wielkie litery w nagłówku głosiły: 21 września.

„Dwudziesty pierwszy września — dumiała Bundle. — Przecież to było...”

Podniosła oczy. Tak, na pewno. Gerry Wade zmarł dwudziestego drugiego września. A więc list pisany był w przeddzień tragedii.

Bundle wygładziła kartkę i zabrała się do czytania. List był nie dokończony.

*Kochana Loraine!*

*Przyjeżdżam w środę. Czuję się fantastycznie i jestem bardzo zadowolony z życia. Będzie cudownie zobaczyć się z Tobą. Słuchaj, zapomnij o tym, co mówiłem Ci o sprawie Siedmiu Zegarów. Wydawało mi się, że to będzie po prostu zabawa, ale okazało się, że nie — wszystko, ale nie zabawa. Żałuję, że o tym wspominałem, nie należało Cię mieszać w te ciemne sprawy. Zapomnij o tym, dobrze?*

*Jeszcze coś chciałem Ci powiedzieć, ale taki jestem śpiący, że oczy same mi się zamykają.*

*Aha, ten Lurcher! Sądzę, że...*

Tutaj list się urywał.

Bundle zmarszczyła brwi. Siedem Zegarów. Co to było? Zdaje się, że jakaś knajpa w East Endzie. Słowa „siedem zegarów” kojarzyły jej się jeszcze z czymś innym, ale nie mogła sobie przypomnieć z czym. Jej uwagę przyciągnęły dwa zdania listu: „Czuję się fantastycznie...” i „taki jestem śpiący, że oczy same mi się zamykają”.

Coś tu nie pasowało. Coś tu zupełnie nie pasowało. Przecież tej właśnie nocy Gerry zażył tak silną dawkę środka nasennego, że się już po niej nie obudził. A jeżeli to, co napisał w liście, jest prawdą, dlaczego w ogóle sięgał po chloral?

Bundle pokręciła głową. Rozejrzała się po sypialni i przeszedł ją dreszcz. A jeżeli rzeczywiście duch Gerry’ego Wade’a unosi się w powietrzu i obserwuje ją z jakiegoś mrocznego kąta? Umarł przecież w tym pokoju...

Siedziała bez ruchu. Panowała cisza przerywana tylko tykaniem jej malutkiego złotego zegarka. Ten dźwięk wydawał się nienaturalnie głośny i znaczący.

Bundle zerknęła na kominek. W myślach ujrzała zmarłego spoczywającego na łóżku i siedem budzików tykających na półce, tykających głośno, złowrogo... tik, tak... tik, tak...

## ROZDZIAŁ PIĄTY CZŁOWIEK NA SZOSIE

— Tato? — Bundle otworzyła drzwi gabinetu ojca i wsunęła głowę. — Wybieram się do miasta i zabieram hispana. Mam już dosyć tej nudy.

— Przecież dopiero wczoraj wróciliśmy — jęknął lord Caterham.

— Wiem, ale mam wrażenie, że jestem tu już wieki całe. Zdążyłam zapomnieć, jak nudne może być życie na wsi.

— Nie zgadzam się z tobą. Życie na wsi to spokój i cisza. I wygoda — dodał po namyśle.

— Nawet nie wiesz, jak stęskniłem się za wsią i za Tredwellem. Powiadani ci, ten człowiek zna mnie na wylot i wie, jak mi dogodzić. Choćby dziś rano... Jakiś człowiek przyszedł i spytał, czy może urządzić tu zjazd skautów...

— Chyba zlot — poprawiła Bundle.

— Zjazd czy zlot, jedna zaraza. Ale postawił mnie w niezręcznej sytuacji, bo nie wypadało odmówić. Na szczęście Tredwell wybawił mnie z opresji. Nie pamiętam już, co powiedział, w każdym razie coś diabło sprytnego. Tak czy owak zdołał mu to wybić z głowy nie urażając przy tym jego uczuć. Złoty człowiek...

— Wygoda, też coś. Mnie trzeba rozrywek.

— Mało ci było rozrywek cztery lata temu? — rzucił lord Caterham z przekąsem.

— Mało; Od tego ziewania nabawię się wkrótce dyslokacji żuchwy.

— Doświadczenie podpowiada mi, że ludzie, którzy szukają kłopotów, aż za często znajdują je w nadmiarze. — Lord Caterham ziewnął. — Wiesz co? — dodał. — Chyba się z tobą przejadę.

— Zapraszam. Tylko szybko, bo się spieszę.

Lord Caterham, który zaczął właśnie podnosić się z fotela, zamarł i zmierzył ją podejrzliwym wzrokiem.

— Spieszysz się, powiadasz?

— Jak diabli.

— To załatwia sprawę. Zostaję. Za nic w świecie nie wsiądę z tobą do samochodu, kiedy się spieszysz. Za stary jestem na takie wybryki. Nigdzie nie jadę.

— Jak wolisz — rzekła Bundle na odchodnym. W drzwiach z kolei pojawił się Tredwell.

— Był pastor ze słówkiem do jaśnie pana. Chodzi o tych skautów.

Lord Caterham jęknął.

— Zdawało mi się, że jaśnie pan dziś rano przy śniadaniu wyraził zamiar wybrania się do pastora w odwiedzinę zaraz po obiedzie.

— Powiedziałeś mu to? — spytał Caterham z nadzieją.

— W rzeczy samej, milordzie. Oddalił się w wielkim pośpiechu. Mam nadzieję, milordzie, że postąpiłem właściwie.

— Jak najbardziej, nie mogłeś postąpić lepiej. Tredwell uśmiechnął się powściągliwie i wyszedł. Bundle tymczasem siedziała za kierownicą swego sportowego hispana i niecierpliwie naciskała klakson. Ze stróżówki wybiegła mała dziewczynka i zabrała się za otwieranie ciężkiej bramy wjazdowej wśród ponagłań swej matki.

— Pospiesz się, Katie. Panienska Eileen nie lubi czekać.

W rzeczy samej Bundle znano z niecierpliwości. Na szczęście była dobrym kierowcą. Gdyby nie to, jej szaleńcze przejażdżki nie raz mogłyby skończyć się tragicznie.

Był rześki, październikowy dzień. Słońce świeciło jasno na bezchmurnym niebie. Pęd chłodnego powietrza dodawał Bundle wigoru i różowił jej policzki.

Tego ranka Bundle wysłała Loraine niedokończony list Geralda Wade'a dołączając do siebie parę linijek wyjaśnienia. Tajemnicza sprawa wciąż zaprzętała jej myśli. Zamierzała odwiedzić Billa Eversleigha i wydobyć od niego więcej informacji na temat tragedii. Póki co jednak radowała się pięknym dniem wsłuchana w monotonny pomruk silnika.

Wcisnęła gaz do oporu, a hispano posłusznie nabrało prędkości. Ruch na drodze był niewielki, widoczność znakomita.

Wtem, bez żadnego ostrzeżenia, na jezdnię tuż przed maską wbiegł zataczając się człowiek. Wyłonił się nagle z przerwy w żywopłocie; Bundle dostrzegła go w ostatniej chwili i nie miała żadnych szans, by na czas wyhamować. Z całych sił uwiesiła się na kierownicy i odbiła w prawo naciskając jednocześnie na hamulec. Samochód zatoczył łuk i zatrzymał się o kilka cali przed rowem. Manewr był niebezpieczny, ale skuteczny. Bundle była prawie pewna, że udało jej się wyminąć człowieka.

Spojrzała w tył i poczuła falę mdłości. Z całą pewnością nie najechała na niego, najprawdopodobniej jednak zawadziła go bokiem. Mężczyzna leżał na szosie twarzą w dół, bez ruchu.

Wyskoczyła z samochodu i podbiegła do leżącego. Nigdy jeszcze nikogo nie przejechała, no, może jakąś zbłąkaną kurę. Fakt, że wypadek nastąpił nie z jej winy, w niczym nie umniejszał jej wyrzutów sumienia. Mężczyzna sprawiał wrażenie pijanego. Niemniej ona, Bundle, go zabiła. Serce łopotało jej w piersi jak oszalałe.

Ukłęka przy nim i ostrożnie odwróciła go na plecy. Nie wydał najmniejszego dźwięku. Ujrzała jego młodą, dość miłą twarz z wąsikiem. Ubrany był starannie i ze smakiem.

Nie spostrzegła żadnych śladów obrażeń, ale była pewna, iż mężczyzna jest nieżywy lub umierający. Jego powieki drżały lekko, oczy były wpółotwarte. Brązowe oczy... pełne bólu i cierpienia. Żył jeszcze, usiłował coś powiedzieć... Bundle pochyliła się nad nim.

— Tak? — przynagliła. — Tak?

Próbował coś z siebie wykrztusić. Walczył. Chciała mu pomóc, ale nie umiała.

Wreszcie z gardła umierającego wydobył się ledwie słyszalny szept.

— Siedem Zegarów... powiedz...

— Tak? — powtórzyła. Mężczyzna rozpaczliwie starał się wyrzec czyjeś imię.

— Jimmy Thesiger... powiedz... — zdołał jeszcze wyszeptać. Głowa opadła mu bezwładnie, rysy stężały.

Bundle usiadła bezradnie obok, ręce jej drżały. Nie mogła uwierzyć, że przytrafiło jej się coś tak okropnego. Ten człowiek nie żył i ona go zabiła.

Starała się zebrać myśli. Co robić? Zawieźć go do lekarza! Istniała szansa, że biedak jest tylko nieprzytomny, że jeszcze żyje. Instykt podpowiadał, że już za późno na pomoc, ale rozsądek nakazał trzymać się tej myśli. Trzeba go jakoś wsadzić do samochodu i zabrać do lekarza. Na szosie nie było nikogo. Była zdana na siebie.

Bundle, mimo swej szczupłej figury, miała dużo siły. Podjechała samochodem tak blisko, jak się dało. Napinając drżące z wysiłku mięśnie, zdołała wciągnąć bezwładne ciało do środka. Nie było to przyjemne zajęcie i Bundle musiała zaciskać zęby, by nie stracić panowania nad sobą.

Wskoczyła za kierownicę i zapaliła silnik. Po kilku milach wjechała w uliczki niewielkiego miasteczka. Przechodnie wskazali jej drogę do domu lekarza.

Doktor Cassell okazał się miłym człowiekiem w średnim wieku. Nie bez zdziwienia wpuścił roztrzęsioną dziewczynę do swego gabinetu. Bundle sprawiała wrażenie osoby na krawędzi załamania nerwowego.

— Ja... ja zabiłam człowieka. Przejechałam go. Jest na zewnątrz, w samochodzie. Chyba... chyba jechałam za szybko...

Lekarz obrzucił ją badawczym spojrzeniem. Podszedł do szafki i nalał czegoś do szklanki.

— Proszę to wypić — powiedział. — To pani dobrze zrobi. Jest pani w szoku.

Bundle posłusznie uniosła szklankę do ust. Po chwili na jej policzki wrócił zdrowy rumieniec. Lekarz kiwnął głową z aprobatą.

— Lepiej? — zapytał. — Proszę tu chwilkę poczekać. Zobaczę, czy jestem w stanie pomóc temu biedakowi. Niebawem wrócę i wtedy mi pani wszystko opowie, dobrze?

Nie było go przez dłuższy czas. Bundle obserwowała zegar na ścianie. Pięć minut, dziesięć, piętnaście... Kiedyż on wreszcie przyjdzie?

Drzwi się otwały. Bundle dostrzegła jakąś zmianę w twarzy doktora Cassella. Lekarz wydawał się wyraźnie czymś przejęty. Było w nim jeszcze coś, czego nie rozumiała: sprawiał wrażenie podekscytowanego, choć starał się to ukryć.

— A teraz, młoda damo, proszę mi wszystko dokładnie opowiedzieć. Mówi pani, że przejechała tego człowieka?

Bundle zrelacjonowała przebieg wydarzeń najlepiej jak umiała. Lekarz słuchał z uwagą.

— Tak więc twierdzi pani, że nie czuła żadnego uderzenia?

— Nie. Sądziłam nawet, że udało mi się minąć go bokiem.

— I twierdzi pani, że się zataczał, tak?

— Sprawiał wrażenie pijanego. Wytoczył się z za żywopłotu. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że była tam brama.

Lekarz odchylił się na swym fotelu i zaczął przecierać okulary kiwając głową.

— Młoda damo — zaczął. — Niewątpliwie jest pani nieostrożnym kierowcą i pewnego dnia zapewne przyczyni się pani do śmierci jakiegoś Bogu ducha winnego przechodnia. Na razie, może pani mieć czyste sumienie.

— Ale przecież...

— Samochód nawet go nie drasnął. Ten człowiek, droga pani, został zastrzelony.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY ZNOWU SIEDEM ZEGARÓW

Bundle wpatrywała się w niego w milczeniu. Powoli świat, który przez ostatnie trzy kwadranse stał na głowie, odwrócił się i przybrał normalną pozycję. Dobre parę minut minęło, nim Bundle znowu się odezwała, ale tym razem nie była to już przerażona dziewczyna, tylko prawdziwa Bundle: chłodna, trzeźwo myśląca i logiczna.

— Jak to zastrzelony? — zapytała.

— Nie wiem, jak — odparł lekarz oschle. — Po prostu zastrzelony. Tkwiła w nim kula ze sztucera. Krwawił wewnętrznie, więc nic pani nie zauważyła.

Bundle skinęła głową.

— Pozostaje pytanie — ciągnął lekarz — kto go zastrzelił. Widziała pani kogoś w pobliżu?

Bundle zaprzeczyła.

— Dziwne — stwierdził doktor. — Jeżeli to był wypadek, należałoby oczekiwać, że człowiek, który to zrobił, przybiegnie na ratunek. Chyba że nie zdawał sobie sprawy z tego, co się stało.

— Tam nikogo nie było — wyjaśniła Bundle. — Przynajmniej na drodze.

— Wydaje mi się — rzekł lekarz — że ten biedny chłopak biegł, a kula trafiła go, akurat kiedy znajdował się przy bramie i dlatego wytoczył się na jezdnię. Nie słyszała pani wystrzału?

Bundle pokręciła głową.

— Silnik tak hałasuje, że zagłusza wszelkie dźwięki.

— No tak. Powiedział coś, zanim umarł?

— Wymamrotał parę słów.

— Coś, co mogłoby rzucić nieco światła na tę tragedię?

— Nie. Chciał, żeby coś, ale nie wiem co, przekazać jego przyjacielowi. Aha! Wspomniał coś o siedmiu zegarach.

— Hm — mruknął doktor Cassell. — Może nie łammy sobie teraz nad tym głowy. Proszę zostawić to mnie. Ja zawiadomię policję. Oczywiście proszę podać nazwisko i adres, bo na pewno będą chcieli panią przesłuchać. Albo nie, pojedźmy teraz razem na posterunek, tak chyba będzie lepiej.

Pojechali samochodem Bundle. Policjant na służbie okazał się flegmatykiem. Ogromne wrażenie uczyniło na nim nazwisko i adres Bundle, więc spisywał jej zeznania z wielką starannością.

— To te chłopaczyska! — oznajmił. — Łobuzy ze strzelbami! Bezmyślne hultaje, polują sobie na ptaki nie bacząc na to, czy ktoś nie idzie po drugiej stronie żywopłotu.

Doktorowi takie wyjaśnienie wydało się niezbyt prawdopodobne, ale uświadomił sobie, że wkrótce sprawa znajdzie się w lepszych rękach i nie warto strzepić sobie języka na zbędne dyskusje.

— Nazwisko ofiary? — zapytał sierżant zwilżając koniec ołówka.

— Miał przy sobie dokumenty na nazwisko Ronald Devereux.

Bundle zmarszczyła brwi. Nazwisko Devereux wydało jej się znajome. Była pewna, że już je gdzieś słyszała.

Przypomniało jej się dopiero w połowie drogi z powrotem do „Chimneys”. Oczywiście! Ronny Devereux.

Przyjaciół Billa z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. On, Bill i... no tak, Gerald Wade.



Z wrażenia Bundle omal nie wjechała w żywopłot. Najpierw Gerry Wade, teraz Ronny Devereux. Śmierć Geralda mogła mieć przyczyny naturalne, być skutkiem bezmyślności, ale ta ostatnia wyglądała o wiele groźniej.

I nagle Bundle skojarzyła coś jeszcze. Siedem zegarów! Kiedy umierający wymówił te słowa, wydały się jej odległe znajome. Teraz już wiedziała, dlaczego. Gerry Wade wspomniał o Siedmiu Zegarach w swoim ostatnim liście do siostry, pisany w przeddzień śmierci. A to z kolei przywodziło jej na myśl coś jeszcze, lecz to wciąż jej umykało.

Rozmyślając intensywnie, Bundle zredukowała prędkość i skręciła w bramę rodowej posiadłości. Odstawiła samochód do garażu i wyruszyła na poszukiwanie ojca.

Lord Caterham przeglądał właśnie katalog wydawniczy i nagle wejście Bundle zdumiało go niepomiernie.

— Nawet ty — powiedział — nie byłabyś w stanie dojechać do Londynu i wrócić przez ten czas.

— Nie byłam w Londynie — poinformowała go Bundle. — Przejechałam człowieka.

— Co takiego?

— Nie przejechałam go naprawdę. Został zastrzelony.

— Jak to możliwe?

— Sama nie wiem, zastrzelony i tyle.

— Dlaczego go zastrzeliłaś?

— Ja go nie zastrzeliłam.

— Nie powinnaś strzelać do ludzi — pouczył ją lord Caterham tonem lekkiej nagany. — Tak się nie robi. Wprawdzie wielu z nich na to zasługuje, ale to się może źle skończyć.

— Mówię ci, że go nie zastrzeliłam.

— A kto?

— Tego nikt nie wie — odparła Bundle.

— Bzdura — stwierdził lord Caterham. — Człowiek nie może zostać przejechany i zastrzelony ot tak sobie. Ktoś to musiał zrobić.

— Ale on nie został przejechany — wyjaśniła Bundle.

— Myślałam, że tak powiedziałaś.

— Powiedziałam, że tak myślałam.

— Opona ci wybuchła — zawyrokował lord. — To brzmi zupełnie jak wystrzał. Tak piszą w kryminałach.

— Jesteś absolutnie niemożliwy, tato. Masz mniej rozumu niż królik.

— Mylisz się — odparł lord Caterham. — Wpadasz tutaj z tą zwariowaną historią o przejechanych i zastrzelonych ludziach i oczekujesz, że wszystkiego sam się domyśle jakimś czarodziejskim sposobem.

Bundle westchnęła znużona.

— Posłuchaj — zaczęła. — Wyłożę ci wszystko w prostych słowach.

— No i tyle — rzekła, kiedy już zakończyła opowieść. — Teraz dotarło?

— Oczywiście. Teraz rozumiem doskonale. To tłumaczy twoje wzburzenie, moja droga. Jednak nie myliłem się bardzo, gdy zwracałem ci uwagę, że kto szuka guza, na pewno go znajdzie. Bogu dzięki — podsumował lord Caterham — że z tobą nie pojechałem.

I wziął do ręki odłożony katalog.

— Tato, gdzie jest Siedem Zegarów?

— Przypuszczam, że gdzieś w East Endzie. Nigdy tam nie byłem, na szczęście. Nie sądzę, żeby to było odpowiednie miejsce dla człowieka z wyższych sfer. Dziwne, że o to pytasz. Głowę bym dał, że ta nazwa oblała mi się ostatnio o uszy.

— Czy znasz człowieka nazwiskiem Jimmy Thesiger?

Lord Caterham zdawał się na powrót zajęty lekturą. Jego umysł potrzebował relaksu po wyczerpujących rozmyślaniach nad Siedmioma Zegarami.

— Thesiger — mruknał. — Hm, z których to Thesigerów? Tych z Yorkshire?

— Właśnie tego próbuję się dowiedzieć. Proszę cię, zostaw na chwilę ten katalog i wytyż szare komórki.

Lord Caterham uczynił desperacki wysiłek, by wyglądać na człowieka pogrążonego w rozmyślaniach.

— Słyszałem o Thesigerach z Yorkshire. I, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, jest też paru w Devonshire. Twoja ciotka, Selina, poślubiła Thesigera.

— I co mi z tego — westchnęła Bundle strapiona.

— No widzisz — zachichotał. — Ona też nie wyglądała na szczęśliwą.

— Jesteś okropny, tatku. Będę musiała zapytać Billa.

— Tak, moja droga — odparł lord Caterham nieobecny tonem i przewrócił stronę. — Świetny pomysł...

Bundle podniosła się z fotela.

— Szkoda, że nie przeczytałam uważniej tego listu — mruknęła bardziej do siebie niż do ojca. — Gerald pisał coś o Siedmiu Zegarach, zdaje się, że to nie zabawa czy coś w tym stylu...

Lord Caterham gwałtownie podniósł oczy znad katalogu.

— Siedem Zegarów? Wiem!

— Co?

— Wiem, gdzie to słyszałem! Wczoraj był tu George Lomax, na nieszczęście Tredwell go wpuścił. Mówił, że organizuje jakieś przyjęcie w „Abbey” i że dostał w tej sprawie list z pogrózkami.

— Jaki list?

— Pojęcia nie mam. Nie wdawał się w szczegóły. Pewnie „Strzeż się” i takie tam. W każdym razie zamiast podpisu były te dwa słowa: „Siedem Zegarów”. Pamiętam dobrze. George zamierzał zgłosić się z tym do Scotland Yardu. Znasz George’a?

Bundle skinęła głową. Znała go aż za dobrze. Członek Gabinetu, Podsekretarz Spraw Zagranicznych w rządzie Jego Królewskiej Mości, był powszechnie znany z tego, że przy byle okazji cytował fragmenty swych przemówień. Bliscy współpracownicy, w tym również Bill Eversleigh, nazywali go Codders.

— Powiedz — zainteresowała się Bundle — czy Codders wypytywał o okoliczności śmierci Geralda Wade’a?

— Przy mnie nie. Może rozmawiał ze służbą, nie wiem.

Bundle zamilkła na dłuższą chwilę. Usilnie starała się przypomnieć sobie dokładnie słowa listu, który Gerry Wade napisał do siostry tuż przed śmiercią. Próbowwała wyobrazić sobie Loraine. Jak wyglądała ta kobieta, do której Gerry był ponoć tak przywiązany? Im więcej nad tym myślała, tym bardziej dochodziła do przeświadczenia, że list Gerry’ego był co najmniej dziwny.

— Mówiłeś, że Loraine była przyrodnią siostrą Geralda?

— Nawet nie przyrodnią. Zdaje się, że wcale nie było między nimi pokrewieństwa.

— Ale nosi nazwisko Wade?

— To trochę zagmatwane. Loraine nie była wcale córką starego Wade’a. Jak wspominałem, stary wziął sobie żonę, która przedtem żyła z jakimś typem spod ciemnej gwiazdy. Sąd przyznał mu opiekę nad córką, ale stary Wade polubił dziewczynkę i postanowił ją zaadoptować.

— Teraz rozumiem — rzekła Bundle. — To wszystko wyjaśnia.

— Co wyjaśnia?

— Ten list nie sprawiał wrażenia listu brata do siostry.

— Tak czy owak, słyszałem, że to dobra i miła dziewczyna.

Bundle wróciła na górę do pokoju rozmyślając. Miała w planie parę spraw. Najważniejszą sprawą było dotrzeć do Jimmy'ego Thesigera. Tu z pewnością pomocny okaże się Bill Eversleigh. Skoro Ronny znalazł i Billa, i Jimmy'ego, to była szansa, że Bill będzie wiedział, gdzie szukać Thesigera. Zostawała jeszcze kwestia Loraine Wade. Ta dziewczyna mogła rzucić nieco światła na tajemnicę Siedmiu Zegarów. Z listu wynikało, że Gerry Wade wspominał jej o tym już wcześniej. Jego nalegania, by zapomniała o całej tej sprawie, niosły ze sobą coś niepokojącego.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### BUNDLE SKŁADA WIZYTE

Znalezienie Billa nie stanowiło dla Bundle problemu.

Następnego poranka wsiadła w samochód i pojechała do Londynu, tym razem bez przygód. Kiedy do niego zadzwoniła, Bill ochoczo wyraził zgodę na spotkanie, proponując jednym tchem lunch, obiad, kawę i tańce. Bundle zmuszona była odmówić.

— Za dzień lub dwa z radością poplirtuję z tobą, ale dzisiaj dzwonię w interesach.

— O rany — sapnął Bill. — Ale nudy.

— Bynajmniej — odparła. — Zapewniam cię: wszystko, tylko nie nudy. Słuchaj, Bill, znasz człowieka nazwiskiem Jimmy Thesiger?

— Jasne. Ty też.

— Ja? Niemożliwe.

— Znasz, znasz. Musisz. Wszyscy go znają.

— Wybacz, ale sobie nie przypominam.

— Na pewno go spotkałaś, taki facet z czerwoną twarzą. Wygląda na durnia, ale okazuje się, że ma łeb. Prawie tak, jak ja.

— Nie mów?! Pewnie się biedaczek zatacza pod ciężarem.

— Próbujesz być ironiczna?

— Skądże znowu! Co ten twój Jimmy robi?

— Jak to, co robi?

— Bill, czy w ministerstwie rozmawiacie po chińsku?

— Ach, rozumiem, chodzi ci o to, czy pracuje? Nie, nie pracuje.

— Rzeczywiście musi mieć łeb, skoro ma pieniądze, a nie pracuje.

— Nie nabijaj się z niego, Bundle. Nie wiem, skąd ma pieniądze, ale to naprawdę niegłupi facet.

Bundle milczała. Zaczynała wątpić, czy ten złoty młodzian Jimmy był rzeczywiście odpowiednim kandydatem na sprzymierzeńca. Z drugiej jednak strony to jego imię pojawiło się na wargach umierającego. Bill jakby czytał w jej myślach.

— Ronny też uważa go za rozsądnego. Wiesz o kim mówię? Ronny Devereux... Thesiger jest jego najlepszym przyjacielem.

— Ronny...

Bundle zamilkła niezdecydowana. Najwyraźniej Bill nie wie jeszcze o śmierci Ronny'ego. Nagle Bundle zdała sobie sprawę z faktu, że poranne gazety nie wspomniały nawet o tragedii. Ktoś widocznie uznał tę informację za zbyt poufną. Była tylko jedna odpowiedź: policja zdecydowała, że dla dobra śledztwa nie należy jej wyjawiać.

— Nie widziałem Ronny'ego wieki całe — ciągnął Bill. — Dokładnie od tamtego weekendu w „Chimneys”, wiesz, wtedy, kiedy umarł Gerry...

Przerwał, po chwili znów się odezwał.

— Okropna sprawa, prawda? Chyba już wiesz? Hej, Bundle, jesteś tam?

— Tak, tak. Słucham.

— Nie odzywasz się. Myślałem już, że odłożyłaś słuchawkę.

— Nie, Bill. Zastanawiałam się nad czymś.

Czy powinna powiedzieć Billowi o śmierci Ronny'ego? Stwierdziła, że to nie jest rozmowa na telefon.

Będzie musiała spotkać się z nim już wkrótce. A póki co...

— Bill?

— Słucham cię, Bundle.

— Umówmy się na obiad. Jutro pasuje?  
— Jasne! Super, a potem pójdziemy na tańce, co? Mam ci tyle do powiedzenia. Wiesz, ostatnio spotkała mnie okropna...  
— Dobrze, Bill, powiesz mi jutro — przerwała Bundle oschle. — A teraz bądź tak dobry i podaj mi adres Thesigera.  
— Adres Thesigera?  
— Kłopoty ze słuchem?  
— Mieszka na Jermyn Street. Zaraz, Jermyn Street? A może...  
— Bill, wyteż ten swój wspaniały umysł, co?  
— Tak, Jermyn. Poczekaj momentik, zaraz podani ci numer.  
Chwila pauzy.  
— Jesteś tam?  
— Tak, Bill. Od wieków.  
— Z tymi przekłętymi telefonami nigdy nic nie wiadomo. Numer sto trzy. Zapisłaś?  
— Tak. Dzięki, Bill.  
— Możesz mi zdradzić, po co ci jego adres? Mówiłaś, że nie znasz Jimmy'ego.  
— Za pół godziny go poznam.  
— Chcesz tam pójść?  
— Jak na to wpadłeś, Holmesie?  
— Muszę ci ostrzec, że Jimmy o tej porze jeszcze śpi.  
— Śpi?  
— Tak sądzę. Na jego miejscu też bym spał. Tylko że Codders robi mi awanturę, jak się spóźniam. Nie masz pojęcia, jakie to okropne...  
— Pogadamy jutro, dobrze? Na razie.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na zegarek. Za dwadzieścia pięć dwunasta. Żaden zdrowy człowiek nie może spać o tej porze. Wbrew temu, co twierdził Bill, założyła, że Jimmy Thesiger jest już wystarczająco obudzony, by przyjmować gości. Wsiadła do samochodu i pojechała na Jermyn Street.

Drzwi otworzył lokaj o twarzy grzecznej i bez wyrazu. Typowy przedstawiciel swej profesji, jakich można było znaleźć na pęczki w tej części miasta.

— Pani pozwoli tędy.

Zaprowadził ją na piętro i wpuścił do wygodnie urządzonego saloniku. W jednym z wysokich, wyściełanych skórą foteli Bundle dostrzegła jeszcze jedną osobę. Była to pulchna blondynka, nieco młodsza od niej, ubrana w czerń.

— Jakie nazwisko mam podać, proszę pani?

— Moje nazwisko jest nieistotne. Proszę powiedzieć panu Thesigerowi, że przyszedłam w bardzo pilnej sprawie.

Ponury jegomość skinął głową i wyszedł zamykając drzwi za sobą. Zapadła cisza.

— Cóż za śliczny poranek — zaczęła blondynka nieśmiało.

— W rzeczy samej śliczny — przytaknęła Bundle. Znów cisza.

— Przyjechałam spoza Londynu — odezwała się Bundle. — Samochodem. Bałam się, że będzie mgła, ale nie było.

— Rzeczywiście — odparła dziewczyna. — Nie było. — Po chwili zaś dodała: — Ja też nie jestem z Londynu. Przyjechałam dziś rano.

Bundle przyjrzała się jej uważniej. Obecność tej dziewczyny nie bardzo jej była na rękę. Bundle, jako kobieta energiczna, lubiła wszystko szybko załatwiać. Tymczasem wiedziała, że nie będzie jej dane przejść z miejsca do konkretów, zanim nie pozbędzie się tej baby. A temat, który chciała poruszyć w rozmowie z Thesigerem, należał do delikatnych.

Kiedy tak przyglądała się blondynce, tknęła ją nagła myśl. Czy to możliwe, żeby... To by się nawet zgadzało: dziewczyna nosiła żałobę. Mogła się mylić, ale postanowiła zaryzykować. Wzięła głęboki oddech.

— Proszę wybaczyć, że pytam, ale czy mam przyjemność z panną Loraine Wade?

Oczy dziewczyny otwarły się szerzej ze zdziwienia.

— Tak. Czy my się znamy?

— Nie, ale zapewne dostała pani mój list. Jestem Bundle Brent.

— Och, to pani! Bardzo mi miło, że zechciała pani przesłać mi list od brata. Wysłałam pani kartkę z podziękowaniami. Ale nigdy nie spodziewałam się, że panią tu spotkam!

— Powiem pani, dlaczego tu jestem. Zna pani Ronny'ego Devereux?

Loraine skinęła głową.

— Przywiózł mi wiadomość o śmierci Gerry'ego. Potem odwiedzał mnie parę razy. Był jednym z przyjaciół brata.

— Tak, wiem. Otóż Ronny nie żyje.

— Nie żyje!? Przecież widziałam go nie tak dawno. Wydawał się zdrowy jak tur.

Bundle zrelacjonowała pokrótce wypadki dnia poprzedniego. Loraine zbladła.

— A więc to prawda! — wyszeptała przerażona.

— O czym pani mówi?

— Podejrzywałam to przez cały czas. Gerry nie umarł naturalną śmiercią. Został zamordowany!

— Podejrzywała pani?

— Tak. Gerry nigdy nie brał środków nasennych. Nie potrzebował ich; zawsze spał jak zabity. Aż dziw bierze, ale potrafił spać do południa. Zresztą nie tylko ja miałam podejrzenia,

— Kto jeszcze?

— Ronny. A teraz biedak nie żyje. Jego też zabili! — Urwała, po czym ciągnęła dalej: — Waśnie dlatego przyjechałam. Kiedy dostałam od pani ten list, próbowałam skontaktować się z Ronnym, ale nie mogłam go zastać w domu. Mówili, że wyjechał i jeszcze nie wrócił. Więc pomyślałam sobie, że pojedę zobaczyć się z Thesigerem. Ronny zawsze powtarzał, że Jimmy jest jego przyjacielem. Myślałam, że od niego się dowiem, co mam robić.

— W sprawie Siedmiu Zegarów? — spytała Bundle. Loraine przytaknęła.

— Widzi pani... — zaczęła.

W tym momencie do pokoju wszedł Jimmy Thesiger.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

### JIMMY PRZYJMUJE GOŚCI

Cofnijmy się teraz w czasie o jakieś dwadzieścia minut do momentu, kiedy to Jimmy wynurzał się właśnie niechętnie z objęć snu słysząc znajomy głos wypowiadający niepojęte słowa.

Jego zamroczony umysł przez dłuższą chwilę starał się pojąć znaczenie wiadomości, jednak na próżno. Jimmy ziewnął i obrócił się na drugi bok.

— Jakaś młoda dama chce się z panem widzieć. Głos był bezlitosny. Z taką natarczywością powtarzał w kolko to samo zdanie, że Jimmy był zmuszony się poddać. Zamrugnął oczami.

— Co tam mówisz, Stevens?

— Jakaś młoda dama chce się z panem widzieć.

— Tak? — Jimmy starał się zebrać myśli. — Po co?

— Tego nie wiem, proszę pana.

— Aha.

Stevens pochylił się nad tacą ze śniadaniem.

— Przyniosę świeżej herbaty, proszę pana. Ta jest zimna.

— Myślisz, że powinienem wstać i się z nią zobaczyć?

Stevens milczał, ale Jimmy odczytał odpowiedź z jego miny.

— Cóż — jęknął. — Wygląda na to, że powinienem. Przedstawiła się?

— Nie, proszę pana.

— Mhm. Mam nadzieję, że to nie ciotka Jemima. Bo jeżeli to ona, to niech mnie szlag, jeśli wstanę dla tej kwoki.

— Ośmielałam się twierdzić, proszę pana, że owa dama nie może być niczyją ciotką. Jest stanowczo zbyt młoda.

— Aaa! Młoda i piękna, co? Powiedz, Stevens, ładna jest?

— Młoda dama jest bez wątpienia *comme il faut*, jeśli wolno mi użyć tego wyrażenia.

— Wolno — przyzwolił Jimmy łaskawie. — Twój francuski jest coraz lepszy. Masz stanowczo lepszy akcent niż ja.

— Dziękuję, proszę pana. Staram się jak mogę. Biorę udział w kursie korespondencyjnym.

— Naprawdę? Stevens, jesteś wprost niezastąpiony.

Stevens uśmiechnął się i wyszedł. Jimmy leżał i starał się przypomnieć sobie wszystkie młode damy *comme il faut*, które mogłyby potencjalnie złożyć mu wizytę o tak wczesnej porze.

Wrócił Stevens z herbatą. Jimmy wziął od niego filiżankę gorącego napoju.

— Dałeś jej coś do czytania?

— Tak, proszę pana. Dostała „Morning Post” i „Puncha”.

Dzwonek do drzwi wymiółł go z pokoju. Po paru chwilach lokaj wrócił i oznajmił.

— Przyszła jeszcze jedna młoda dama, proszę pana.

— Co?!

Jimmy schwycił się za głowę.

— Jeszcze jedna młoda dama. Nie chciała podać nazwiska, ale prosiła przekazać, że sprawa jest pilna.

Jimmy wbił w niego spojrzenie.

— Cholernie dziwne, Stevens. Cholernie dziwne. Słuchaj, o której ja wczoraj wróciłem?

— Dzisiaj — poprawił lokaj. — Na krótko przed piątą.

— Aha. Czy byłem... tego... czy zachowywałem się dziwnie?

— Nie bardzo, proszę pana. Śpiewał pan hymn brytyjski.

— Hymn, powiadasz? No proszę. Na trzeźwo nigdy mi się to nie zdarza. Pewnie obudził się we mnie patriota pod wpływem paru głębszych. Świątowałem „Pod Rzeżuchą”. Jak się okazuje, wcale nie taki niewinny lokal, jakby to wynikało z nazwy. Zastanawiam się, Stevens...

— Tak, proszę pana?

— Jak myślisz, Stevens, czy to możliwe, żebym wczoraj dał ogłoszenie do gazety, że poszukuję pokojówki?

Stevens zakasłał dyskretnie.

— Dwie młode damy! Dziwna sprawa. Następnym razem będę unikał tej jaskini rozpusty.

Ciągnąc podobne rozważania Jimmy ubierał się pośpiesznie. Po niespełna dziesięciu minutach był gotów stawić czoła tajemniczym gościom. Kiedy otworzył drzwi saloniku, dojrzał ciemnowłosą, szczupłą dziewczynę opartą o kominek. Widział ją pierwszy raz w życiu. Wszedł i jego wzrok padł na wysoki fotel i siedzącą w nim blondynkę. Serce zabiło mu żywiej. Loraine!

— Pewnie jesteś zaskoczony widząc mnie tutaj — rzekła panna Wade nieco drżącym głosem, wstając — ale musiałam przyjść. Zaraz ci wszystko wyjaśnię, tymczasem pozwól sobie przedstawić lady Eileen Brent.

— Przestańmy z tą etykietą. Mówcie mi Bundle. Zapewne słyszałeś o mnie od Billa Eversleigha.

— T... tak, owszem. Wspominał... — Jimmy starał się zapanować nad sytuacją. — Usiądźmy, dobrze? Napijcie się czegoś?

Dziewczęta poprosiły o herbatę.

— Wybaczcie mi — ciągnął po chwili — ale dopiero co wstałem.

— To właśnie usłyszałam od Billa — odrzekła Bundle. — Powiedziałam mu, że mam zamiar cię odwiedzić, a on mnie uprzedził, że na pewno jeszcze śpisz.

— Już nie śpię — zapewnił ją Jimmy.

— Wiesz już o Geraldzie — zaczęła Loraine. — Bo teraz Ronny...

— Co Ronny?

— Nie żyje.

— Jak to? — wykrzyknął Jimmy.

Bundle powtórzyła swoją opowieść. Jimmy wysłuchał jej z niedowierzaniem.

— Zastrzelony... — wyszeptał. — O co tutaj chodzi? Usiadł na brzegu krzesła i zastanawiał się przez chwilę, po czym odezwał się cichym, bezbarwnym głosem.

— Muszę wam coś powiedzieć.

— Tak? — zachęciła go Bundle.

— To było tego dnia, kiedy umarł Gerry Wade. W drodze do ciebie — spojrzał na Loraine — Ronny powiedział mi coś w samochodzie. A raczej próbował mi coś powiedzieć. Zaczął, ale nagle przerwał mówiąc, że nie może, bo jest związany obietnicą.

— Obietnicą? — powtórzyła Loraine w zamyśleniu.

— Tak właśnie powiedział. Oczywiście nie naciskałem, ale wydało mi się to cholernie dziwne. Doszedłem do wniosku, że musiał mieć jakieś podejrzenia. Sądziłem, że powie coś lekarzowi, ale nie. Dochodzenie wykazało zresztą, że sprawa była czysta. Wydawało mi się więc, że moje przypuszczenia nie mają podstaw.

— Myślisz, że Ronny coś podejrzewał? — zapytała Bundle.

Jimmy skinął głową.

— Teraz jestem pewien. Zresztą od tamtej pory nikt z nas się z nim nie widział. Przypuszczam, że działał na własną rękę próbując odkryć tajemnicę śmierci Geralda. Co więcej, pewien jestem, że ją odkrył. Dlatego ci dranie go zastrzelili. Potem próbował przekazać dla mnie informację, ale wydobył tylko te dwa słowa...



— Siedem zegarów — powiedziała Bundle i przeszedł ją dreszcz.

— Siedem zegarów — powtórzył Jimmy ponuro. — Przynajmniej tyle wiemy na pewno. Bundle spojrzała na Loraine.

— Miałaś mi zdaje się powiedzieć...

— Ach, tak! Ale najpierw o liście — zwróciła się Loraine do Jimmy'ego. — Gerry zostawił list. Lady Eileen...

— Bundle.

— Bundle go znalazła. — Loraine wyjaśniła sprawę w kilku słowach.

Jimmy słuchał z żywym zainteresowaniem. O liście słyszał po raz pierwszy. Loraine wydobyła go z torebki i wręczyła mu. Przeczytał go szybko i podniósł na nią oczy.

— Tu właśnie możesz nam pomóc. O czym to Gerry kazał ci zapomnieć?

Loraine zamyślona zmarszczyła brwi.

— Nie wszystko dokładnie pamiętam. Kiedyś przez pomyłkę otworzyłam list Geralda. Był napisany na tanim papierze, bardzo niewyrobionym pismem. W podpisie miał „Siedem Zegarów” i gdy zdałam sobie sprawę, że to nie do mnie, włożyłam go z powrotem do koperty nie czytając.

— Na pewno? — spytał Jimmy.

— Wiem, co chcesz powiedzieć. Owszem, jak każda kobieta jestem ciekawska, z tym, że ten list wcale nie wyglądał na ciekawy. Po prostu lista nazwisk i dat.

— Nazwiska i daty — powtórzył Jimmy z namysłem.

— Gerry się nawet nie gniewał — kontynuowała Loraine. — Roześmiał się tylko. Spytał, czy kiedykolwiek słyszałam o mafii, potem zaś dodał, że nie wierzy, by podobna organizacja mogła rozwinąć się w Anglii. Powiedział, że angielskim przestępcom brak wyobraźni.

Jimmy gwizdnął z cicha.

— Chyba zaczynam pojmować — powiedział. — Siedem Zegarów jest z pewnością sztabem jakiejś tajnej organizacji przestępczej. Gerry wyraźnie to sugerował w liście do ciebie. Na początku wziął to za kiepski żart, jednak potem musiało wydarzyć się coś, co sprawiło, że zmienił zdanie. Trapi mnie jeszcze jedno: jego naleganie, żebyś zapomniała o całej tej sprawie. Powód wydaje się oczywisty. Jeżeli ta sekretna organizacja dowiedziałyby się, że posiadasz informacje o ich działalności, byłabyś w wielkim niebezpieczeństwie. Gerald zdawał sobie z tego sprawę i niepokoił się o twój los.

Urwał, po czym dodał cicho:

— Coś mi się widzi, że wszyscy znajdziemy się w tarapatach, jeżeli dalej będziemy zajmować się tą sprawą.

— Jeżeli?! Masz wątpliwości? — zawołała Bundle z oburzeniem.

— Mówię o was. Ja to co innego. Ronny był moim najlepszym kumplem. — Spojrzał na Bundle. — Ty zrobiłaś już swoje. Dostarczyłaś wiadomość od Ronny'ego.

Nie, na miłość boską, trzymaj się jak najdalej od tej ponurej historii, ty i Loraine.

Bundle obrzuciła Loraine baczny spojrzeniem. Sama już zdecydowała, ale nie dała tego po sobie poznać. Nie chciała wciągać panny Wade w niebezpieczne przedsięwzięcie.

Ale Loraine płonęła oburzeniem.

— Jakim prawem mnie wykluczasz! Czy naprawdę sądzisz, że mogłabym tak po prostu zapomnieć o wszystkim? Po tym, co zrobili z moim kochanym bratem? Najdroższym, najukochańszym mężczyzną, jakiego znałam? To był jedyny człowiek na tym świecie, którego kochałam!

Jimmy chrząknął z zakłopotaniem. „Co za dziewczyna — pomyślał — co za dziewczyna!”

— Posłuchaj — zaczął delikatnie. — Nie wolno ci tak mówić, przecież wszyscy chcemy dla ciebie jak najlepiej. Masz przyjaciół, którzy są gotowi pomóc ci zawsze, niezależnie od tego, co się stanie. Rozumiesz?

Loraine niewątpliwie rozumiała aż za dobrze, bo nagle zarumieniła się i, by pokryć zmieszanie, zaczęła nerwowo mówić.

— W takim razie załatwione. Zamierzam pomóc, najlepiej jak potrafię, i nikt nie zdoła mnie od tego powstrzymać.

— Mogę jedynie dodać to samo — rzekła Bundle. Spojrzały obie na Jimmy'ego.

— Hmm — mruknął. — No tak. Nie spuszczały z niego oczu.

— Zastanawiam się tylko — rzekł Jimmy — od czego powinniśmy zacząć.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY PLANY

Słowa Jimmy'ego przeniosły dyskusję na bardziej praktyczny grunt.

— Podsumowując — rzekł Jimmy — nie mamy zbyt wielu punktów zaczepienia, oprócz tych dwóch słów: „siedem zegarów”. Bundle coś wspominała, że to nazwa jakiejś knajpy, tak? Ale przecież nawet nie wiemy, gdzie jej szukać. Nawet jeśli znajdziemy, to obawiam się, że nie posunie nas to ani trochę naprzód.

— Możemy tam pójść i się rozejrzeć — podsunęła Bundle.

— Nie sądzę. Wiesz, ile ludzi przewija się przez takie miejsca codziennie? Trzeba działać subtelnie. .

To słowo przywiodło mu na myśl Socks. Jimmy uśmiechnął się pod nosem.

— Jest jeszcze to pole, gdzie zastrzelono Ronny'ego. Moglibyśmy pojechać tam i zbadać okolicę, ale sądzę, że policja już to zrobiła. Zresztą oni mają więcej wprawy w tego rodzaju działalności.

— Wiesz, co w tobie lubię? — rzuciła Bundle z przekąsem. — Twój niepoohamowany optymizm.

— Nie zwracaj na nią uwagi, Jimmy — rzekła Loraine. — Mów dalej.

— Nie bądź niecierpliwa — Jimmy zganił Bundle. — Gliny też tak robią: najpierw należy wyeliminować te elementy śledztwa, które donikąd nie prowadzą. Dochodzimy zatem do trzeciego tropu: śmierć Geralda.

Zgodzicie się ze mną, że bez wątplenia mamy tu do czynienia z morderstwem.

— Tak — rzekła Loraine.

— Tak — rzekła Bundle.

— Dobrze. I tu widzę szansę dla nas. Skoro więc Gerry nie wziął chloralu z własnej woli, wydaje się oczywiste, że ktoś musiał wejść do pokoju i mu go podłożyć. Prawdopodobnie rozpuścił środek w szklance wody i postawił na stoliku obok łóżka. Kiedy Gerry się obudził, sięgnął po szklankę i wypił. Naturalnie morderca nie zapomniał o tym, by zostawić na stoliku butelkę po chloralu. Zgadza się z tym?

— Tak — odparła Bundle. — Z tym, że...

— Poczekaj chwilę — przerwał Jimmy. — A więc morderca musiał być wtedy w domu. To nam zawęża poszukiwania.

— Zgadza się — Bundle tym razem przytaknęła bez zastrzeżeń.

— Doskonale. Zacznijmy zatem od służby. Zakładam, że wszyscy są zaufanymi ludźmi, którzy od dłuższego czasu pracują dla twojej rodziny, tak?

— Tak — odparła Bundle. — Wynajęliśmy dom razem ze służbą. Jest jednak parę osób, które przyszły do nas niedawno.

— No właśnie. Zatem twoim zadaniem jest wybadać, kto ze służby został przyjęty ostatnimi czasy.

— Jeden z lokajów jest nowy. John, jeśli dobrze pamiętam.

— A więc dowiedz się czegoś więcej o tym Johnie. I o wszystkich innych, którzy zostali przyjęci niedawno.

— Więc zakładasz, że to był ktoś ze służby? — zapytała Bundle z wahaniem. — Gości wykluczamy?

— Raczej tak.

— Chciałabym jednak wiedzieć, kto był wtedy w domu.

— No dobrze. Więc tak: były trzy dziewczyny. Nancy, Helen i Socks...

— Socks Daventry? Znam ją.

— Możliwe. Ma zwyczaj mówić, że wszystko jest subtelne.

— Cała Socks. Zgadza, się.

— Kto jeszcze... No, był Gerry Wade, ja, Bill Eversleigh i Ronny. Oczywiście sir Oswald i lady Coote. Aha, i Pongo.

— Kto to jest Pongo?

— Bateman, sekretarz starego Coote'a. Nieco ponury gość, ale całkiem rozgarnięty. Chodziłem z nim do szkoły.

— Nie widzę w tym gronie nikogo podejrzanego — stwierdziła Loraine.

— Zgadza się — dodała Bundle. — W takim razie pozostaje służba. Ach, jeszcze jedno. Jeden z budzików został wyrzucony przez okno. Wiesz coś o tym?

— Wyrzucony? — wyraz zdumienia na twarzy Jimmy'ego świadczył, że chłopak pierwszy raz o tym słyszy.

— Nie wiem, czy ma to coś wspólnego ze sprawą. Ale to dziwne. Jakoś nie widzę w tym sensu.

— Pamiętam, że po śmierci Geralda wszedłem do jego pokoju. Ktoś poustawiał te cholerne budziki nad kominkiem i zauważyłem, że jednego brakuje. Było ich tylko siedem. Jimmy zadrżał.

— Wybaczcie, ale te budziki okropnie mi się kojarzą. Śnią mi się po nocach. Brr, czasem, jak pomyślę o tych siedmiu zegarach...

Bundle wydała nagle urwany okrzyk.

— O rany! Ale z nas ciemniaki! Siedem zegarów! Reszta spojrzała na nią z powątpiewaniem.

— To nie może być przypadek! — nalegała Bundle. Milczeli przez chwilę.

— Chyba masz rację — odezwał się Jimmy. — Cholernie dziwna sprawa...

Bundle poczuła przyływ energii.

— Kto kupił te budziki?

— Wszyscy.

— Czyj to był pomysł?

— Nasz wspólny.

— Bzdura. Ktoś musiał na to pierwszy wpaść.

— Widzisz, to nie tak. Zastanawialiśmy się, jak obudzić biednego Geralda, i wtedy Pongo zaproponował, żeby użyć budzika. Ktoś powiedział, że to nic nie da, potem ktoś inny, chyba Bill Eversleigh, rzucił żart, że trzeba by co najmniej tuzin budzików. Na co wszyscy stwierdzili, czemu nie, więc pojechaliśmy do sklepu. Każdy kupił po jednym i prócz tego dwa dodatkowe, dla Pongo i lady Coote. Żadnej premedytacji, po prostu czysty przypadek.

Bundle zamilkła, choć nie wyglądała na przekonaną. Jimmy zabrał się za podsumowanie faktów.

— Zbadajmy, co wiemy do tej pory. W Londynie działa jakaś tajemnicza organizacja, coś w rodzaju mafii. Gerry dowiaduje się o jej istnieniu, ale z początku uważa to za żart, za jakiś absurd. Nie wierzy, że mogą być niebezpieczni. Ale potem stało się coś, co mu dało do myślenia, i przypuszczam, że poinformował o tym Ronny'ego Devereux. Po śmierci Geralda Ronny musiał być na ich tropie. Kłopot w tym, że my nie wiemy tego, co ci dwaj wiedzieli.

— Może to lepiej — skonstatowała Loraine trzeźwo. — Nie będą nas podejrzewać i może się nami nie zainteresują.

— Wolałbym, żeby tego nie robili — zafrasował się Jimmy. — Widzisz, Loraine, sam Gerry chciał, żebyś trzymała się od tej sprawy z daleka. Czy nie lepiej, żebyś...

— Nie lepiej — ucięła Loraine. — Nie zaczynaj znowu, to strata czasu.

Na wzmiankę o czasie Jimmy zerknął na zegar. Kiedy zobaczył, która jest godzina, wydał okrzyk i podbiegł do drzwi.

— Stevens! — zawołał.

— Tak, proszę pana?  
— Czy pomyślałeś o lunchu?  
— Owszem, proszę pana. Pani Stevens wszystko przygotowała jak trzeba.  
— To fantastyczny człowiek — stwierdził Jimmy z ulgą, wróciwszy do pokoju. — Bardzo rozsądny. Bierze kursy korespondencyjne. Zastanawiam się, czy mi też by dobrze nie zrobiły.  
Stevens zaczął wnosić wyszukane potrawy. Najpierw podano omlet, potem przepiórki, na końcu zaś suflet delikatny niczym morska pianka.  
— Z tego, co widzę — zauważyła Loraine ponuro — potrafisz sobie dogadzać. Pewnie niespieszne ci zmieniać swój kawalerski stan.  
— Ależ, Loraine — zaprotestował Jimmy — nie mów tak. Wcale nie tak zabawnie być kawalerem. Czasami myślę...  
Zająknął się i przerwał. Loraine po raz drugi pokryła się rumieńcem.  
W tym momencie Bundle wydała urwany okrzyk. Reszta spojrzała na nią z potępieniem.  
— Idiotka! Durna baba! — wykrzyknęła. — Przepraszam, to było do siebie. Wiedziałam, że o czymś zapomnę.  
— Czy możesz wyrażać się jaśniej?  
— Znasz Coddersa? To jest George’a Lomaxa?  
— Słyszałem o nim od Billa i Ronny’ego.  
— No więc Codders wydaje przyjęcie w przyszłym tygodniu. I wyobraźcie sobie, dostał list z pogrózkami, podpisany przez Siedem Zegarów.  
— Co?! Mówisz serio? — Jimmy spojrzał na nią podekscytowany.  
— Owszem. Pokazał go mojemu ojcu. Wiecie, co to może oznaczać?  
Jimmy milczał przez chwilę rozważając usłyszaną rewelację. Kiedy się wreszcie odezwał, jego głos brzmiał głucho.  
— Na tym przyjęciu wydarzy się coś strasznego.  
— Dokładnie to samo pomyślałam — rzuciła Bundle.  
— Zdaje się, że zaczynam rozumieć — mruknął pod nosem.  
Spojrzał na Loraine.  
— Ile miałaś lat, kiedy wybuchła wojna? — spytał nieoczekiwanie.  
— Dziewięć. Nie... osiem.  
— Gerry musiał mieć wtedy ze dwadzieścia. Większość facetów w jego wieku poszła wtedy do armii. Gerry nie poszedł.  
— Nie — przytaknęła Loraine po namyśle. — Gerry nie był w wojsku, ale nie mam pojęcia dlaczego.  
— Powiem ci dlaczego — rzekł Jimmy. — A raczej spróbuję zgadnąć. Otóż między tysiąc dziewięćset piętnastym i tysiąc dziewięćset osiemnastym nie było go w kraju. Zadałem sobie trud, by to sprawdzić. Co więcej, nikt nie był mi w stanie powiedzieć, gdzie był. Ja sądzę, że był w Niemczech.  
Loraine pokraśniała i spojrzała na Jimmy’ego z podziwem.  
— Ty to masz łeb!  
— Znał dobrze niemiecki, zgadza się?  
— Gadał jak prawdziwy Niemiec.  
— Głowę dam, że mam rację. Słuchajcie. Gerry Wade pracował dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Sprawiał pozory zwykłego urzędnika, żeby nie rzec popychadła, podobnie jak Ronny i Bill. Tymczasem w rzeczywistości pełnił dużo ważniejszą rolę. Wiadomo, że angielski wywiad należy do najlepszych na świecie. Moim zdaniem Gerry zajmował w tym wywiadzie całkiem poważne stanowisko. To by wiele wyjaśniało. Pamiętam, że w „Chimneys” powiedziałem, że Gerry nie jest wcale taki głupi, jakiego udaje.  
— Założmy, że masz rację — Bundle była jak zawsze praktyczna.

— W takim razie sprawa jest dużo bardziej poważna, niż nam się wydaje. Znaczyłoby to, że Siedem Zegarów nie jest zwykłą szajką przestępców, lecz zorganizowaną siatką szpiegowską. Jedno jest pewne: musimy za wszelką cenę wkręcić się na przyjęcie do Lomaxa.

Bundle skrzywiła się.

— Znam Georga jako tako, ale on mnie nie lubi. Na pewno by mnie nie zaprosił. Ale chyba wiem...

Urwała zatopiona w rozmyślaniach.

— Sądysz, że mógłbym to załatwić przez Billa? Na pewno tam będzie, jest prawą ręką Coddersa. Może uda mu się załatwić zaproszenie.

— Spróbuj. Tylko wyłóż mu to prosto i zrozumiale. Bill nie potrafi myśleć samodzielnie.

— Co proponujesz? — spytał Jimmy potulnie.

— Nic prostszego. Niech cię przedstawi jako młodego, bogatego człowieka, który stara się o mandat w parlamencie. George wpadnie jak nic. Znasz przecież tych polityków: zawsze chętnie przyjmą kogoś z funduszem. Im więcej, tym lepiej.

— Zgadzam się, jeśli tylko nie przedstawią mnie jako Rothschilda.

— No to załatwione. Jutro jestem umówiona na obiad z Billem. Spróbuję wyciągnąć od niego listę gości. Może się przydać.

— Szkoda, że nie będziecie mogły pójść ze mną. Ale sądzą, że to nawet lepiej dla was.

— Zobaczymy — rzekła Bundle. — Wprawdzie Codders na mój widok dostaje pryszczki, ale przecież są inne sposoby...

Znów się zamyśliła.

— A co? — spytała Loraine żałośnie.

— Ty pozostaniesz w odwodzie — pospieszył z odpowiedzią Jimmy. — Musimy mieć swojego człowieka na zewnątrz, żeby... żeby...

— Żeby co?

Jimmy zdecydował, że nie będzie rozwijał tej kwestii. Zwrócił się z apelem do Bundle.

— Powiedz jej, że lepiej, by trzymała się od tego z daleka.

— Zgadzam się w zupełności.

— Następnym razem — zapewnił Jimmy ciepło.

— A jeśli nie będzie następnego razu? — Loraine była niepoczyszona.

— Będzie, będzie. Nie bój się.

— I co? Mam po prostu iść do domu i czekać?

— Dokładnie — odparł z ulgą Jimmy. — Wiedziałem, że zrozumiesz.

— Widzisz — Bundle pospieszyła z wyjaśnieniami — jeżeli wszyscy troje będziemy próbowali się tam wkręcić, to ktoś może uznać to za podejrzaną. Tym bardziej, że jesteś osobą, której nikt nie zna. Pojmujesz?

— Tak — odparła Loraine.

— A więc załatwione — rzekł Jimmy. — Zostajesz w domu.

— Zostaję — rzekła potulnie.

Bundle zmierzyła ją baczny wzrokiem. Była zaskoczona, że Loraine przyjęła to bez sprzeciwu. Dziewczyna odpowiedziała spojrzeniem błękitnych, niewinnych oczu. Nawet nie mrugnęła. Bundle jednak nie mogła pozbyć się wątpliwości. Uważała, że ta potulność jest nad wyraz podejrzana.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY BUNDLE W SCOTLAND YARDZIE

Łatwo zauważyć, że w trakcie powyższej rozmowy każde z trojga uczestników miało coś do ukrycia.

Można się na przykład zastanawiać, czy Loraine Wade była absolutnie szczerą podając powód swych odwiedzin u Jimmy'ego Thesigera.

Z kolei Jimmy Thesiger miał cały szereg pomysłów związanych z przyjęciem u Lomaxa, których nie chciał zdradzać przed, dajmy na to, Bundle.

Bundle, ze swej strony, miała gotowy plan, który zamierzała wprowadzić w życie natychmiast po opuszczeniu apartamentu Jimmy'ego. Z sobie jedynie znanych powodów zdecydowała się trzymać swój zamiar w tajemnicy.

Kiedy wyszła od Jimmy'ego, pojechała prosto do Scotland Yardu i poprosiła o spotkanie z nadinspektorem Battle'em.

Nadinspektor Battle był ważną osobistością w policyjnym świecie. Zajmował się niemal wyłącznie delikatnymi sprawami natury politycznej. Właśnie w jednej z takich spraw przyjechał cztery lata temu do „Chimneys”. Bundle miała nadzieję, że Battle jeszcze ją pamięta.

Po krótkim oczekiwaniu została poprowadzona szeregiem długich korytarzy do biura nadinspektora. Battle sprawiał wrażenie flegmatyka; jego twarz była pozbawiona śladu emocji, niczym wyciosana z drewna. Szczerze mówiąc, wyglądał raczej na tępawego posterunkowego niż na oficera śledczego.

Kiedy weszła do biura, Battle stał przy oknie i beznamiętnym wzrokiem obserwował stadko wróbli kłębiących się na podwórzu.

— Dzień dobry, lady Eileen — rzekł. — Zechce pani usiąść.

— Dziękuję. Już się bałam, że mnie pan nie pamięta.

— Zawsze pamiętam ludzi. To niezbędne w moim zawodzie.

— No tak — odparła Bundle.

— Co panią do mnie sprowadza?

Bundle z miejsca przeszła do rzeczy.

— Spodziewam się, że tu, w Scotland Yardzie prowadzicie kartotekę wszystkich tajnych organizacji, które powstają w Londynie.

— Wszystkich, to może lekka przesada, ale robimy co w naszej mocy — odparł Battle ostrożnie.

— Zapewne większość z nich jest zupełnie nieszkodliwa, prawda?

— W naszym biurze krąży taka opinia: im głośniejszy krzyk, tym mniej robią. Zdziwiłaby się pani, jak dalece pokrywa się to z praktyką.

— Słyszałam, że z reguły przymykacie oczy na ich działalność.

Battle kiwnął głową.

— Zgadza się. Jeżeli grupa ludzi nazywa siebie Bractwem Wolności i spotyka się dwa razy w tygodniu w jakiejś ciemnej piwnicy, by rozprawić o tym, że nadejdzie czas odkupienia, to przecież nie będziemy im tego zabraniać. A w razie kłopotów wiemy, gdzie ich szukać.

— Ale zdarza się — drażyła Bundle — że tego typu grupy stają się niebezpieczne?

— No cóż...

— Tak czy nie? — nalegała.

— Tak.

Bundle milczała przez chwilę.

— Panie nadinspektorze — rzekła cicho — czy mógłby pan dostarczyć mi listę tajnych organizacji, które mają siedzibę w dzielnicy Siedem Zegarów?

Nadinspektor Battle był powszechnie znany ze swej zimnej krwi. Jednak tym razem Bundle gotowa była przysiąc, że jego powieki drgnęły. Trwało to jedynie ułamek sekundy. Kiedy Battle odpowiedział, jego twarz była na powrót nieprzenikniona.

— Ściśle mówiąc, obecnie nie ma już tej dzielnicy.

— Naprawdę?

— Tak. Większość domów została zburzona i na ich miejscu postawiono nowe. Niegdyś była to podejrzana okolica, obecnie mieszkają tam ludzie szacowni. Wcale nie odpowiednie miejsce na tajne stowarzyszenia.

— Oh — zakłopotana się Bundle.

— Niemniej chciałbym wiedzieć, skąd u pani ten pomysł, lady Eillen.

— Czy naprawdę muszę panu odpowiadać?

— Cóż, to zaoszczędzi kłopotów nam obojgu. Będziemy wiedzieć, na czym stoimy, że się tak wyrażę.

Bundle wahała się przez moment.

— Wczoraj zastrzelono pewnego człowieka — odparła. — Myślałam, że go przejechałam...

— Pan Ronald Devereux?

— Więc pan wie o wszystkim. Dlaczego nie było wzmianki w prasie?

— Naprawdę chce pani wiedzieć?

— Tak.

— No więc chcieliśmy mieć trochę spokoju na zbadanie sprawy, zanim zwali się tutaj tłum dziennikarzy. Informacja znajdzie się w jutrzejszej prasie.

— Aha — Bundle patrzyła na niego zaintrygowana. Co kryło się za tą nieruchomą twarzą? Nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

— Umierając — zaczęła cicho — powiedział te dwa słowa: siedem zegarów.

— Dziękuję. Wezmę to pod uwagę. Zanotował coś na skrawku papieru. Bundle spróbowała podejść inaczej.

— Słyszałam, że był u pana George Lomax w sprawie listu z pogrózkami, który dostał ostatnio.

— Owszem.

— I że list podpisany był „Siedem Zegarów”.

— Takie mam wrażenie.

Bundle czuła, że dobija się do zamkniętych drzwi.

— Jeżeli mógłbym coś zasugerować, lady Eileen...

— Wiem, co pan chce powiedzieć.

— To dobrze. Zatem radzę pani pójść do domu i zapomnieć o całej sprawie.

— I zostawić ją panu, tak mam to rozumieć?

— W końcu z nas dwojga to ja jestem profesjonalistą, prawda?

— A ja amatorem, tak? Może i nie mam pańskiego doświadczenia, ale nie mam zamiaru siedzieć z założonymi rękami. Czasem amator może działać więcej niż profesjonalista.

Nadinspektor westchnął.

— Skoro więc — ciągnęła — nie chce mi pan dać tej listy...

— Tego nie powiedziałem. Dostanie pani listę wszystkich tajnych organizacji działających obecnie w Londynie.

Wyszedł na moment z biura, po chwili wrócił i usiadł za biurkiem. Bundle czuła się zbita z tropu. Jego zgoda była wysoce podejrzana. Battle wpatrywał się w nią z grzecznym wyrazem twarzy.

— Czy pamięta pan śmierć Geralda Wade’a? — spytała nagle.



— Tak — odparł. — Przedawkowanie środków nasennych.

— Jego siostra twierdzi, że nigdy nie brał pigułek na sen.

— Zdziwiłaby się pani, jak wiele rzeczy można ukryć przed własną siostrą.

Bundle zatkało. Siedziała w milczeniu przez dłuższą chwilę. Do biura wszedł człowiek w mundurze i wręczył nadinspektorowi kartkę maszynopisu.

— Proszę — rzekł Battle, kiedy za tamtym zamknęły się drzwi. — Co my tu mamy... Towarzysze Pokoju. Czerwona Flaga. Dzieci Moskwy. Gończe Psy. Bractwo Wyklętych. I cała masa innych.

Kiedy wręczał jej listę, Bundle dostrzegła błysk w jego oku.

— Wiem, dlaczego daje mi pan tę listę — rzuciła z przekąsem. — Bo nic mi po niej. Chce się mnie pan pozbyć, prawda?

— Nie ukrywam, lady Eileen, że wolałbym nie mieszać pani do tej sprawy. Oszczędziłoby mi to kłopotów.

— Opiekowania się moją osobą, to pan chce powiedzieć?

— Dobrze to pani ujęła.

Bundle podniosła się z krzesła i stała niezdecydowana. Zdawało się, że Battle ma wszystkie atuty w ręku. Nagle przyszło jej coś do głowy.

— Kiedy powiedziałam, że amator może czasem wiele zdziałać, nie zaprzeczył pan. Jest pan uczciwym człowiekiem i wie pan, że mam trochę racji.

— Proszę mówić dalej — odparł.

— Cztery lata temu przyjął pan moją pomoc. Czy teraz pan ją odrzuci?

Rozważał to przez chwilę. Zachecona jego milczeniem, Bundle ciągnęła swój wywód.

— Zna mnie pan dobrze, panie nadinspektorze. Jestem uparta i lubię wtykać swój nos w cudze sprawy. Nie chcę stawać panu na drodze i robić rzeczy, które leżą w gestii policji. Ale jeśli ma pan jakieś zadanie dla amatora, proszę wziąć mnie pod uwagę.

Battle milczał, po chwili odparł cicho:

— Doceniam pani chęć pomocy, lady Eileen. Proszę teraz, żeby pani mnie dobrze zrozumiała. Ta gra jest niebezpieczna. Naprawdę niebezpieczna.

— Zrozumiałam to już jakiś czas temu — odparła. — Nie jestem głupia.

— Nie, nie jest pani głupia. Nigdy nie spotkałem rozsądniejszej kobiety niż pani. Dam pani zatem jedną wskazówkę. Robię to, ponieważ uważam, że i tak nie da pani za wygraną. Jeżeli jest pani pisane skończyć marnie, to ja nie jestem w stanie temu zapobiec.

Słyszając tak niezwykle uwagę z ust policjanta, Bundle zaniemówiła.

— Co to za wskazówka? — wykrztusiła w końcu.

— Czy zna pani Billa Eversleigha?

— Czy znam? Ależ oczywiście. Tylko co...

— Sądzę, że pan Eversleigh będzie umiał rozwiązać wszystkie pani wątpliwości dotyczące Siedmiu Zegarów.

— Bill?! A więc Bill o wszystkim wie!

— Tego nie powiedziałem. Ale jest pani sprytną osobką i nie wątpię, że uda się pani wyciągnąć od niego wszelkie niezbędne informacje. To tyle, więcej się pani ode mnie nie dowie.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

### OBIAD Z BILLEM

Nazajutrz Bundle pełna nadziei ruszyła na spotkanie z Billem.

Bill nie krył swego entuzjazmu. Zachowywał się jak wielki, niezdarny dog merdający ogonem na widok swojej pani.

— Bundle, wyglądasz wprost uroczo. Nie masz pojęcia, jak się cieszę. Zamówilem ostrygi. Lubisz ostrygi, prawda? Mówże, co słyhać? Tak długo cię nie było, myślałem, że wyprowadziłaś się już na amen. Jak było?

— Okropnie — odparła Bundle. — Wprost obrzydliwie. Stada emerytowanych oficerów wałęsających się po plażach i kupa przemądrzałych starych panien ze swymi dobrymi radami.

— Nie ma to jak stara, dobra Anglia. Jak ja nie znoszę Europy! No, może z wyjątkiem Szwajcarii. Szwajcaria jest w porządku. Wybieram się tam na Boże Narodzenie. Może skoczysz ze mną?

— Pomyślę. A jak tam u ciebie, Bill?

To pytanie było niewinną uwagą rzuconą z grzeczności jako wstęp dla poważniejszych spraw. Okazało się jednak katastrofalne w skutkach. Bill zdawał się tylko czekać na okazję do wyrzucenia z siebie trapiących go problemów.

— Właśnie chciałem ci powiedzieć. Słuchaj, Bundle, ty masz doświadczenie. Muszę się cię poradzić. Znasz ten musical *Przeklęte oczy*?

— Znam.

— Tłumy na to wałą, powiadam ci, tłumy. No więc w tej sztuce gra jedna aktoreczka, Amerykanka, świetna, mówię ci...

Bundle westchnęła ciężko. Te jego opowieści o dziewczynach... Jak już zaczynał, to nie sposób było mu przerwać.

— No więc ta dziewczyna, Babe St Maur...

— Ciekawe, skąd wytrzasnęła takie nazwisko? — rzuciła Bundle z sarkazmem.

Bill wziął to dosłownie.

— Z *Who is who*. Otworzyła na chybił trafił i znalazła właśnie to. Sprytne, nie? Naprawdę nazywa się Goldschmidt, czy Abrameier w każdym razie jakoś tak dziwnie...

— Bywa — mruknęła Bundle.

— Babe St Maur jest całkiem niegłupia. No i to ciało... W tej sztuce była jedną z ośmiu dziewczyn, które robią na scenie żywą piramidę...

— Bill — przerwała mu zdesperowana Bundle — byłam wczoraj u Jimmy'ego Thesigera...

— Jimmy to wspaniały chłopak, nie? No więc, jak już mówiłem, Babe St Maur jest niegłupia. Bez tego ani rusz w dzisiejszych czasach. Potrafi sobie radzić w życiu. Mawia, że jeśli chcesz się utrzymać na fali, musisz być bez litości. Poza tym jest dobra. Powiadam ci, Bundle, ta dziewczyna umie grać! Wprawdzie w tej sztuce nie miała zbyt wielkiej roli, ale zawsze... No więc mówię jej, dlaczego nie spróbujesz w czymś poważniejszym. Przecież jest parę teatrów w okolicy. Ale ona się tylko śmiała...

— Widziałeś się z Thesigerem?

— Tak, dzisiaj rano. Poczekaj, jeszcze nie usłyszałaś najgorszego! Na czym to stanęliśmy? Aha, no więc to była czysta zazdrość, nic więcej. Po prostu zazdrość.

Tamta baba nie dorastała jej do pięt i dobrze o tym wiedziała. Więc z tej zazdrości poszła raz...

Bundle poddała się temu, co nieuniknione i wysłuchała cierpliwie całej historii o skandalicznym usunięciu Babe St Maur z zespołu. Trwało to czas jakiś. Kiedy wreszcie Bill przerwał, by zaczerpnąć tchu, Bundle przejęła inicjatywę.

— Masz rację, Bill. To skandaliczne. Zazdrość...

— Wszyscy tam włożą sobie na plecy i każdy tylko czyha...

— Tak, Bill, masz rację. Słuchaj, czy Jimmy wspominał ci o przyjęciu w „Abbey”?

Na wzmiankę o przyjęciu Bill całkiem zapomniał o Babe St Maur.

— Owszem. Kazał mi wcisnąć Coddersowi jakiś kit, że niby stara się o mandat u konserwatystów. Bundle, sama wiesz, jakie to ryzykowne.

— Bzdura. Jakby Codders zaczął cię objeżdżać, możesz powiedzieć, że dałeś się nabrać i tyle.

— Ja nie o tym. To ryzykowne dla Jimmy’ego. Zanim się obejrzy, znajdzie się w jakimś cholernym Tooting East, albo innej dziurze, całując dzieciaki i wygłaszając przemówienia. Nie znasz Coddersa. Ten człowiek to wulkan energii.

— No cóż, musimy ryzykować. Zresztą Jimmy umie o siebie zadbać.

— Nie znasz Coddersa — powtarzał Bill.

— Kto będzie na tym przyjęciu?

— Ci sami nudziarze co zwykle. Na przykład ta kwoka Macatta.

— Ta posłanka?

— Tak, ta, co to ciągle gędzi o bezrobociu i głodującym dzieciach. Ohyda. Pomyśl, co będzie, gdy biedny Jimmy znajdzie się w jej szponach.

— Nie przejmuj się nim. Kto jeszcze?

— Będzie też ta Węgierka. Hrabina cośtam, nie sposób wymówić. Ona jest w porządku.

Bundle spostrzegła, że przełknął ślinę z zakłopotaniem i począł nerwowo skubać kromkę chleba.

— Młoda i piękna, co? — spytała domyślnie.

— Niczego sobie.

— Nie wiedziałam, że stary George ma jeszcze czas na amory.

— Nie ma. Ta hrabina prowadzi ochronkę w Budapeszcie, albo coś w tym stylu.

Niewątpliwie znajdą wiele wspólnych tematów z Macattą.

— Dalej — nalegała Bundle.

— Sir Stanley Digby...

— Minister lotnictwa?

— On sam. Plus jego sekretarz, Terence O’Rourke. Fajny gość, kiedyś był lotnikiem. No i ten okropny Niemiec, *Herr* Eberhard. Nie wiem, kto zacz, ale wszyscy obchodzą się z nim jak z jajkiem. Dwa razy zostałem oddelegowany, by zjeść z nim lunch. Mówię ci, Bundle, to był koszmar. Ten gość siorbie zupeę, a groszek je nożem. Mało tego, wyobraź sobie, że ten typ obgryza paznokcie, co mówię, on je wprost pożera!

— Przestań!

— Prawda, że okropne? Mówią, że jest wynalazcą albo czymś takim. No i to by było na tyle. Aha, będzie jeszcze sir Oswald Coote.

— Z żoną?

— Sądzę, że tak.

Bundle siedziała pogrążona w myślach. Lista gości była interesująca, ale nie miała teraz czasu, aby rozważać wszystkie możliwości. Bundle zmieniła temat.

— Bill — spytała — co to za sprawa z tymi Siedmioma Zegarami?

Bill z miejsca się zmieszał i spojrzął w bok, unikając jej wzroku.

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Nonsens! Wiesz dobrze.

— O czym mam niby wiedzieć? Bundle zmieniła ton.

— Nie rozumiem, dlaczego robisz z tego taką tajemnicę.  
— Żadna tajemnica, po prostu już się tam nie chodzi. Wyszło z mody.  
To brzmiało intrygująco.  
— Człowiek ledwie wyjedzie na parę dni, a już wypada z rytmu — rzekła smutno.  
— Nie masz czego żałować — pocieszył ją Bill.  
— Ludzie chodzili tam tylko po to, żeby potem chwalić się, że byli. Nuda, mówię ci.  
Zresztą śmierdziało tam smażoną rybą.  
— Mów jaśniej, co? Gdzie chodzili?  
— Do Klubu Siedmiu Zegarów, ma się rozumieć — odparł Bill zdziwiony. — Przecież o to pytałaś.  
— Nie wiedziałam, że to klub.  
— Tuż obok Tottenham Court Road. Kiedyś była tam zakazana dzielnica, ale teraz wyburzyli większość ruder. Klub Siedmiu Zegarów trzyma się tradycji. Smażona ryba, frytki, ten klimat.  
— Czyli po prostu nocny klub? Tańce i tak dalej?  
— Dokładnie. Bardzo różna klientela, ale głównie artyści, swawolne panienki i kwiat arystokracji. Różne rzeczy opowiadają o tym miejscu, choć przypuszczam, że większość to bzdury stworzone po to, by ściągnąć klientów.  
— Świetnie — rzekła Bundle. — Wybierzmy się tam dzisiaj.  
— Ja bym tam nie chodził — Bill znów się zmieszał.  
— Mówię ci, że to miejsce wyszło z mody. Nikt już tam nie chodzi.  
— A my pójdziemy.  
— Bundle, zrozum, że nie ma po co.  
— Masz mnie zabrać do Klubu Siedmiu Zegarów i to już. Ale przedtem chciałabym wiedzieć, dlaczego jesteś temu przeciwny.  
— Ja? Przeciwny?  
— Jak diabli. Jaki to wstydlivy sekret próbujesz przede mną ukryć?  
— Wstydlivy sekret?  
— Przestań powtarzać jak papuga. Robisz to, by zyskać na czasie.  
— Wcale nie! — odparł Bill z oburzeniem. — Chodzi o to...  
— Ha! Wiedziałaś, że o coś chodzi! Mnie nie oszukasz.  
— Wcale nie chcę cię oszukiwać. Chodzi o to...  
— No? Mówże!  
— To długa historia. Widzisz, poszliśmy tam kiedyś z Babe St Maur...  
— Znowu ona!  
— A co masz do niej?  
— Nie wiedziałam, że znowu chcesz o niej mówić — odparła Bundle tłumiąc ziewnięcie.  
— Więc, jak już mówiłem, poszliśmy tam raz z Babe. Zachciało jej się homara. Poszedłem zamówić...  
Opowieść ciągnęła się w nieskończoność. Bill przytoczył ze szczegółami historię kłótni, w wyniku której biedny skorupiak został rozerwany na strzępy.  
— Ten gość — Bill coraz bardziej się rozpędzał — nie mógł zrozumieć, że to mój homar. Miałem do niego pełne prawo, zapłaciłem za niego...  
— Dobrze, Bill. Już dobrze. Jestem pewna, że wszyscy już dawno zapomnieli o tej sprawie. Zresztą ja nie przepadam za homarami, więc nie ma o czym mówić.  
— Możemy się natknąć na policyjną obławę. Na pięterku jest pokój, w którym uprawiają hazard.  
— Ojciec zapłaci za mnie kaucję. Bill, nie bądź tchórzem.  
Bill w dalszym ciągu protestował, ale Bundle była nieugięta. Wkrótce oboje jechali taksówką w stronę East Endu.

Wysiedli przed wysoką kamienicą przy wąskiej uliczce. Bundle zanotowała w pamięci adres: 14 Hunstanton Street.

Drzwi otworzył człowiek, który wydał jej się dziwnie znajomy. Miała wrażenie, że i on ją rozpoznał. Był wysoki, miał jasne włosy, bladą, anemiczną cerę i niespokojne oczy. Bundle usiłowała przypomnieć sobie, gdzie go mogła widzieć.

Bill odzyskał dobry humor i z chęcią rzucił się w wir zabawy. Zaprowadził ją do sali tanecznej, która mieściła się w piwnicy. Pomieszczenie tonęło w chmurze dymu tytoniowego, a woń smażonych ryb była wprost nie do zniesienia.

Ściany pokrywały rysunki wykonane węglem, niektóre nawet ładne. Towarzystwo było mieszane: sporo obcokrajowców, złota młodzież i parę przedstawicielek najstarszej profesji świata.

Kiedy zmęczeni się tańcem, Bill wziął Bundle za rękę i poprowadził na piętro. W wejściu do sali hazardu straż trzymał ten sam blady młodzieniec, który wpuścił ich do klubu. Bundle doznała nagłego olśnienia.

— Ależ tak! Przecież to Alfred, nasz były lokaj! Jak się masz, chłopcze?

— Nie narzekam, proszę panienki.

— Kiedy opuściłeś „Chimneys”? Już po naszym wyjeździe, prawda?

— Tak, proszę panienki. Jakiś miesiąc temu. Dostałem lepszą propozycję, więc pomyślałem, że grzech ją odrzucać.

— Mam nadzieję, że dobrze ci tu płacą.

— Niezgorzej, proszę panienki.

Bundle minęła go i weszła do sali. Na pierwszy rzut oka widać było, że tu właśnie koncentruje się życie klubu. Stawki były wysokie, a goście zgromadzeni wokół zielonych stolików nosili wszelkie cechy typowych hazardzistów: bladzi, rozgorączkowani, o błędnym spojrzeniu.

Usiadła z Billem i przez pół godziny grali w bakarata, aż wreszcie Bill stwierdził, że ma dosyć.

— Bundle, chodźmy potańczyć.

Przystała z ochotą. Nie było tu nic godnego uwagi. Zeszli na dół, zatańczyli, potem zjedli rybę z frytkami, aż wreszcie Bundle oświadczyła, że chce iść do domu.

— Przecież jest jeszcze wcześniej — protestował Bill.

— Nie, Bill, innym razem. Jutro mam ciężki dzień.

— A co robisz?

— Jeszcze nie wiem — odparła tajemniczo. — Ale zapewniam cię, że nie będę próżnować.

— Nie wątpię — mruknął Bill. — Nie wątpię.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY PRACOWITY DZIEŃ

Bundle z całą pewnością nie odziedziczyła swego temperamentu po ojcu, którego ulubionym zajęciem był całkowity brak zajęć.

Nazajutrz rano Bundle obudziła się pełna energii i chęci działania. Tego dnia miała zamiar wcielić w życie trzy pomysły i jedynym ograniczeniem, z jakim się liczyła, był czas.

Na szczęście nie cierpiała na tę ułomność, która dotknęła Gerry'ego Wade'a, Ronny'ego Devereux i Jimmy'ego Thesigera. Sam sir Oswald nie mógłby jej zarzucić, że ociąga się ze wstawaniem. O ósmej trzydzięci Bundle była już po śniadaniu. Opuściła swój apartament, który wynajmowała przy Brook Street i pojechała do „Chimneys”.

Lord Caterham przywitał córkę z radością.

— Ostatnio zupełnie nie bywasz w domu — rzekł. — Dobrze, że cię widzę. Wczoraj był tu pułkownik Melrose w sprawie śledztwa. Chce się z tobą widzieć.

Pułkownik Melrose był szefem policji na hrabstwo i starym przyjacielem lorda Caterham.

— Chodzi o Ronny'ego? Kiedy?

— Jutro o dwunastej. Mówił, że ponieważ znalazłaś ciało, jesteś głównym świadkiem, ale mówił też, że nie masz się co denerwować. To tylko formalność.

— Czemu niby miałabym się denerwować?

— Znasz Melrose'a. Jest trochę staroświecki.

— Dwunasta? W porządku. Zjawię się, jeżeli dożyję jutra.

— Czy masz podstawy obawiać się o swoje życie?

— Nigdy nie wiadomo. Te stresy, o których tyle teraz w gazetach...

— Skoro mowa o stresach... George Lomax zaprosił mnie na przyjęcie w „Abbey” w przyszłym tygodniu. Ma się rozumieć, odmówiłem...

— I słusznie — rzekła Bundle. — Lepiej, byś się trzymał z daleka od kłopotów.

— Kłopotów? — lord Caterham ożywił się.

— No wiesz... Listy z pogrózkami i różne takie...

— Sądysz, że ktoś chce zamordować starego George'a? — spytał lord Caterham z nadzieją. — Może nie powinienem był odrzucać zaproszenia?

— Bądź tak dobry i pohamuj swe krwiożercze instynkty. Lepiej będzie, jak zostaniesz w domu. Idę pogadać z panią Howell.

Pani Howell była tą pełną godności gospodynią, która budziła „taki przestrah w lady Coote. Dodajmy, że w gruncie rzeczy była ona nad wyraz pocziwa. Kochała Bundle i nazywała ją panienką jeszcze od czasów, kiedy Bundle była chudą, rozbrykaną dziewczynką, lubiącą sadowić się jej na kolanach.

— Jak się masz, nianiu. Przyszłam napić się kakao i poplotkować.

Bez trudu wyciągnęła od starej gosposi wszelkie potrzebne informacje, dokonując w myślach eliminacji.

„Dwie nowe pomywaczki... wiejskie dziewczuchy, nic podejrzanego. Nowa pokojówka... siostrzenica pani Howell, odpada. Pani Howell musiała nieźle zajść za skórę lady Coote...”

— Nigdy nie przypuszczałam, panienko, że dożyję chwili, kiedy będę musiała usługiwać obcym ludziom.

— Trzeba iść z duchem czasu, nianiu. Módl się lepiej, żeby „Chimneys” nie sprzedano na hotel.

Pani Howell przeżegnała się trwożnie.

— Powiedz mi — spytała Bundle — co sądzisz o sir Oswaldzie?

— Bardzo rozsądny gentleman.

Nie brzmiało to szczerze.

— Oczywiście to pan Bateman doglądał wszystkiego — mówiła dalej pani Howell. — Przedsiębiorczy młody człowiek. Trzeba przyznać, że zna się na rzeczy.

Bundle skierowała rozmowę na temat śmierci Geralda Wade'a. Pani Howell zaczęła rozwodzić się nad losem biednego Gerry'ego, ale Bundle nie dowiedziała się nic nowego. Pożegnała zaczynając gospośnię i poszła do swego pokoju. Wezwała Tredwella.

— Tredwell, kiedy zwolniono Alfreda?

— Miesiąc temu, milady.

— Dlaczego?

— Odszedł na własną prośbę. Zdaje się, że ma pracę w Londynie. Szkoda go, nigdy nie miałem z nim kłopotów. Przyjąłem na jego miejsce Johna, sądzę, że będzie pani z niego zadowolona. To dobry chłopak i zna swój fach.

— Skąd jest?

— Ma wspaniałe referencje. Ostatnio pracował dla lorda Mount Vernon.

— Rozumiem — rzekła Bundle z namysłem. Przypomniała sobie, że lord Mount Vernon wyjechał ostatnio na safari do Kenii.

— Jak się nazywa? — spytała po chwili.

— Bower, milady.

Tredwell stał jeszcze przez moment, widząc jednak, że Bundle skończyła, wyszedł zamykając cicho drzwi. Bundle siedziała zatopiona w myślach.

Rano przy śniadaniu obserwowała nowego lokaja, starając się robić to ukradkiem. Sprawiał wrażenie dobrze wyszkolonego służącego. Miał jednak trochę nietypową dla lokaja, wojskową postawę.

Nie potrafiła wyciągnąć z tego szczegółu żadnych istotnych wniosków. Sięgnęła po ołówek i kartkę papieru. Zapisała słowo Bower i wpatrywała się w nie w skupieniu.

Nagle przysła jej do głowy myśl i Bundle zamarała z ołówkiem w rękę. Ponownie wezwała Tredwella.

— Tredwell, jak się pisze tego Bowera?

— B-A-U-E-R, milady.

— To nie jest angielskie nazwisko.

— Zdaje się, że Bauer jest Szwajcarem, milady.

— Aha. Dziękuję, Tredwell, to wszystko. Szwajcar? Raczej Niemiec! Ta wojskowa postura! I to, że zjawił się w „Chimneys” na tydzień przed śmiercią Geralda!

Bundle zerwała się na równe nogi. W „Chimneys” zrobiła już, co było do zrobienia. Kolej na punkt drugi. Ruszyła do gabinetu ojca.

— Wychodzę — rzekła mu. — Jadę z wizytą do ciotki Marcii.

— Co!?! — lord Caterham nie krył współczucia. — Biedne dziecko! Kto cię w to zrobił?

— Nikt. Jadę tam z własnej woli.

Lord Caterham spojrział na córkę ze zdumieniem. Nie mógł zrozumieć, że ktoś mógłby z własnej, nieprzymuszonej woli narażać się na spotkanie z jego szwagierką. Marcia, markiza Caterham, wdowa po jego ukochanym bracie Henrym, była szczególną postacią. Lord Caterham był gotów przyznać, że Henry miał w niej wspaniałą, kochającą żonę, bez której pomocy nigdy nie zostałby sekretarzem stanu. Z drugiej jednak strony zawsze traktował śmierć brata jako miłosierny *coup de grace* z ręki Wszzechmogącego.

Teraz sądził, że jego córka postradała zmysły.

— Na twoim miejscu, moja droga, nie robiłbym tego. Nie wiesz, co czynisz, nieszczęsna.

— Mam nadzieję, że wiem — odparła Bundle. — Nie martw się o mnie. Nic mi nie będzie.

Lord Caterham westchnął ciężko i powrócił do lektury Fielda. Bundle wyszła, ale po paru minutach znowu zajrzała do gabinetu.

— Tatku, przepraszam, że ci zawracam głowę, ale chciałam zapytać o sir Oswalda. Na czym on zrobił tę fortunę?

— Jak to, na czym? Na machlojkach.

— Pytam poważnie.

— Przemysł ciężki; Stal i żelazo. Ma największe huty żelaza w całej Anglii. Naturalnie sam już nie prowadzi interesów. Ma od tego rady nadzorcze, czy jak to się tam nazywa. Ostatnio nawet zaproponował mi posadę dyrektora. Ponoć lekka praca. Człowiek nic nie musi robić, raz do roku jedynie trzeba jechać do Londynu, siedzieć przy okrągłym stole i bazgrać ołówkiem po papierze, podczas gdy Coote czy inny półgłówek wygłasza przemówienie, które składa się z samych cyfr. Na szczęście nie trzeba tego słuchać. A za to po zebraniu całe towarzystwo idzie do najdroższej restauracji na fundowany obiad. Żyć, nie umierać.

Bundle nie interesowała obiad ojca, więc wyszła, zanim skończył swą opowieść. W drodze do Londynu próbowała dopasować do siebie wszystkie zdobyte informacje.

Rozmyślając o przyjęciu w „Abbey” doszła do wniosku, że przemysł ciężki i opieka społeczna nie mają zbyt wiele wspólnego. Albo jedno zatem, albo drugie należało wykluczyć. Raczej drugie. Posłanka Macatta i węgierska arystokratka będą więc kamuflażem. Osią całej sprawy wydawał się *Herr Eberhard*. Z opisu Billa wynikało, że nie jest to człowiek, którego Lomax zaprosiłby na przyjęcie, gdyby mógł tego uniknąć. Bill wspomniał, że Eberhard jest wynalazcą. Wśród zaproszonych mieli być minister lotnictwa i sir Oswald. A zatem tryby zaczęły się zazębiać.

Bundle uznała, że za wcześnie jeszcze na spekulacje, porzuciła więc ten temat i skupiła na tym, co ma powiedzieć ciotce.

Lady Caterham mieszkała w wielkim, ponurym domu w eleganckiej części miasta. Wnętrze przesiąknięte było zapachem wosku do mebli, karmy dla ptaków oraz wędnących kwiatów. Lady Caterham była potężną niewiastą, o majestatycznych proporcjach. Miała wielki, zakrzywiony nos, pod którym rysował się istic kawalerski wąs i nosiła złote *pince-nez*.

Zdumiała się niepomierne na widok bratanicy, ale nastawiła swój przywiedły policzek, na którym Bundle złożyła niechętny pocałunek.

— Cóż za nieoczekiwana wizyta — zauważyła chłodno.

— Dopiero co wróciliśmy, ciociu.

— Wiem. Jak tam twój ojciec?

W jej tonie dało się zauważyć cień lekceważenia. Alastair Edward Brent, dziewiąty markiz Caterham, a jej szwagier, nie był przez nią darzony specjalnym szacunkiem.

— Tatko ma się dobrze.

— Bądź łaskawa przekazać mu, moja droga, że nie aprobuję jego pomysłów z odnajmowaniem „Chimneys”. To miejsce jest pomnikiem historii i jego wartość nie powinna być deprecjonowana.

— Za wujka Henry’ego musiało być wspaniałą rezydencją — westchnęła Bundle.

— Henry nie zapominał o ciężących na nim obowiązkach.

— Pomyśleć tylko, ilu wspaniałych ludzi odwiedzało „Chimneys” — ciągnęła Bundle natchniona. — Ilu mężów stanu z całej Europy.

Lady Caterham westchnęła z rozrzewnieniem.

— Przyznaję, że w tym miejscu rodziła się historia — rzekła. — Gdyby tylko twój ojciec...

Potrząsnęła głową ze smutkiem.

— Tatko mówi, że polityka go nudzi, a przecież to tak ciekawy temat. Zwłaszcza jeżeli zna się to od środka...

Bundle wyrzekła tę bezwstydnie nieszczera uwagę bez mrugnięcia okiem. Ciotka Marcia spojrzała na nią bystro.



— Muszę powiedzieć, Eileen, że twoje słowa mile mnie zaskoczyły. Zawsze uważałam cię za podfruwajkę, której w głowie jedynie zabawa.

— Dorastam, ciociu.

— Jesteś jeszcze młoda. Ale gdybyś się postarała i znalazła godnego kandydata na męża, to kto wie, mogłabyś wiele zdziałać.

Bundle przeraziła się nie na żarty. Przez moment obawiała się, że ciotka ma już kogoś na myśli.

— Ba! — powiedziała ze smutkiem. — Problem w tym, że zupełnie nie znam się na polityce. Tak mało wiem...

— Temu możemy łatwo zaradzić. Mam tu całą masę odpowiedniej literatury. Pożyczę ci.

— Dziękuję, ciociu — odparła Bundle i pospiesznie zmieniła temat.

— Czy zna ciocia panią Macattę?

— Oczywiście, że ją znam. Wspaniała kobieta i błyskotliwy umysł, chociaż przyznam ci, drogie dziecko, że nie pochwalam obecności kobiet w parlamencie. Wolę bardziej kobiece sposoby wpływania na politykę.

Lady Caterham urwała i przez moment wspominała swoje kobiece sposoby, które doprowadziły jej opornego męża do zaszczytów i stanowiska.

— Ale czasy się zmieniają — ciągnęła po chwili. — Macatta robi wiele dobrego dla kraju. Musisz koniecznie ją poznać.

Bundle wydała z siebie posępne westchnienie.

— Będzie na przyjęciu, które George Lomax urządza w przyszłym tygodniu. Zaprosił również tatę, który, ma się rozumieć, ani myśli tam pójść. Mnie oczywiście nie zaprosił. Uważa, że jestem za głupia.

Lady Caterham z przyjemnością obserwowała zmianę, która zaszła w zachowaniu bratanicy. Czyżby jakiś nieszczęśliwy romans? Lady Caterham była zdania, że nieszczęśliwe romanse często wpływają zbawiennie na duchowy rozwój młodych panienek. Dowodzą, że życie trzeba traktować poważnie.

— Sądzę, moje dziecko, że George nie zdaje sobie sprawy, że... jakby to powiedzieć... wydorostałaś. Nie martw się, moja droga, ja z nim porozmawiam.

— On mnie nie lubi — narzekała Bundle. — Wiem, że mnie nie zaprosi.

— Nonsens. Zaufaj mi. Znałam George'a, jak był jeszcze o, taki mały — lady Caterham uniosła dłoń o dziesięć cali nad stołem. — Z radością uczyni mi tę drobną grzeczność. Zresztą jestem pewna, że potrafi docenić twój młodzieńczy zapał i chęć pracy dla dobra naszego kraju.

Bundle zagryzła wargi, by nie wybuchnąć śmiechem.

— A teraz, moje dziecko, dopilnuję, by zaopatrzone cię w niezbędną literaturę.

Jej przenikliwy głos rozbrzmiał w ciszy ponurego domostwa.

— Panno Connor!

W drzwiach natychmiast ukazała się przestraszona twarz młodej sekretarki. Lady Caterham udzieliła jej paru krótkich wskazówek. Wkrótce Bundle wróciła na Brook Street z naręczem najbardziej nudnych publikacji, jakie można sobie wyobrazić.

Pozostało jeszcze zadzwonić do Jimmy'ego Thesigera. Głos w słuchawce brzmiał triumfująco.

— Udało się — oznajmił Jimmy. — Bill trochę kręcił nosem. Ubzdurał sobie, że pożrą mnie tam niczym wilcy młode jagnię. Ale w końcu przemówiłem mu do rozsądku. Siedzę teraz i studiuję fachowe pisma. Nudne jak diabli, ale muszę przecież uchościć za fachowca. Słyszałaś kiedy o konflikcie granicznym w Santa Fe?

— Nigdy — odparła Bundle.

— Właśnie to przerabiam. Ciągnął się lata całe i był okropnie zawily. Robię z tego specjalizację.

— Ja też mam całe mnóstwo podobnych bzdur. Dostałam od ciotki Marcii.

— Co za jedna?

— Szwagierka mojego ojca. Politycznie natchniona. Ma mi załatwić zaproszenie do „Abbey”.

— Serio? To świetnie! — Jimmy urwał, po czym dodał: — Słuchaj, Bundle, lepiej nie mówmy Loraine, co?

— Lepiej nie.

— Mogłaby się obrazić. Lepiej jej do tego nie mieszać.

— Masz rację.

— To zbyt niebezpieczne dla takiej dziewczyny.

Bundle skonstatowała, że Jimmy’emu brak taktu. Jakoś nie przyszło mu do głowy, że dla niej również jest to niebezpieczne.

— Jesteś tam? — zaniepokoił się Jimmy.

— Tak.

— Słuchaj, czy policja wezwała cię na jutro na przesłuchanie?

— A co, ciebie też?

— No. Aha, czytałaś gazety? Jest wzmianka o Ronnym. Myślałem, że zrobią z tego wielki artykuł na pierwszą stronę, a tu tylko skromna notatka w kronice policyjnej... Dobra, muszę kończyć. Jestem dopiero przy nocy dyplomatycznej od rządu Boliwii.

— Ja też mam trochę roboty. Zamierzasz studiować przez cały wieczór?

— Myślę, że tak. A ty?

— Też. No to na razie.

Oboje byli kłamcami pierwszej wody. Jimmy Thesiger nie wspomniał ani słowem, że wybiera się na kolację z Loraine Wade.

Jeżeli zaś chodzi o Bundle, to ledwie odłożyła słuchawkę, zaczęła pospiesznie przebierać się w niepozorną kieckę, którą pożyczyła od swej pokojówki i wybiegła z domu zastanawiając się, czy pojechać metrem, czy autobusem. Chciała jak najszybciej dotrzeć do Klubu Siedmiu Zegarów.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

### KLUB SIĘDMIU ZEGARÓW

Bundle dotarła na Hunstanton Street około godziny osiemnastej. Tak jak podejrzewała, o tej porze klub był jeszcze zamknięty. Jej celem było znalezienie ex-służącego z „Chimneys”, Alfreda. Była przekonana, że gdy to jej się uda, reszta pójdzie łatwo. Zwykle załatwiała sprawy ze służbą ostro i nigdy jej ta metoda nie zawodziła, czemu więc miałaby ją zawieść teraz?

Nie była jedynie pewna, ile osób mieszkało w klubie. Oczywiście wołała, by nikt oprócz Alfreda nie dowiedział się o jej wizycie.

Gdy tak stała, rozważając linię ataku, drzwi pod czternastką otworzyły się i stanął w nich Alfred we własnej osobie. Problem sam się rozwiązał.

— Dobry wieczór, Alfredzie — powiedziała Bundle z uśmiechem.

Alfred aż drgnął z wrażenia.

— Dobry wieczór, lady Eileen. W pierwszej chwili nie poznałem.

Powinszowawszy sobie pomysłu z sukienką służącej, Bundle przystąpiła do sprawy.

— Chcę z tobą zamienić słówko, Alfredzie. Gdzie możemy porozmawiać?

— Ależ proszę panienki... sam nie wiem... to chyba nie jest odpowiednie miejsce... sądzę, że...

Bundle przerwała mu.

— Kto jest w klubie?

— W tej chwili nikt, proszę panienki.

— A wiec tam porozmawiamy.

Alfred wyjął klucz i otworzył drzwi. Gdy Bundle weszła do środka, zakłopotany posłusznie podążył za nią. Bundle usiadła i spojrzała zmieszanemu Alfredowi prosto w oczy.

— Przypuszczam, że zdajesz sobie sprawę — zaczęła bez ogródek — że to, co tu się dzieje, jest niezgodne z prawem?

Alfred przestąpił z nogi na nogę.

— To prawda, bo nawet mieliśmy już dwa razy rewizję — przyznał. — Ale nie znaleźli żadnych dowodów, pan Mosgorovsky tak wszystko świetnie zorganizował.

— Nie mówię tylko o hazardzie — przerwała mu Bundle. — Chodzi mi o znacznie więcej, może nawet więcej niż ty sam wiesz. Zadam ci pytanie, Alfredzie, i chcę usłyszeć prawdę. Ile zapłacono ci za odejście z „Chimneys”?

Alfred powiódł wzrokiem po suficie, jakby tam szukał inspiracji, trzy razy przełknął ślinę, lecz w końcu jego słaby charakter musiał ugiąć się przed silniejszym.

— To było tak, proszę panienki. Pan Mosgorovsky z przyjaciółmi przyjechali do „Chimneys” któregoś dnia, gdy dom udostępniony był zwiedzającym. Pan Tredwell był wtedy chory, wrastał mu paznokiec, jeśli chodzi o ścisłość, więc musiałem za niego opiekować się gośćmi. Pod koniec zwiedzania pan Mosgorovsky został nieco z tyłu, wcisnął hojny napiwek i zaczął mnie zagadywać.

— Mów dalej — rzuciła z zachętą.

Ośmielony Alfred począł wyrzucać z siebie potok informacji.

— Zaofiarował mi sto funtów z góry, pod warunkiem, że rzucę pracę w „Chimneys” i przyjmę się do niego. Powiedział, że prowadzi klub i potrzebuje służącego z klasą, który by przydał szyku tej knajpie, jak to ujął. Grzechem by było odrzucać taką ofertę, proszę panienki, więc się zgodziłem. Tym bardziej, że płacą mi trzy razy więcej, niż zarabiałem u ojca panienki.

— Sto funtów to duża suma — zauważyła Bundle. — Czy twój nowy pan wspominał, że ma kogoś na twoje miejsce?

— Mówiłem mu, że nie mogę tak po prostu rzucić swojej pracy, lecz pan Mosgorovsky odrzekł na to, że zna chłopca, który służył u jakiegoś lorda, i że przekona go, by mnie zastąpił. Więc porozmawiałem z panem Tredwellem i załatwiłem wszystko jak należy.

Bundle kiwnęła głową. Jej własne podejrzenia potwierdziły się co do joty.

— Kiru. jest ten Mosgorovsky? — spytała.

— Właściciel klubu. Rosjanin. Bardzo mądry człowiek. Bundle poniechała dalszej interogacji i przystąpiła do ataku.

— Zdajesz sobie sprawę, że sto funtów to poważna suma?

— W życiu tyle nie miałem — odparł z rozbrajającą szczerością.

— Czy podejrzewałeś, że pakujesz się w tarapaty?

— Tarapaty?

— Tak. Nie mówię o hazardzie. Mówię o czymś znacznie poważniejszym. Nie chcesz chyba, Alfredzie, spędzić reszty życia w więzieniu?

— Mój Boże! Nie! O czym panienka mówi?

— Byłam wczoraj w Scotland Yardzie i dowiedziałam się tam bardzo interesujących rzeczy o tym klubie. Jeżeli mi pomożesz, to szepnę słówko w twojej obronie.

— Zrobię wszystko, co panienka zechce. Zresztą i tak bym zrobił.

— Wspaniale. Najpierw zatem oprowadź mnie po klubie. Chcę obejrzeć wszystko, od strychu po piwnice.

Alfred, zdezorientowany i nie na żarty przestraszony, otwierał przed nią kolejne pomieszczenia. Bundle zaglądała uważnie w każdy kąt, ale nie natknęła się na nic podejrzanego, dopóki nie dotarła do sali gier. Jej uwagę przyciągnęły niepozorne drzwi w rogu sali. Były zamknięte na klucz.

Alfred pospieszył z wyjaśnieniami.

— To wyjście bezpieczeństwa. Za tymi drzwiami jest mały pokój z sekretnym przejściem prowadzącym na tyły kamienicy. W razie obławy wyprowadza się wtedy gości.

— Policja nic nie wie?

— Przejście jest sprytnie zamaskowane. Wchodzi się tam przez kredens.

Bundle poczuła rosnącą falę podniecenia.

— Muszę tam wejść — oświadczyła. Alfred potrząsnął głową.

— To niemożliwe, proszę panienki. Klucz ma pan Mosgorovsky.

— A więc musimy znaleźć klucz zapasowy.

Zauważyła, że zamek nie jest szczególnie skomplikowany. Prawdopodobnie można go było otworzyć jakimś innym kluczem. Wysłała przerażonego Alfreda w poszukiwaniu odpowiedniego zestawu. Czwarty z kolei klucz pasował doskonale. Bundle przekreśliła go w zamku i drzwi stały otworem.

Oczom jej ukazał się niewielki, niezbyt przytulny pokoik. Na środku stał długi stół z rządkiem krzeseł dookoła. Po obu stronach kominka stały dwa kredensy wbudowane w ścianę. Alfred wskazał ten bliższy.

— To tu — wyjaśnił.

Bundle ruszyła w stronę kredensu, ale okazał się zamknięty. Te drzwi jednak opatrzone były zamkiem patentowym, jednym z tych, które można otworzyć tylko właściwym kluczem.

— Bardzo sprytnie pomyślane — wyjaśniał Alfred.

— Jak się otworzy, widać tylko półki pełne naczyń. Ale jak się naciśnie we właściwym miejscu, cały kredens odsuwa się na bok i odsłania przejście.

Bundle odwróciła się i powiodła wzrokiem po pomieszczeniu. Pierwszym szczegółem, który zwrócił jej uwagę, był fakt, że drzwi od sali gier uszczelniono rypsem. A więc

pomieszczenie było dźwiękoszczelne. Następnie jej oczy spoczęły na krzesłach. Było ich siedem; po trzy z obu stron i jedno, wyższe i bogate w zdobienia, na końcu stołu.

Twarz Bundle pojaśniała. Znalazła to, czego szukała. Była pewna, że właśnie w tym miejscu odbywały się spotkania tajnej organizacji. Pokój wydawał się wprost wymarzony do tego celu. Wyglądał niewinnie i wchodziło się do niego wprost z sali gier lub też od tyłu budynku, przez sekretne przejście. W razie wpadki zamaskowane drzwi można było tłumaczyć względami bezpieczeństwa. W końcu mieściła się tu sala hazardu.

W zamyśleniu przeciągnęła ręką po powierzchni stołu. Alfred zinterpretował ten gest po swojemu.

— Nie znajdzie panienka kurzu — powiedział. — Pan Mosgorovsky kazał dziś rano wysprzątać tu na glanc.

— Dziś rano, powiadasz?

— Czasem trzeba — wyjaśnił. — Chociaż nikt nie używa tego pokoju.

— Słuchaj — rzekła Bundle. — Musisz mi znaleźć miejsce, gdzie mogłabym się schować.

Alfred zamarł porażony tym, co usłyszał.

— Ależ to niemożliwe! Wpadnę przez panienkę w kłopoty! Wyrzucą mnie z pracy!

— I tak będziesz musiał się z nią pożegnać, jak pójdziesz do więzienia. Ale nie masz powodów do obaw. Nikt się o tym nie dowie.

— Przecież tu nie ma takiego miejsca. Niech panienka sama zobaczy.

Musiła przyznać, że w jego słowach było wiele słuszności. Lecz Bundle nie należała do kobiet, które się łatwo poddają.

— Nonsens. Musi być jakieś miejsce.

— Nie ma — jęczał Alfred.

Sprawa rzeczywiście wyglądała beznadziejnie. Oprócz stołu, krzeseł i kredensów w pokoju nie było żadnych mebli. Nie było nawet zasłon, okno zaopatrzone było w odrapane żaluzje. Parapet na zewnątrz miał ledwie cztery cale szerokości!

Bundle podeszła do drugiego kredensu. W zamku tkwił klucz. Otworzyła drzwi i jej oczom ukazały się półki pełne najrozmaitszych naczyń i sztuczków.

— Stare komplety — objaśnił Alfred. — Trzymamy je na wszelki wypadek. Sama panienka widzi, lady Eileen, że nawet mysz się tu nie zmieści.

— Zobaczymy. Alfredzie, czy masz gdzie schować te wszystkie rupiecie? Na pewno coś znajdziesz. Skocz po tacę i sprzątnij to wszystko, tylko szybko, nie ma czasu do stracenia.

— Błagam panią, proszę tego nie robić. Kucharze będą tu lada chwila.

— Ten twój Mosgo... jak mu tam? przychodzi dopiero wieczorem, tak?

— Przeważnie nie pojawia się przed północą. Ale proszę...

— Nie zwracaj mi głowy, Alfredzie — ofuknęła go Bundle. — Idź po tę tacę, bo za chwilę naprawdę będziemy w kłopotcie.

Alfred wybiegł z pokoju załamując ręce. Po chwili wrócił z tacą i zabrał się żwawo do roboty, uświadomiwszy sobie, że protesty na nic się nie zdadzą.

Półki dały się łatwo wyjąć. Bundle ustawiła je pod ścianą i wcisnęła się do kredensu.

— Hm — mruknęła. — ciasno tu. Zamknij teraz za mną drzwi, Alfredzie. Dobrze, w porządku. I przynieś mi świder.

— Świder, proszę panienki?

— Nie wiesz, co to świder?

— Obawiam się...

— Bzdura, musisz mieć świder. Jak nie znajdziesz, będziesz musiał skoczyć do sklepu, więc lepiej dobrze poszukaj.

Alfred zniknął na chwilę i powrócił z naręczem różnych narzędzi. Bundle wybrała to, co jej było potrzebne i zaczęła wiercić dziurkę w drzwiach kredensu, na wysokości swojego prawego oka. Wierciła z zewnętrznej strony drzwi, by otwór był mniej widoczny.

— No, to wystarczy — stwierdziła w końcu.

— Och, ale proszę panienki...

— Co znowu?

— A jak panienkę znajdą? A jak otworzą ten kredens?

— Nie otworzą — odparła Bundle — bo zamkniesz te drzwi na klucz i zabierzesz go ze sobą.

— A jak pan Mosgorovsky zapyta o klucz?

— Powiedz mu, że zginął — wyjaśniła Bundle beztrąsko. — Nikt się nie będzie interesował tym kredensem. Jest tu po to, by odwracać uwagę od tego drugiego, z tajnym przejściem. No, rusz się Alfredzie, zamknij mnie, bo zaraz ktoś przyjdzie. Zabierz klucz i wróć po mnie, gdy już wszyscy pójdą.

— Zrobi się paniencie słabo...

— Mnie się nie robi słabo — rzekła Bundle. — Ale możesz przynieść mi koktail, przyda się. I nie zapomnij zamknąć z powrotem drzwi do pokoju i odnieść kluczy na miejsce. A poza tym nie bój się tak strasznie, Alfredzie. Jeżeli coś pójdzie źle, wyciągnę cię z tego.

— I o to właśnie chodziło — mruknęła Bundle do siebie, gdy Alfred już przyniósł jej koktail i odszedł.

Nie obawiała się, że Alfreda mogą ponieść nerwy i że się czymś zdradzi. Była pewna, że jego instynkt samozachowawczy mu na to nie pozwoli. Wiele lat służby nauczyło go skrywać emocje za maską uprzejmości.

Martwiła ją tylko jedna rzecz. Jej interpretacja faktu, że pomieszczenie zostało wysprzątane tego ranka, mogła okazać się fałszywa. Perspektywa spędzenia w ciasnym kredensie wielu godzin na próżno wcale nie była pociągająca.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

### SPOTKANIE SIEDMIU ZEGARÓW

Najlepiej pominąć cierpienia następnych kilku godzin milczeniem. W kredensie było coraz bardziej niewygodnie. Z obliczeń Bundle wynikało, że spotkanie (jeżeli rzeczywiście miało do niego dojść) odbędzie się dopiero wtedy, gdy w klubie zabawa rozkręci się na całego, to znaczy między godziną dwunastą a drugą.

Ale czas mijał i gdy w końcu rozległ się odgłos przekręcanego w zamku klucza, Bundle była pewna, że musi być już co najmniej szósta rano.

Rozbłysło elektryczne światło i dobiegł ją szum głosów, przypominający odgłos wzburzonych morskich fal, po czym urwał się raptownie, ucięty stukiem zasuw. Najwyraźniej ktoś wszedł z sali gier, zamykając za sobą drzwi. A drzwi były absolutnie dźwiękoszczelne, przyznała Bundle w duchu.

Po chwili intruz pojawił się w jej polu widzenia, z konieczności bardzo ograniczonym. Był to wysoki, barczysty mężczyzna z długą, czarną brodą. Bundle przypomniała sobie, że widziała go już poprzedniego wieczoru, jak siedział przy jednym ze stolików i grał w bakarata.

A więc to musiał być ten Rosjanin, właściciel klubu, tajemniczy pan Mosgorovsky. Serce zabiło żywiej w piersi Bundle. Z wrażenia zapomniała na chwilę o niewygodzie swojej pozycji.

Rosjanin stał przez kilka minut przy stole, skubiąc brodę. Następnie wyjął z kieszeni zegarek i sprawdził godzinę. Kiwnął głową z zadowoleniem i ponownie wsunął rękę do kieszeni, tym razem wydobyl coś, czego Bundle nie mogła dostrzec i odsunął się z pola widzenia.

Gdy znów się pojawił, Bundle z trudem stłumiła okrzyk zaskoczenia.

Jego twarz była przykryta maską... właściwie trudno było to nazwać maską — kawałkiem tkaniny zwisającej luźno na twarzy, z wyciętymi otworami na oczy. Zasłonę, okrągłą w kształcie, ozdobiono rysunkiem zegarowej tarczy, ze wskazówkami pokazującymi godzinę szóstą.

— Siedem zegarów! — szepnęła do siebie Bundle. Rozległ się następny odgłos, siedem stłumionych stuków.

Mosgorovsky ruszył w stronę, w której znajdował się drugi kredens. Bundle usłyszała trzask i słowa powitania w obcym języku.

Wkrótce jej oczom ukazali się dwaj nowi przybysze.

Obaj nosili maski, ale ich wskazówki ustawiono w różnych pozycjach, na godzinę czwartą i piątą. Mężczyźni; choć ubrani w stroje wieczorowe, wyraźnie się różnili. Jeden był bardzo elegancki, w dobrze skrojonym, zagranicznym garniturze. Drugi, chudy i żyłasty, odziany był skromniej i Bundle odgadła jego narodowość zanim się odezwał.

— Zgaduję, że przybyliśmy na spotkanie jako pierwsi.

Miły, donośny głos z lekkim amerykańskim akcentem o nieznacznie irlandzkiej wymowie.

Elegant odezwał się dobrą, lecz nieco obco brzmiącą angielszczyzną.

— Miałem trudności z wyrwaniem się dzisiaj. Nie zawsze wszystko układa się pomyślnie. Nie jestem, tak jak numer czwarty, panem swojego czasu.

Bundle starała się odgadnąć jego pochodzenie. Wyglądał na Francuza, ale kiedy się odezwał, Bundle z miejsca odrzuciła tę ewentualność. Miał dziwnie brzmiący akcent; mógł być Austriakiem albo Węgrem, możliwe nawet, że Rosjaninem.

Amerikanin zniknął z pola widzenia i Bundle usłyszała szurnięcie odsuwanego krzesła.

— Godzina Pierwsza odniósł wspaniały sukces. Gratuluję pomysłu.

Godzina Piąta wzruszył ramionami.

— Robię, co do mnie należy — odparł skromnie. Ponownie rozległo się siedem stuknięć. Mosgorovsky pospieszył w stronę sekretnego przejścia.

Przez parę chwil Bundle nie wiedziała, co się dzieje, gdyż ktoś stanął na wprost otworu. Wreszcie usłyszała tubalny głos Rosjanina:

— Moi drodzy, proponuję już zacząć.

Zebrani zajęli miejsca, a Bundle odzyskała wgląd w sytuację. Rosjanin usiadł dokładnie naprzeciwko jej stanowiska, po drugiej stronie stołu. Obok siedział Godzina Piąta. Trzeciego krzesła nie mogła zobaczyć, ale dostrzegła, że Amerykanin, to jest numer pięć, ruszył w tamtą stronę.

Po tej stronie stołu również widziała jedynie dwa z trzech krzesel. Dostrzegła rękę, która odsunęła środkowe krzesło i odstawiła pod ścianę. Potem ktoś szybko przemknął w polu jej widzenia i zajął miejsce naprzeciw Rosjanina. Naturalnie Bundle widziała jedynie plecy tej osoby. Wpatrywała się w nie z zainteresowaniem, albowiem należały one niewątpliwie do młodej i ładnej kobiety. Nietrudno było to stwierdzić, ponieważ widać było śmiały dekolt.

Właśnie owa kobieta odezwała się pierwsza. Głowę miała obróconą w kierunku pustego krzesła na końcu stołu.

— Czy tajemniczy numer siedem raczy nam się wreszcie ujawnić? Powoli zaczynam podejrzewać, że on po prostu nie istnieje.

— Proszę tak nie mówić — odparł Rosjanin. — Ujrzymy go w stosownym czasie.

Zapadła niezręczna cisza.

Bundle w dalszym ciągu wpatrywała się w obnażone plecy, kobiety. Tuż poniżej prawej łopatki dostrzegła niewielki pieprzyk, który uroczo podkreślał biel skóry. Próbowała sobie wyobrazić jej twarz i oczyma duszy dostrzegła piękne słowiańskie rysy i błyszczące, namiętne oczy. Prawdziwa *femme fatale*.

Z zamyślenia wyrwał ją głos Rosjanina. Mosgorovsky najwyraźniej pełnił honory mistrza ceremonii.

— Przejdźmy do rzeczy. Najpierw sprawa nieobecnego towarzysza. Numer dwa.

Wykonał dziwny gest dłonią w kierunku pustego miejsca obok kobiety. Zebrani powtórzyli ten gest w milczeniu.

— Żałuję — ciągnął Mosgorovsky — że nie ma go dzisiaj z nami. Jest jeszcze wiele do zrobienia. Pojawiły się nieoczekiwane trudności.

— Czy przekazał swój raport? — To był głos Amerykanina.

— Jak dotychczas nie mam od niego żadnych wieści. Nie rozumiem, co się mogło stać.

— Może wpadł?

— Nie wolno nam wykluczyć tej ewentualności.

— Czyli innymi słowy — rzekł Godzina Piąta ponuro — mamy kłopoty.

Rosjanin przytaknął.

— Owszem. Zbyt wiele mówi się o nas, o tym miejscu. Zbyt wiele osób się nami interesuje — urwał, po czym dodał chłodno: — Trzeba je uciszyć.

Bundle poczuła, jak wzdłuż kręgosłupa płynie jej zimna strużka potu. Jakby ją teraz odkryli, bez wątplenia nie zawahaliby się przed uciszeniem jej na zawsze. Znajoma nazwa wyrwała ją z odrętwienia.

— Tak więc nic nie wiemy o „Chimneys”?

Mosgorovsky potrząsnął głową.

Numer pięć wyraźnie się niecierpliwił.

— Coraz mniej mi się to podoba — powiedział. — Zgadzam się z Anną: najwyższy czas, by tajemniczy numer siedem zaczął nas traktować poważnie. W końcu to on powołał nas do istnienia. Dlaczego nie chce się ujawnić?

— Numer siedem pracuje po swojemu — odparł Rosjanin.



— Zawsze to słyszymy!

— Nie powiem już ani słowa ponad to, co powiedziałem. Ale przestrzegam was, nie zazdrościsz temu, kto wystąpi przeciwko numerowi siódmemu.

Znowu zapadła cisza.

— A teraz do rzeczy — kontynuował Mosgorovsky po chwili. — Numerze trzy, zdobył pan plany „Wyvern Abbey”?

Bundle wyteńczyła słuch. Numer trzy dotychczas się nie odzywał; nawet go nie widziała. Słyszając ten niski, spokojny, kulturalny głos, Bundle nie miała wątpliwości, że numer trzy jest Anglikiem i to w dodatku z wyższych sfer.

— Oto one, proszę pana.

Na środku stołu pojawiły się jakieś papiery. Wszyscy pochylili się nad nimi. Mosgorovsky podniósł głowę.

— A lista gości? — spytał.

— Proszę.

Rosjanin zaczął czytać na głos.

— Sir Stanley Digby. Pan Terence O'Rourke. Sir Oswald i lady Coote'owie. Pan Bateman. Hrabina Anna Radzky. Pani Macatta. Pan James Thesiger... — urwał, po czym spytał ostro: — Co to za jeden?

Amerykanin roześmiał się.

— Nie ma powodów do obaw. Ja go znam, to młody, zarozumiały osioł.

Rosjanin wrócił do listy.

— *Herr* Eberhard oraz pan William Eversleigh. To wszyscy.

— Czyżby? — mruknęła Bundle pod nosem. — A nasza słodka lady Eileen Brent?

— Wspaniale — rzucił Mosgorovsky. Spojrzał na Anglika. — Mam nadzieję, że nie przeceniamy wagi wynalazku Eberharda?

Numer trzy rzucił typowo angielską, lakoniczną odpowiedź.

— Nie.

— Wartość rynkową oceniałbym na dziesiątki milionów — ciągnął Rosjanin. — Oczywiście wartość realna jest nieporównywalnie większa. Wiele państw oddałoby wszystko, żeby zdobyć ten sekret.

Bundle była przekonana, że pod maską Rosjanina kryje się złośliwy uśmieszek.

— Prawdziwa kopalnia złota — dodał.

— Czymże wobec tego jest życie paru osób... — rzucił numer pięć cynicznie i wybuchnął śmiechem.

— Ja bym tak nie ufał wynalazcom — rzekł sceptycznie Amerykanin? — A jeśli to lipa?

— Sir Oswald nie angażowałby się w wątpliwe interesy. Ten człowiek umie dbać o swe pieniądze — odparł Mosgorovsky.

— Sam kiedyś latałem — dorzucił numer pięć — i wiem, że to całkiem realny pomysł. Ludzie myśleli nad tym już od dawna, ale trzeba było geniuszu Eberharda, żeby sfinalizować projekt.

— Dobrze więc — uciął Mosgorovsky. — Sprawa wydaje się jasna. Widzieliśmy plan budynku. Nie sądzę, żeby schemat działania potrzebował poprawek. A! i jeszcze jedno. Doszły mnie głosy, że znaleziono list Geralda Wade'a, w którym wspominał o naszej organizacji. Kto znalazł ten list?

— Córka lorda Caterhama. Lady Eileen Brent.

— Bauer powinien był zadbać o wszystko. Bardzo nieostrożnie z jego strony. Do kogo był ten list?

— Do siostry — odparł numer trzy.

— Fatalnie. Ale za późno już, żeby temu zaradzić. Jutro odbywa się przesłuchanie świadków w sprawie śmierci RONALDA DEVEREUX. Mam nadzieję, że chociaż tę sprawę mamy z głowy.

— Owszem — odparł Amerykanin. — Rozpuściliśmy plotki o chłopakach z wioski, którzy poszli polować na bażanty.

— Doskonale. To już chyba wszystko. Sądzę, że powinniśmy jeszcze pogratulować Godzinie Pierwszej i życzyć jej szczęścia. W niej cała nadzieja na powodzenie akcji.

— Za Annę! — krzyknął numer pięć.

Wszyscy wyciągnęli ręce w tym samym geście, który Bundle zauważyła wcześniej.

— Za Annę!

Godzina Pierwsza podziękowała i wszyscy zebrani podnieśli się z krzeseł. Po raz pierwszy Bundle miała szansę rzucić okiem na numer trzy, kiedy podszedł, by podać okrycie Annie. Był wysoki i silnie zbudowany.

Wkrótce konspiratorzy poczęli wychodzić przez sekretne przejście. Mosgorovsky zamknął za nimi drzwi, a następnie Bundle usłyszała szcęk zasuwki przy drzwiach do sali gier. Światło zgasło.

Minęły dobre dwie godziny, zanim błady ze zdenerwowania Alfred wypuścił Bundle z ukrycia. Niewiele brakowało, by padła obolała na podłogę, szczęściem jednak zdołał ją złapać.

— Nic mi nie jest — uspokoiła go. — Trochę zeszywniałam. Poczekaj, pozwól mi usiąść.

— Mój Boże, proszę pani, to było straszne!

— Bzdura. Wszystko poszło jak z płatka, tylko radzę ci trzymać język za zębami. Dzięki Bogu skończyło się dobrze.

— Kamień spadł mi z serca! Przez cały wieczór trząsałem się jak galareta. Nigdy nic nie wiadomo; to dziwni ludzie.

— Dziwni, powiadasz? — odparła Bundle rozcierając zdrtwiałe nogi. — Aż do dzisiaj myślałam, że tacy ludzie istnieją tylko w książkach. Człowiek, drogi Alfredzie, całe życie się uczy.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY DOCHODZENIE

Bundle dotarła do domu około szóstej rano. O dziesiątej była już na nogach i dzwoniła do Jimmy'ego.

Zdziwiło ją, że tak szybko podniósł słuchawkę, ale wyjaśnił, że musiał dzisiaj wstać wcześniej, gdyż wybiera się na przesłuchanie.

— Ja też — odparła Bundle. — Mam ci mnóstwo do opowiedzenia.

— A więc może pozwolisz mi się podwieźć i pogadamy po drodze, co ty na to?

— W porządku. Ale będziesz musiał podrzucić mnie do „Chimneys”, bo stamtąd zabiera mnie pułkownik Melrose.

— Dlaczego?

— Bo jest gentlemanem.

— To tak jak ja — stwierdził Jimmy. — Prawdziwy gentleman.

— Ty! Ty jesteś osioł — odrzekła Bundle. — Słyszałam, jak ktoś cię tak nazwał wczoraj w nocy.

— Kto?

— Wyobraź sobie, że rosyjski Żyd. Chociaż nie... To był!..

Gwałtowny protest Jimmy'ego przerwał jej w pół zdania.

— Może i jestem osłem, ale nie pozwolę, żeby jakiś starozakonny komunista mnie tak nazywał! A co ty takiego robiła wczoraj w nocy, hę?

— Waśnie o tym chciałam ci opowiedzieć. Jak przyjedziesz, to pogadamy. Na razie.

I odłożyła słuchawkę, wprawiając Jimmy'ego w niepomierne zdumienie. Jimmy zdążył już nabrać respektu dla operatywności Bundle.

— Ta dziewczyna coś odkryła — mruknął do siebie dopijając w pośpiechu kawę. — Mogę się założyć, że coś odkryła.

Dwadzieścia minut później zajechał swoim sportowym wozem na Brook Street. Bundle już czekała i na jego widok zbiegła po schodach. Jimmy nie należał do spostrzegawczych ludzi, jednak bez trudu zauważył jej podkrążone oczy. Bundle bez wątpienia miała za sobą nieprzespaną noc.

— No więc? — spytał, kiedy ruszyli w stronę przedmieścia.

— Powiem ci — odparła — ale obiecaj, że nie będziesz przerywał, póki nie skończę.

To była długa historia i Jimmy musiał się pilnować, by od czasu do czasu rzucić okiem na drogę. Na szczęście ruch był niewielki, bo inaczej już dawno spowodowałby wypadek. Kiedy skończyła, zmierzył ją baczny wzrokiem.

— Bundle?

— No?

— Słuchaj, czy ty czasem nie robisz mnie w konia?

— Nie rozumiem.

— Sam nie wiem, ale wydaje mi się, że gdzieś to już słyszałem. Albo czytałem.

— Możliwe.

— To nierealne — ciągnął Jimmy. — Ta *femme fatale*, ten cały międzynarodowy gang, ten tajemniczy numer siedem, którego nikt nie widział na oczy — to brzmi jak historia z głupiego kryminału.

— Najzupełniej się z tobą zgadzam. Ale to nie dowód, że tak nie było.

— Pewnie masz rację.

— W końcu nawet najgłupszy kryminał ma w sobie trochę prawdy.

— Tak, ale mimo wszystko muszę się uszczypnąć, żeby sprawdzić, czy to nie sen.

— Uwierz mi, ja też musiałam. Jimmy westchnął.

— A więc to nie sen. Czekaj, niech pomyślę. Rosjanin, Jankes, Anglik. Do tego Austriak albo Węgier. No i ta kobieta, może Polka lub Rosjanka. Niezła zbieranina.

— I Niemiec. Zapomniałeś o Niemcu.

— Sądzisz, że...

— Nieobecny numer dwa. Numer dwa to Bauer, nasz nowy lokaj. To ma sens, skoro czekali na wieści z „Chimneys”. Chociaż pojęcia nie mam, czego jeszcze chcą od „Chimneys”.

— To musi mieć związek ze śmiercią Gerry’ego. Najwyraźniej jest coś, czego jeszcze nie odkryliśmy. Mówisz, że wymienili tego Bauera po nazwisku?

Bundle skinęła głową.

— Obwiniali go, że nie dopilnował sprawy z tym listem.

— Tak więc sprawa jest oczywista. Wybacz mi moje niedowierzanie, Bundle, ale sama przyznasz, że to brzmi nieprawdopodobnie. A zatem wiedzą, że zostałem zaproszony do „Abbey”.

— Tak. Rosjanin spytał, co to za jeden, ten Thesiger, i wtedy Amerykanin stwierdził, że nie ma powodów do niepokoju i że jesteś zwyczajny osioł.

— Aha! — Jimmy przycisnął mocniej pedał gazu. — Cieszę się, że mi o tym mówisz. Moja motywacja rośnie.

Przez następną minutę w milczenia pielęgnował swą nienawiść.

— Powiedziałaś, że ten wynalazca nazywa się Eberhard?

— Tak. A co?

— Czekaj, coś mi świta. Eberhard, Eberhard... no jasne!

— Gadaj wreszcie!

— Parę lat temu jakiś Eberhard odkrył nową technologię obróbki stali i usiłował opchnąć swój patent. Nie jestem naukowcem, więc nie powiem ci, o co chodziło. W każdym razie w rezultacie specjalnego procesu zwyczajny drut stalowy stawał się mocniejszy niż sztaba. Eberhard uważał, że jego pomysł może zrewolucjonizować technikę lotniczą. Zdaje się, że chciał sprzedać patent rządowi niemieckiemu, ale znaleźli jakieś niedociągnięcie i dali mu raczej niemiałą odprawę. Eberhard poprawił projekt, ale obraził się na swój kraj i oświadczył, że znajdzie innych klientów. Do dzisiaj uważałem tę historię za stek bzdur.

— To musi być to! — wykrzyknęła Bundle. — Masz rację, Jimmy. Eberhard przedstawił swój projekt naszemu rządowi. Rząd poprosił o opinię eksperta, sir Oswalda Coote’a. W „Abbey” odbędzie się nieoficjalna konferencja. Sam pomysł: sir Coote, George, minister lotnictwa i Eberhard, który przyniesie ten cały patent, czy jak to nazwać...

— Plany procesów technologicznych — zasugerował Jimmy.

— A więc będzie miał te plany ze sobą, a Siedem Zegarów zamierza je wykraść. Pamiętam, jak ten Rosjanin powiedział, że są warte miliony.

— Chyba masz rację — przyznał Jimmy.

— Cenniejsze niż ludzkie życie, tak powiedział ten drugi facet.

— Na to wygląda — westchnął Jimmy. — I jeszcze to cholerne przesłuchanie dzisiaj. Bundle, jesteś pewna, że Roimy nic więcej nie powiedział?

— Nic — odparła Bundle. — Tylko tyle: „Siedem Zegarów... Powiedz... Jimmy Thesiger...” Nic więcej nie zdołał wydusić, biedny chłopak.

— Szkoda, że nie wiemy tego, co on wiedział — rzekł Jimmy. — Chociaż tyle, że teraz przynajmniej znamy mordercę Geralda. To musiał być ten służący Bauer, co do tego nie ma wątpliwości. Wiesz co, Bundle...

— Co?

— Tak mnie to męczy, kto będzie następny w kolejce? Wydaje mi się, że to nie jest zabawa dla dziewczyny.

Bundle uśmiechnęła się mimo woli. Pomyślała, że wreszcie Jimmy zdecydował się zaliczyć ją do tej samej kategorii co Loraine.

— Dużo bardziej prawdopodobne, że to będziesz ty, a nie ja — oznajmiła radośnie.

— Też coś! — zachnął się Jimmy. — Niech się tylko pokażą! Mam wielką ochotę na rozróbę. Powiedz, Bundle, rozpoznałabyś tych ludzi?

Bundle zawahała się.

— Poznałabym numer pięć — uznała w końcu.

— On ma taki dziwny sposób mówienia, jakby seplenił, czy co. Jego bym poznała.

— A tego Anglika? Bundle pokręciła głową.

— Prawie go nie widziałam, tylko mi mignął. Zauważyłam tylko, że jest wysoki. I głos miał taki nijaki, nic specyficznego.

— A ta kobieta? — pytał dalej Jimmy. — Z nią powinno pójść łatwo. Z tym, że nie będziemy mieli szansy jej spotkać. Pewnie odwała brudną robotę, podrywa różnych ministrów, a oni po paru głębszych zdradzają jej tajemnice państwowe. Tak to przynajmniej wygląda w książkach. Bo jedyny minister, jakiego znam, pija tylko herbatę z cytryną.

— A taki George Lomax, możesz go sobie wyobrazić romansującego z piękną cudzoziemką? — zapytała Bundle ze śmiechem.

Jimmy pokręcił głową.

— Dobra, a co powiesz o tajemniczym numerze siedem? — podjął po chwili. — Jakieś sugestie?

— Zielonego pojęcia.

— Gdyby to było w książce, musiałyby to być ktoś powszechnie znany i poważany. Na przykład George Lomax we własnej osobie.

— W książce może tak — rzekła Bundle. — Ale znając Coddersa... — wybuchła nagle niepowstrzymaną wesołością. — Codders, wielki szef mafii! Czy to nie piękne?

Jimmy przyznał jej rację. Ich dyskusja trwała aż do bramy „Chimneys”. Pułkownik Melrose już tam czekał. Jimmy został mu przedstawiony i udali się razem na posterunek.

Tak jak pułkownik przewidział, sprawa okazała się prosta. Bundle złożyła swoje zeznanie, po niej zeznawał lekarz. Przejrzano informacje dotyczące polowań ze strzelbą w tej okolicy. Ogłoszono również werdykt w sprawie przyczyny śmierci: nieszczęśliwy wypadek.

Po zakończeniu przesłuchania pułkownik odwiózł Bundle do „Chimneys”, a Jimmy powrócił do Londynu.

Opowieść Bundle bardzo go poruszyła, mimo jego zwykłej bez troski.

— Hej, Ronny — mruknął z zaciśniętymi ustami. — Będę miał przez ciebie kłopoty. A ciebie tu nie ma, żeby włączyć się do zabawy.

Nagle przypomniał sobie coś jeszcze. Loraine! Czy była w niebezpieczeństwie?

Po krótkim wahaniu podniósł słuchawkę i zadzwonił do Loraine.

— To ja, Jimmy. Dzwonię, żeby powiedzieć ci o wynikach śledztwa. Przyczyną śmierci był nieszczęśliwy wypadek.

— Ale...

— Tak, ale wydaje mi się, że sędzia ma jakieś podejrzenia. Ktoś stara się zatuszować całą sprawę. Powiem ci, Loraine...

— Tak?

— Słuchaj, tutaj... dzieje się coś dziwnego. Bądź ostrożna, dobrze? Zrób to dla mnie.

W jej głosie zabrzmiał przestrasz.

— Jimmy, ty pewnie jesteś w niebezpieczeństwie. Jimmy roześmiał się.

— No to co? Złego diabli nie wezmą. Cześć! Odłożył słuchawkę i przez chwilę siedział pogrążony w myślach. Po czym wezwał Stevensa.

— Czy mógłbyś wyjść i kupić mi pistolet, Stevens?

— Pistolet, proszę pana?

Lata praktyki uczyniły z niego doskonałego lokaja — nawet nie mrugnął okiem.

— Jakiego rodzaju pistolet pan sobie życzy?

— Taki, który strzela bez przerwy, aż nie zdejmiesz palca z cyngla.

— To automatyczny, proszę pana.

— Dokładnie — potwierdził Jimmy. — I musi być chromowany, sprzedawca będzie wiedział, co to znaczy. W książkach o amerykańskich gangsterach bohater zawsze wyciąga chromowany pistolet zza pasa.

Stevens pozwolił sobie na dyskretny uśmiezek.

— Większość amerykańskich gentlemenów, których spotkałem, proszę pana, zza pasa wyciąga coś zupełnie innego — zauważył.

Jimmy Thesiger wybuchnął śmiechem.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY PRZYJĘCIE W „ABBEY”

Bundle przybyła do „Wyvern Abbey” akurat na herbatę w piątkowe popołudnie. George Lomax podszedł, by ją powitać.

— Moja droga Eileen — rzekł z odpowiednim *empressement*. — Nie mogę wyrazić, jak się cieszę widząc cię tutaj. Wybacz, że nie zaprosiłem cię razem z ojcem, ale prawdę mówiąc nigdy bym nie przypuszczał, że takie przyjęcie jak to mogłoby cię zainteresować. Byłem zaskoczony, a także... hm, uradowany, gdy lady Caterham powiedziała mi o twoim... hm... zainteresowaniu... hm, polityką.

— Tak bardzo chciałam przyjść — odparła Bundle z ujmującą szczerością.

— Pani Macatta przyjedzie dopiero następnym pociągiem — poinformował ją George. — Wczoraj wieczorem miała przemówienie w Manchester. Znasz Thesigera? Młody chłopak, ale wyśmienicie zna się na polityce zagranicznej. A nie wygląda na takiego.

— Znam pana Thesigera — rzekła Bundle, z powagą ściskając dłoń Jimmy’ego. Zauważyła, że uczesał się z przedziałkiem na środku, by dodać sobie powagi.

— Posłuchaj — wyszeptał Jimmy pośpiesznie, gdy George się oddalił. — Nie gniewaj się, ale powiedziałem Billowi o naszych planach.

— Billowi? — powtórzyła Bundle, rozgniewana.

— Wiesz, Bill jest jednym z paczki. Ronny był jego kumplem, Gerry zresztą też.

— Tak, wiem — powiedziała Bundle.

— Myślisz, że źle zrobiłem? Przepraszam.

— Bill jest w porządku, to jasne. Nie o to chodzi. On jest po prostu strasznym fajtlapą.

— Ciężki na umyśle? — zasugerował Jimmy. — Ale nie zapominaj, że ma również ciężkie pięści. A wydaje mi się, że ciężkie pięści wkrótce się przydadzą.

— Może masz rację. Jak to przyjął?

— Drapał się po głowie i rozdziawiał gębę, ale sądzę, że w końcu pojał. Musiałem mu kilka razy powtórzyć w prostych słowach, żeby dotarło do jego zakutej pały. No i oczywiście jest z nami na śmierć i życie.

George pojawił się przy nich znowu.

— Pozwolisz, że ci kogoś przedstawię, Eileen. To jest sir Stanley Digby. Lady Eileen Brent. Pan O’Rourke.

Minister lotnictwa okazał się niskim, okrągłutkim człowieczkiem z radosnym uśmiechem na twarzy. Pan O’Rourke, przystojny młody mężczyzna z wesołymi, błękitnymi oczami i typowo irlandzką twarzą, przywitał Bundle z entuzjazmem.

— A ja już myślałem, że czeka mnie jeszcze jedno nudne przyjęcie z rozmowami o polityce — szepnął figlarnie.

— Sza! — rzekła Bundle. — Powiem panu w sekrecie, że ja też interesuję się polityką... nawet bardzo!

— Sir Oswalda i lady Coote już znasz — ciągnął George.

— Tak naprawdę to nigdy się nie spotkaliśmy — uśmiechnęła się Bundle.

Przyznała w duchu, że jej ojciec rzeczywiście trafnie oddał wygląd Coote’ów.

Sir Oswald zamknął jej rękę w żelaznym uścisku. Bundle jęknęła z bólu.

Lady Coote skinęła smutno głową, po czym odwróciła się do Jimmy’ego z wyrazem twarzy, który w zamyśle miał oddawać radość ze spotkania. Mimo że nie pochwalala niezdrowych nawyków Jimmy’ego, lady Coote darzyła tego słodkiego chłopca sympatią. Fascynował ją swym neodpartym wdziękiem i optymizmem. Odczuwała matczyną chęć wyleczenia go z lenistwa i pokierowania jego duchowym rozwojem. Czy po tej kuracji Jimmy

zachowałby swój czar i wdzięk, było sprawą dyskusyjną, lecz lady Coote nie zaprzętała sobie głowy podobnymi rozważaniami. Miast tego poczęła relacjonować chłopcu okropny wypadek, który przydarzył się jednej z jej przyjaciółek.

— Pan Bateman — rzucił George Lomax z miną człowieka, który z chęcią przeszedłby do przyjemniejszych spraw.

Poważny młodzieniec o bladej fizjonomii skinął głową w kierunku Bundle.

— A teraz — ciągnął George — pozwól, że przedstawię ci hrabinę Radzky.

Hrabina Radzky pochłonięta była rozmową z Batemanem. Siedziała oparta na sofie, założywszy nogę na nogę w wyzywający sposób. Palila papierosa w niewiarygodnie długiej cygarnicze z turkusami.

Bundle pomyślała, że oto ma przed sobą najpiękniejszą kobietę świata. Hrabina Radzky miała wielkie, niebieskie oczy i kruczoczarne włosy, a jej ciało było szczupłe i pełne kuszących krzywizn. Bundle była pewna, że w całej historii „Wyvern Abbey” nie widziano tutaj bardziej wymalowanych ust.

— Pani Macatta? — ozwała się hrabina omdlewającym głosem.

Kiedy George zaprzeczył i przedstawił Bundle, piękna Węgierka skinęła niedbale głową i czym prędzej wróciła do przerwanej konwersacji ze śmiertelnie poważnym Batemanem.

Bundle usłyszała tuż przy uchu głos Jimmy’ego.

— Pongo wpadł w sidła uroczej Węgierki — wyszeptał. — Żalodne, prawda? Chodźmy się czegoś napić.

Po drodze natknęli się na sir Oswalda.

— Urocza posiadłość, „Chimneys” — raczył zauważyć magnat przemysłowy.

— Cieszę się, że przypadła panu do gustu — odparła Bundle grzecznie.

— Przydałaby się nowa kanalizacja — zauważył sir Oswald. — Trzeba iść z duchem czasu.

Przez następną minutę roztaczał przed nią urok posiadania nowej kanalizacji.

— Zamierzam wynająć pałacyk księcia Alton. Na trzy lata, zanim nie kupię czegoś swojego. Przypuszczam, że pani ojciec nie zechce odstąpić „Chimneys”?

Bundle odjęło mowę. Miała koszmarną wizję Anglii z niezliczonymi stadami Coote’ów w niezliczonych pałacach zaopatrzonych, ma się rozumieć, w nowe systemy kanalizacyjne.

Odczuła nagle niepohamowany sentyment do arystokratycznej tradycji odchodzącej powoli w mrok zapomnienia. Nie miała wątpliwości, że w starciu z walcem drogowym lord Caterham nie miałby najmniejszych szans. Sir Oswald był jedną z tych silnych osobowości, które zaćmiewają wszystko i wszystkich dookoła. A jednocześnie był człowiekiem głupim. Interesował się jedynie swoją wąską dziedziną i prawdopodobnie we wszelkich innych kwestiach przejawiał absolutną ignorancję. Setki drobnych, wysublimowanych tematów, z których lord Caterham czerpał radość życia, dla sir Oswalda były zamkniętą księgą.

Z takimi myślami w głowie Bundle rzuciła się w wir towarzyskich pogawędek. Kroku dotrzymywał jej O’Rourke, który od jakiegoś czasu krążył w pobliżu Bundle. Od niego dowiedziała się, że Eberhard już przybył, ale dokuczliwa migrena nie pozwalała mu zejść na dół i dołączyć do reszty towarzystwa.

Ruszyła na górę, by przebrać się do kolacji, lecz przez cały czas z niepokojem oczekiwała przyjazdu Macatty. Obawiała się konfrontacji z tą kobietą.

Pierwsza niespodzianka czekała na nią u stóp schodów, z których Bundle schodziła odziana w czarną, koronkową suknię. Stał tam służący, a przynajmniej ktoś ubrany w strój służącego. Jego kanciasta, potężna sylwetka była zbyt charakterystyczna, by kogokolwiek oszukać. Bundle stanęła jak wryta.

— Nadinspektor Battle! — wyszeptała.

— Zgadza się, lady Eileen.

— Ojej! — zaczęła Bundle niepewnie. — Czy pan jest tutaj, by...



— Mieć wszystko na oku.

— Ach tak.

— Pan Lomax — wyjaśnił nadinspektor — jest zaniepokojony tym listem. Nalegał, żebym przyszedł i osobiście zajął się sprawą.

— Ale czy nie sądzi pan... — zaczęła Bundle i urwała. Wołała nie sugerować nadinspektorowi, że jego przebranie nie jest zbyt skuteczne. Równie dobrze mógłby sobie powiesić tabliczkę z napisem „policjant” na szyi. Bundle była pewna, że nawet najbardziej lekkomyślny przestępca rozpozna go bez trudu.

— Wiem, co pani myśli — odparł Battle niewzruszony. — Na miłą czuć tajniaka, czyż nie?

— Eee... tak, owszem — przyznała Bundle. Beznamiętną twarz nadinspektora rozjaśnił grymas przypominający uśmiech.

— Będą się mieli na bacności, tak? Coś pani powiem: w gruncie rzeczy o to mi właśnie chodzi.

Bundle czuła się głupio.

Nadinspektor Battle kiwał powoli głową.

— Nie chcemy przecież kłopotów, prawda? — ciągnął. — Wcale nie próbuję być sprytny; jeżeli kręcą się tu jakieś podejrzanе typy, to przynajmniej będą wiedzieć, że nie pójdzie im tak łatwo.

Bundle rzuciła mu spojrzenie pełne podziwu. Mogła sobie wyobrazić, jaką panikę wśród członków szajki wzbudzi obecność nadinspektora.

— Zależy mi — podsumował Battle — podobnie jak większości zaproszonych, na tym, żeby spędzić spokojny weekend w miłym gronie.

Bundle ruszyła do bawialni zastanawiając się, ile osób na przyjęciu rozpoznało lub rozpozna inspektora Scotland Yardu w przebraniu służącego. Kiedy weszła do pokoju, ujrzała George'a, który trzymał w ręku żółtą kopertę i wyglądał na zmartwionego.

— A to ci dopiero! — rzucił na widok Bundle. — Właśnie dostałem telegram od Macatty. Píše, że nie może przyjechać, bo jej dzieci mają świnkę.

Kamień spadł Bundle z serca.

— Wiem, moja droga, co musisz czuć — Lomax spoglądał na nią z sympatią. — Tak bardzo chciałaś się z nią spotkać. Tak mi przykro. Hrabina również będzie niepokieszona.

— Trudno — odparła Bundle. — Może i lepiej, że nie przyjechała. Nie chciałabym się zarazić.

— To bardzo nieprzyjemna dolegliwość — przyznał George. — Chociaż nie wiem, czy rzeczywiście jest aż tak zaraźliwa. W każdym razie Macatta nigdy nie pozwoliłaby sobie na podobną lekkomyślność. To kobieta o niezłomnych zasadach i wielkim poczuciu odpowiedzialności. W dzisiejszych niespokojnych czasach...

Niewiele brakowało, a wygłosiłby przemówienie. Na szczęście w porę się zreflektował.

— Ale nie ma się co martwić — rzucił na pocieszenie. — Będzie jeszcze mnóstwo okazji. Żal mi natomiast hrabiny, bo jest w Anglii przejazdem.

— To Węgierka, tak? — spytała Bundle. Hrabina Radzky bardzo ją intrygowała.

— Tak. Słyszałaś zapewne o partii Młode Węgry. Hrabina Radzky jest liderem tej partii. Jest niezwykle zamożna, jej mąż zmarł i zostawił znaczną fortunę. Hrabina poświęciła swe pieniądze i talenty polityczne dla dobra swego kraju. Szczególnie leży jej na sercu problem śmiertelności dzieci. To bardzo paląca kwestia w dobie powszechnego kryzysu. Osobiście uważam, że... Ach, a oto i nasz *Herr* Eberhard!

Niemiecki wynalazca był młodszy, niż Bundle przypuszczała. Z pewnością nie miał więcej niż trzydzieści parę lat. Wyglądał na gburę, lecz nie można mu było odmówić pewnej dozy uroku. Miał niebieskie oczy i sprawiał wrażenie nieśmiałego. Okropny, jak to Bill określił,

zwyczaj obgryzania paznokci był rezultatem nerwowego usposobienia, a nie braku manier. Był szczupły i wyglądał na anemika.

Wymienił z Bundle parę niezdatnych uwag łamaną angielszczyzną. Na szczęście zjawił się O'Rourke, którego przybycie oboje przyjęli z wyraźną ulgą. Po chwili do bawialni wpadł również Bill. Wpadł jest tu właściwym słowem, albowiem Bill zachowywał się niczym wielki pies radośnie merdający ogonem na widok swoich właścicieli. Z miejsca ruszył w stronę Bundle. Wyglądał na zaaferowanego.

— Cześć, Bundle. Słyszałem, że przyjechałaś, ale nie miałem czasu się przywitać. Boże, ile ja mam spraw na głowie!

— Kraj w potrzebie, co? — rzucił O'Rourke z sympatią.

Bill jęknął w odpowiedzi.

— Nie wiem, jak sobie radzisz ze swoim szefem. Po mojemu wygląda na miłego faceta. Ale Codders jest absolutnie nie do zniesienia! Pracuj, pracuj, pracuj. Od rana do nocy. Co zrobisz, źle zrobisz, a jak nie zrobisz, jeszcze gorzej!

— Całkiem jak cytat z książeczki do nabożeństwa — skomentował Jimmy, który właśnie wszedł.

Bill spojrzał na niego z wyrzutem.

— Nawet nie masz pojęcia — narzekał — ile ja mam problemów!

— Na przykład zabawianie hrabiny, co? Biedny Bill, cóż za cios dla takiego wroga kobiet!

— O czym mówisz? — zainteresowała się Bundle.

— Hrabina poprosiła Billa — wyjaśnił Jimmy z szelmowskim uśmiechem — żeby ją oprowadził po zabytkowych wnętrzach.

— Przecież nie mogłem odmówić — odparł Bill, a jego twarz przybrała ceglasty odcień.

Bundle zaniepokoiła się nie na żarty. Znała Billa aż zbyt dobrze i wiedziała, jak bardzo podatny jest na kobiece wdzięki. W rękach takiej damy, jak hrabina Radzky, Bill z pewnością miękł jak воск. Obawiała się, że Jimmy Thesiger nie postąpił zbyt rozważnie wtajemniczając Billa w sekrety Siedmiu Zegarów.

— Hrabina — ciągnął Bill — jest bardzo czarującą istotą. I niezwykle mądrą. Gdybyście tylko słyszeli te bystre pytania, które zadawała!

— Jakie pytania? — wtrąciła Bundle gwałtownie. Bill pod jej spojrzeniem wił się jak piskorz.

— O, rany, jakie... Nie wiem jakie. O historię, o meble... Różne...

W tym momencie do bawialni wkroczyła hrabina Radzky. Wyglądała olśniewająco w swej obcisłej sukni z czarnego aksamitu. Bundle z przykrością stwierdziła, że Bill natychmiast stracił zainteresowanie całą resztą towarzystwa i odpłynął w stronę pięknej Węgierki. Bateman poszedł w jego ślady.

— Bill i Pongo bardzo to przeżywają — zauważył Jimmy ze śmiechem.

Bundle jednak nie widziała w tym nic zabawnego.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY PO KOLACJI

George Lomax nie należał do zwolenników nowinek technicznych. „Wyvern Abbey” pozbawione było wszelkich nowoczesnych udogodnień, włączając w ich liczbę centralne ogrzewanie. Tak więc kiedy damy po kolacji weszły do bawialni, odkryły, że panująca w pokoju temperatura była w najwyższym stopniu nieadekwatna do wymagań dyktowanych przez współczesną modę w zakresie strojów wieczorowych. Zabytkowy kominek z płonącym wesoło ogniem stał się wiec z konieczności centrum ich zainteresowania. Wszystkie trzy zgromadziły się dookoła niego przytupując z zimna.

— Brrrrrr! — ozwała się hrabina.

— Co za mróz! — lady Coote naciągnęła na ramiona swój kwiecisty szal urągający wszelkim kategoriom estetycznym.

— Dlaczego, na Boga, George nie kazał porządnie ogrzać tej kostnicy? — rzuciła Bundle w przestrzeń.

— Wy, Anglicy, nigdy nie grzejecie w swoich domach — powiedziała hrabina.

Wydobyła swoją cygarniczkę i zapaliła papierosa.

— Ten kominek jest staroświecki — rzekła lady Coote. — Całe ciepło ucieka do komina, zamiast ogrzewać pokój.

— Och! — mruknęła hrabina.

Zapadła cisza. Hrabina była wyraźnie znudzona towarzystwem, co czyniło rozmowę jeszcze trudniejszą.

— To zabawne — lady Coote przerwała milczenie — że dzieci Macatty mają świnkę. To znaczy nie ma w tym nic zabawnego, ale...

— Co to jest świnka? — spytała hrabina. Bundle i lady Coote pospieszyły z wyjaśnieniami.

Hrabina pokiwała głową ze zrozumieniem.

— Czy węgierskie dzieci też chorują na świnkę? — zainteresowała się lady Coote.

— He? — zdziwiła się hrabina.

— Węgierskie dzieci. Czy też chorują?

— Pojęcia nie mam — odparła hrabina. — Skąd mam wiedzieć?

Lady Coote spojrzała na nią z pewnym zdziwieniem.

— Myślałam — rzekła — że pani pracuje w...

— Ach, to! — hrabina wyjęła z ust cygarniczkę i wyraźnie się ożywiła.

— Opowiem paniom — zaczęła — co widziałam w Budapeszcie. Okropności! Trudno w to uwierzyć!

I poczęła roztaczać przed nimi obrazy okropieństw. Jej opowieść była płynna i pełna wyrafinowanych epitetów. Roztaczała przed słuchaczkami drastyczne wizje biedy i głodu. Zaczęła od zniszczeń wojennych, po czym opisała barwnie obecną sytuację. Jej opowieść brzmiała dramatycznie, choć, zdaniem Bundle, nieco sztucznie. Miało się wrażenie, jakby ktoś włączył płytę gramofonową.

Lady Coote była poruszona do szpiku kości. Siedziała z otwartymi ustami i wpatrywała się swym ławym spojrzeniem w hrabinę. Co rusz wydobywała z gardła okrzyki zdumienia.

— Troje dzieci mojej kuzynki spłonęło żywcem w pożarze — skomentowała po swojemu. — Jaki ten świat okrutny!

Hrabina nie zwracała uwagi na jej wtrącenia. Ciągnęła swą historię niewzruszona. W końcu opowieść urwała się równie gwałtownie, jak się rozpoczęła.

— Nie do wiary, prawda? — podsumowała. — Pieniądze są, ale brakuje organizacji, ot co.

Lady Coote westchnęła.

— Mój mąż uważa, że podstawą jest konsekwencja w działaniu. Często podkreśla, że temu właśnie zawdzięcza swój sukces. Mówi, że bez konsekwencji w działaniu daleko by nie zaszedł.

Ponownie westchnęła. Przed oczami stanęła jej wizja sir Oswalda pozbawionego konsekwencji w działaniu. Sir Oswalda, który zachował wszystkie cechy, za które kochała tego miłego chłopca ze sklepu z rowerami. Przez krótką chwilę pomyślała, jakie urocze byłoby życie, gdyby sir Oswald nie był taki konsekwentny.

Naturalną w jej wypadku rzeczy kolejną przeszła do spraw zgoła nie związanych z aktualnym tematem.

— Lady Eileen, proszę mi powiedzieć, czy pani lubi swego ogrodnika?

— MacDonalda? Hm... — zawahała się Bundle. — Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Ale to dobry fachowiec. Zna się na rzeczy.

— Och, nie wątpię — odparła lady Coote.

— Nie ma z nim kłopotów, pod warunkiem, oczywiście, że trzyma się go na dystans.

— Tak myślę.

Lady Coote spojrzała z podziwem na Bundle, która z taką beztroską potrafiła trzymać MacDonalda na dystans.

— Mój Boże, jak mi się marzy taki ogród... Bundle zmierzyła ją wzrokiem, ale na szczęście w tym właśnie momencie do bawialni wpadł Jimmy Thesiger. Wyglądał na człowieka, który się bardzo spieszy.

— Słuchaj, czy mogłabyś teraz rzucić okiem na te sztychy?

Bundle pospieszyła za nim.

— Jakie sztychy, na miłość boską? — spytała zamykając za sobą drzwi.

— Żadne. Potrzebowałem jakiegoś pretekstu, żeby cię wyciągnąć. Pospiesz się, Bill czeka w bibliotece.

Bill chodził tam i z powrotem po bibliotece i był wyraźnie poruszony.

— Słuchaj no, Bundle — wybuchnął na jej widok. — Wcale mi się to nie podoba.

— Niby co?

— Że się w to mieszasz. Dziesięć do jednego, że stanie się tu coś strasznego, a wtedy...

Spojrzał na nią z taką troską, że Bundle zrobiło się nagle ciepło na sercu.

— Nie powinna się w to mieszać, prawda Jimmy?

— Spróbuj ją przekonać. Ja już próbowałem.

— Do diabła, Bundle. To nie żarty. Ktoś może oberwać.

Bundle obróciła się w stronę Jimmy'ego.

— Co mu powiedziałaś?

— Wszystko.

— Głowa mi pęka — jęknął Bill. — Co ci przyszło do głowy, żeby chować się w tej szafie? — spojrzał na nią strapiiony. — Bundle, naprawdę myślę, że nie powinnaś.

— Co nie powinnam?

— Mieszać się w te sprawy.

— Czemu nie? Przynajmniej jest wesoło.

— Wesoło? Pomyśl, co się stało z Ronnym!

— Gdyby nie to, co się stało z Ronnym, nigdy bym się, jak to nazywasz, nie mieszała w te sprawy. Ale się w mieszałam. Wiec przestań już zrzedzić, 'dobrze?

— Wiem, że jesteś odważną dziewczyną, ale...

— Daj sobie spokój z komplementami. Musimy ustalić, co robić.

Ku jej uldze Bill okazał rozsądek.

— Miałaś rację z tymi planami — powiedział.

— Eberhard ma ze sobą jakieś plany. Ściśle mówiąc, ma je sir Oswald. Przetestował ten wynalazek w swoich zakładach, oczywiście w tajemnicy, razem z Eberhardem. Teraz siedzą wszyscy w gabinecie i, jak to się mówi, dochodzą do porozumienia.

— Czy sir Stanley Digby zostaje do niedzieli? — spytał Jimmy.

— Nie. Jutro wraca do Londynu.

— Hm — mruknął Jimmy. — A więc jedno jest jasne. Jeżeli, jak przypuszczam, zamierza zabrać plany ze sobą, to te zbiry wkroczą do akcji tej nocy.

— Masz rację.

— Pewnie, że mam. Skoro zatem wiemy, kiedy uderzą, to nam nieco ułatwia sprawę. Pozostaje rozważyć szczegóły. Gdzie, twoim zdaniem, będą plany tej nocy? U Eberharda? U Coote'a?

— Nie. Dziś wieczorem będą przekazane ministrowi. Sir Digby zabierze je do Londynu jutro z samego rana. A skoro tak, to tej nocy będzie je miał O'Rourke.

— Bill, złociutki, czeka nas więc poważne zadanie. Jeżeli tej nocy ktoś zamierza podwędzić te papiery, to nie ma innego wyjścia, jak stać na straży.

Bundle otworzyła usta, by zaprotestować przeciwko dyskryminacji, ale po namyśle zmieniła zdanie.

— Skoro mowa o straży — ciągnął Jimmy. — Czy ten ponury jegomość przy schodach to nie jest czasem nasz stary znajomy ze Scotland Yardu?

— Holmesie, jak na to wpadłeś?

— Nic trudnego, drogi Watsonie. Coś mi się zdaje, że będziemy zmuszeni wejść mu w paradę.

— Nie mamy innego wyjścia — odparł Bill.

— A więc załatwione. Dzielimy się po połowie?

Bundle ponownie otworzyła usta i znów je zamknęła.

— Dobra — rzucił Bill. — Kto bierze pierwszą wachtę?

— Losujemy?

— Można.

— Dobrze. Orzeł — ty pierwszy, reszka — ja.

Bill skinął głową. Moneta zawirowała w powietrzu. Jimmy pochylił się nad nią.

— Reszka — oznajmił.

— Cholera — jęknął Bill. — Pewnie ominie mnie cała przyjemność.

— Nigdy nie wiadomo. Po kryminalistach można się wszystkiego spodziewać. O której cię obudzić? O trzeciej?

— Może być.

Bundle zdecydowała się nareszcie odezwać.

— A co ze mną?

— Nic. Ty idziesz lulu.

— To nie brzmi zbyt ekscytująco.

— Kto wie? — rzucił Jimmy. — Może ktoś zakradnie się po nocy i cię wykończy?

— Może — odparła Bundle z nadzieją. — Wiesz, Jimmy, nie podoba mi się ta hrabina. Jest jakaś dziwna.

— Nonsens — wykrzyknął Bill z zapalem. — Ona jest poza wszelkim podejrzeniem!

— Skąd wiesz? — spytała Bundle.

— Bo wiem. Bo... bo jeden z ludzi w ambasadzie węgierskiej ręczył za nią głową.

— Och! — odparła Bundle zbита z tropu gwałtownością jego protestu.

— Wy baby jesteście wszystkie takie same — narzekął Bill. — Wystarczy, że jest ładna, a już wieszacie na niej psy.

Bundle знаła aż za dobrze tego rodzaju argumenty.

— Dobrze już, dobrze, tylko nie wypalaj jej z tego szacunku wszystkich naszych sekretów. Ja idę spać. Te baby są takie nudne, że za nic tam nie wrócę.

I wyszła z pokoju. Bill spojrzał na Jimmy'ego.

— Pocziwa Bundle — powiedział. — Już myślałem, że będzie stawiała okoniem. Wiesz, jaka ona jest: zawsze pcha palce między drzwi. Uważam, że dzielnie to przyjęła.

— Ja też tak myślę — odrzekł Jimmy. — Podejrzanie spokojnie.

— To rozsądna dziewczyna. Wie, kiedy przestać. Słuchaj no, czy nie powinniśmy poszukać sobie jakiejś broni?

— Ja mam swego chromowanego colta — rzucił Jimmy od niechcienia. — Waży z dziesięć funtów i wygląda groźnie. Jak będzie trzeba, to ci pożyczę.

Bill spojrzał na niego z podziwem i zazdrością.

— Co cię podkusiło, żeby sprawić sobie coś takiego?

— Sam nie wiem — Jimmy wzruszył ramionami. — Coś mnie tknęło.

— Mam nadzieję, że nie zrobimy krzywdy niewinnym ludziom — zastanawiał się Bill z niepokojem.

— Obyś miał rację — odparł Jimmy ponuro.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY PRZYGODY JIMMY'EGO

W tym miejscu nasza kronika rozdziela się na trzy różne wątki. Nadchodząca noc miała okazać się obfitą w wydarzenia i każda z trzech osób, które brały w nich czynny udział, oglądała je z innej perspektywy.

Zacznijmy od przemilego młodzieńca, pana Jimmy'ego Thesigera, który właśnie żegnał Billa udającego się na spoczynek.

— Pamiętaj — rzucił Bill na odchodne — masz mnie obudzić o trzeciej. Jeżeli dożyjesz — dodał pocieszająco.

— Bez obaw — odparł Jimmy. — Nie jestem takim osłem, na jakiego wyglądam, choć co poniektórzy twierdzą inaczej.

— To samo mówiłeś o świętej pamięci Gerrym Wade'ie. A jeszcze tej samej nocy...

— Och, zamknij się wreszcie. Nic masz za grosz taktu!

— Jak możesz! Oczywiście, że mam takt. Jestem w końcu dyplomata.

— Póki co w stadium larwalnym.

— Ciągłe nie mogę wyjść z podziwu nad Bundle — Bill niespodziewanie wrócił do poprzedniego tematu.

— Byłem pewien, że będzie robiła problemy. Mówię ci, ta dziewczyna zmieniła się nie do poznania.

— To samo mówił twój szef, Codders.

— Osobiście uważam, że historyjka, którą sprzedała Coddersowi, była stanowczo szyta grubymi nićmi. Ale Codders jest takim baranem, że gotów uwierzyć we wszystko. Dobra, idę lulu. Nie wiem, czy ci się uda mnie dobudzić, ale bądź tak dobry i próbuj.

— Jeżeli dosypali ci czegoś do herbaty, to chyba rzeczywiście mi się nie uda.

Bill spojrział na niego z wyrzutem.

— Przez ciebie będę miał koszmary. Jak możesz!

— Oko za oko — rzucił Jimmy. — Dobra, spływaj do łóżka.

Jednak Bill ociągał się z odejściem. Przeszepował z nogi na nogę.

— Jimmy...

— Co?

— Słuchaj, jakby to... Chciałem tylko powiedzieć, że... żebyś na siebie uważał, dobra? Wiem, że dasz sobie radę, ale jak pomyślę o biednym Gerrym i o Ronnym...

Jimmy'emu opadły ręce. Bill na pewno chciał dobrze, ale rezultaty jego pocieszania były żałosne.

— Widzę — stwierdził — że będę musiał pokazać ci Leopolda, bo inaczej nie zaśniesz.

Sięgnął do kieszeni marynarki i podsunął Billowi pod nos jakiś przedmiot.

— Prawdziwy, oryginalny, chromowany colt — rzekł z nie skrywaną dumą.

— Nie mów? — wyszeptał Bill nabożnie. — Naprawdę?

— Trzy lata gwarancji, bracie! Naciskasz tutaj, a Leopold robi całą resztę.

— O rany! Jimmy...

— No?

— Uważaj z tym cackiem, co? Żebyś nie postrzelił starego Digby'ego, jak pójdzie w nocy siusiu.

— Spokojna głowa. Wprawdzie marzę o tym, żeby zobaczyć Leopolda w akcji, ale postaram się stłumić swe krwiożercze instynkty.

— Dobra, to ja idę lulu — rzucił Bill po raz chyba setny, lecz tym razem naprawdę wyszedł.

Jimmy został sam ze swym Leopoldem.

Sir Stanley Digby zajmował sypialnię na samym końcu zachodniego skrzydła. Z jednej strony do jego sypialni przylegała łazienka, zaś z drugiej było przejście prowadzące do mniejszego pokoiku zajmowanego przez sekretarza ministra, pana O'Rourke. Drzwi do wszystkich tych trzech pomieszczeń wychodziły na krótki korytarz. Obserwator miał zatem ułatwione zadanie. Krzesło ukryte w cieniu wielkiej dębowej bieliźniarki tuż obok miejsca, gdzie korytarzyk łączył się z główną galerią, stanowiło idealny punkt obserwacyjny. Tedy wiodła jedyna droga do zachodniego skrzydła, a więc nikt nie mógł się tam przedostać niezauważony. Tym bardziej, że korytarzyk oświetlony był lampą.

Jimmy usadowił się wygodnie na krześle i założył nogę na nogę. Leopold spoczywał w gotowości wsparty o jego kolano.

Jimmy spojrzął na zegarek. Do pierwszej brakowało dwudziestu minut, a więc mijała godzina, odkąd ostatni goście udali się na spoczynek. Żaden dźwięk nie zakłócał ciszy domostwa, jedynie gdzieś z oddali dochodziło tykanie zegara.

Ten dźwięk budził w nim wspomnienia. Gerald Wade spoczywający na łóżku i siedem zegarów tykających na półce nad kominkiem... Czyja ręka umieściła je tam i dlaczego? Wstrząsnął nim dreszcz.

W tym oczekiwaniu było coś strasznego. Jimmy zaczynał powoli rozumieć mechanizm powstawania cudów na seansach spirytystycznych. Takie siedzenie w półmroku, w zupełnej ciszy, powodowało tak wielkie wyczulenie zmysłów, że byle dźwięk wystarczał, by włosy zaczęły się jeżyć na głowie. Jimmy'ego poczęły nachodzić ponure myśli.

Ronny Devereux! Ronny Devereux i Gerry Wade! Obaj młodzi, obaj pełni życia, energii; zwyczajni, zdrowi, weseli młodzi ludzie. Gdzie teraz są? Wilgotna ziemia... robale... Brr! Dlaczego nie mógł się wyzwolić z tych ponurych wizji?

Ponownie spojrzął na zegarek. Dwadzieścia po pierwszej. Jak ten czas się wlecze!

Wspaniała dziewczyna, ta Bundle! Ileż musi mieć hartu i odwagi, żeby dotrzeć do siedziby Siedmiu Zegarów! Dlaczego on sam na to nie wpadł? Pewnie dlatego, że już sam pomysł był zbyt fantastyczny.

Numer siedem. Kim do diabła był numer siedem? Może nawet był teraz tu, w tym domu. Przebrany za służącego. Bo na pewno nie mógł być jednym z gości. Nie, na pewno nie. Cała ta historia była nieprawdopodobna. Gdyby nie to, że wierzył w prawdomówność Bundle, pomyślałby, że jej opowieść jest wyssana z palca.

Ziewnął. „Dziwne, jak można ziewać w takiej chwili” — pomyślał. Znów zerknął na zegarek. Za dziesięć druga.

I wtedy nagle wstrzymał oddech i pochylił się w przód nasłuchując. Czy naprawdę coś usłyszał?

Minęło dziesięć minut... O, znowu! Skrzypnięcie deski w podłodze... Ale dźwięk dochodził z parteru. O, jeszcze raz! Ciche, złowieszcze skrzypnięcie. Ktoś skradał się po ciemku.

Jimmy podniósł się ostrożnie na nogi. Na palcach ruszył w stronę schodów. Wychylił się przez poręcz. Nic, absolutna cisza... Przysiągłby, że naprawdę coś słyszał. To nie mogło być złudzenie.

Cichutko i ostrożnie zszedł w dół po schodach, ściskając w dłoni Leopolda. W hallu panowała cisza. Jeżeli jego założenia były słuszne, hałas musiał dochodzić z biblioteki.

Podszedł ostrożnie do drzwi i przyłożył ucho. Nic, ani szmeru. Gwałtownie szarpnął za klamkę i trzasnął dłonią w kontakt.

Nic! Wielki pokój załało jaskrawe światło lamp. W bibliotece nie było nikogo.

Jimmy zmarszczył brwi.



— Głowę bym dał... — zamruczał do siebie. Biblioteka znajdowała się w wielkiej sali z trzema parami oszklonych drzwi wiodących na taras. Jimmy obejrzał je uważnie. Środkowe drzwi miały odemkniętą zasuwkę.

Otworzył je i wyjrzał na taras. Spojrzał w obie strony. Żywego ducha!

— Wygląda w porządku — mruknął. — Ale przecież...

Przez dobrą chwilę stał pogrążony w rozmyślaniach, po czym wrócił do biblioteki. Podeszedł do drzwi wejściowych, zamknął je od środka, a klucz schował do kieszeni. Potem zgasił światło. Stał w ciemnościach nasłuchując, następnie ruszył do otwartych drzwi na taras i stał z Leopoldem gotowym do strzału.

Czy to miękki tupot nóg na tarasie? Nie, tylko mu się zdawało. Ścisnął Leopolda w garści i stał wsłuchany w ciszę...

Gdzieś w głębi domu zegar wybił godzinę drugą.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

### PRZYGODY BUNDLE

Bundle Brent była dziewczyną przedsiębiorczą, ale równocześnie nie pozbawioną wyobraźni. Potrafiła przewidzieć, że Bill, lub też Jimmy, będzie próbował wybić jej z głowy uczestnictwo w niebezpiecznym przedsięwzięciu. Nie chciała zatem tracić czasu na zbędne kłótnie. Miała własne plany i poczyniła stosowne przygotowania do ich realizacji. Tuż przed obiadem poddała uważnej inspekcji ścianę za oknem swej sypialni. Już wcześniej zauważyła, że szare ściany „Wyvern Abbey” były pokryte bluszczem, zaś bliższe oględziny wykazały, iż bluszcz pod jej oknem był szczególnie obfity i z pewnością nie podda się pod ciężarem jej wątłej osoby.

Trzeba przyznać, że nie lekceważyła trudnego zadania, jakiego podjęli się Bill i Jimmy, jednak uważała, że nie wszystko wzięli pod uwagę. Nie wyraziła głośno swej opinii tylko dlatego, że miała zamiar osobiście dopatrzeć zaniedbań. Krótko mówiąc, podczas gdy Bill i Jimmy trzymali straż w środku, Bundle zdecydowała poświęcić swą uwagę zewnątrz domostwa.

Bundle była dumna, że bez trudu udało jej się uspić ich czujność, choć dziwiło ją, że dali się tak łatwo oszukać. Bill, naturalnie, nigdy nie grzeszył zbytnią inteligencją, ale przecież znał ją nie od dziś i wiedział, że Bundle nie poddaje się bez walki. Jimmy z kolei nie zdążył jeszcze docenić jej uporu, ale mimo to nie mogła uwierzyć, że ma o niej tak niskie mniemanie.

Kiedy tylko znalazła się w sypialni, zabrała się żwawo do pracy. Zdjęła wieczorową suknię i uroczą bieliznę, po czym zaczęła przebierać się, jak to mówią, od podstaw. Jej służąca niewątpliwie zdziwiłaby się widząc, że jej pani zabrała z domu bryczesy, a zapomniała o reszcie stroju do konnej jazdy.

Wkrótce Bundle była gotowa do akcji, odziana w ciemne spodnie, takież sweter i buty na miękkiej podeszwie. Spojrzała na zegarek. Było dopiero wpół do pierwszej; zbyt wcześnie. Cokolwiek miało się tej nocy wydarzyć, na pewno nie nastąpi tak wcześnie. Goście nie zdążyli zasnąć. Bundle postanowiła odczekać jeszcze godzinę.

Zgasiła światło i ulokowała się przy oknie. Kiedy nadszedł właściwy moment, wstała, otworzyła okno i przerzuciła nogę przez parapet. Noc była pogodna, powietrze chłodne i rześkie. Księżyc był w nowiu, tak więc mrok rozświetlały jedynie gwiazdy.

Nie miała trudności z dostaniem się na dół. Jako mała dziewczynka potrafiła się wspinać na drzewa niczym kotka. Wkrótce wylądowała miękko na trawniku, lekko zdyszana, lecz poza tym bez szwanku.

Przez chwilę stała rozważając sytuację. Wiedziała, że sir Digby i jego sekretarz zajmują pokoje w zachodnim skrzydle, po drugiej stronie budynku. Od południa i zachodu dom otaczał taras, który kończył się wysokim murem okalającym sad.

Bundle poczęła skradać się cicho w kierunku narożnika domu. Za rogiem weszła na taras i posuwała się wzdłuż niego pozostając w cieniu budynku. Kiedy dotarła do następnego rogu, stanęła jak wryta na widok mężczyzny, który przeciął jej drogę.

Kiedy ujrzała jego twarz, odetchnęła z ulgą.

— Nadinspektor Battle! Ależ mnie pan przestraszył!

— W końcu na coś się przydałem — odparł oficer z uśmiechem.

Bundle spojrzała na niego. Nie po raz pierwszy uderzył ją spokój i siła bijąca od tego człowieka.

— Co pan tu robi? — szepnęła.

— Pilnuję, żeby nikt się tu nie kręcił po nocy.

— Och! — odparła Bundle zbita z tropu.

— Choćby pani, lady Eileen. Czy to właściwa pora na przechadzki?

— Chce pan powiedzieć, że mam wrócić do swego pokoju, tak?

Nadinspektor Battle pokiwał głową z aprobatą.

— Jest pani bystrą osobką. Dokładnie to chciałem powiedzieć. Czy wyszła pani, hm...  
drzwiami, czy raczej oknem?

— Oknem. Po bluszczu.

Battle spojrzął do góry w zamyśleniu.

— Wygląda solidnie.

— I pan chce, żebym wróciła tą samą drogą? Przyznam, że nie bardzo mi się to uśmiecha.  
Wolałabym wejść od strony zachodniego skrzydła.

— Zapewne nie jest pani jedyną osobą, która pragnie tędy wejść.

— Przecież pan stoi na straży — rzuciła Bundle uszczypliwie.

Nadinspektor wydawał się raczej mile połączony, niż dotknięty.

— A owszem, stoję — odparł. — Żadnych kłopotów, jeżeli można ich uniknąć. To moja dewiza. I proszę się nie gniewać, lady Eileen, ale naprawdę sędzę, że najwyższy czas, żeby wróciła pani do łóżka.

Jego ton był kategoryczny i nie znoszący sprzeciwu. Bundle ruszyła zatem w drogę powrotną. Już prawie sięgała ręką do parapetu, kiedy nagle przemknęła jej przez głowę myśl. Z wrażenia Bundle o mały włos nie spadła ze ściany.

A jeśli nadinspektor podejrzewa właśnie ją?

Stanowczo w jego zachowaniu było coś, co mogło sugerować, że Battle jej nie ufa. Gramoląc się przez okno, Bundle nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu. A to ci historia! Nadinspektor uważa ją za główną podejrzaną!

Bundle wróciła wprawdzie do swej sypialni, ale nie miała wcale zamiaru kłaść się spać. Zresztą Battle był człowiekiem rozsądnym i wiedział doskonale, że Bundle nie usiedzi w spokoju, kiedy dookoła dzieje się tyle ciekawych rzeczy.

Spojrzała na zegarek. Za dziesięć druga. Po chwili wahania otworzyła cichutko drzwi i wyszła na korytarz. Cicho jak w grobie. Najmniejszy dźwięk nie zakłócał spokoju pogrążonego we śnie domu. Bundle ruszyła ostrożnie przed siebie.

Zamarła w bezruchu usłyszawszy skrzypnięcie deski w parkiecie gdzieś na dole. Zawahała się, ale doszła do wniosku, że było to jedynie złudzenie, i po chwili dotarła do głównego korytarza. Skręciła w stronę zachodniego skrzydła i wyjrzała zza rogu. Stała jak wryta.

Krzesło obok bielizniarki było puste. Ani śladu Jimmy'ego.

Bundle nie wierzyła własnym oczom. Co się stało? Gdzie się podział Jimmy? Co to wszystko miało znaczyć?

W tym momencie gdzieś w oddali zegar wybił drugą.

Przez chwilę stała bezradnie nie wiedząc, co począć. I wtem serce podskoczyło jej do gardła. Gałka w drzwiach sypialni Terence'a O'Rourke poczęła się z wolna obracać.

Bundle patrzyła jak zahipnotyzowana. Ale drzwi pozostały zamknięte. Zamiast tego gałka powoli wróciła do poprzedniej pozycji. Bundle nie wiedziała, co o tym myśleć.

Nagle powzięła decyzję. Ponieważ Jimmy nie wieciez czemu opuścił swoje stanowisko, trzeba natychmiast obudzić Billa.

Szybko i bezszelestnie Bundle wróciła w głąb korytarza. Bezceremonialnie wparowała do sypialni Billa.

— Bill, obudź się! Na miłość boską, obudź się! Jej ponaglący szept pozostał jednak bez odpowiedzi.

— Bill! — powtórzyła.

Niecierpliwym ruchem sięgnęła do kontaktu i włączyła światło. Stała oniemiała.

Pokój był pusty, a pościel na łóżku idealnie ułożona.

Co się stało z Billem?

Kiedy uspokoiła myśli, rozejrzała się wokół. To nie była sypialnia Billa. Ta nocna koszula rzucona niedbale na krzesło, te damskie bibeloty na szafce, ta czarna suknia z aksamitu... Oczywiście! W pośpiechu pomyliła drzwi i weszła do sypialni hrabiny Radzky.

Ale w. takim razie gdzie była hrabina?

I dokładnie w chwili, kiedy Bundle zadawała sobie to pytanie, ciszę domu zakłócił huk. Bundle nie miała wątpliwości, co było jego źródłem.

Hałasy dochodziły z parteru. Bundle natychmiast wypadła z pokoju hrabiny i zbiegła na dół po schodach. Z biblioteki dochodził rumor gwałtownie przewracanych krzesel.

Szarpnęła za klamkę, lecz drzwi były zamknięte na klucz. Słyszała wyraźnie odgłosy walki: tupot, szamotanie, przekleństwa dwóch bez wątpienia męskich głosów, od czasu do czasu brzęk rozbijanego szkła...

I nagle, złowieszcze i wyraźne, wdzierające się brutalnie w ciszę nocy, rozległy się dwa strzały z pistoletu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PRZYGODY LORAINE

Loraine Wade usiadła na łóżku i zapaliła nocną lampkę. Była dokładnie za dziesięć pierwsza. Tego wieczora położyła się wcześniej: o wpół do dziesiątej. Loraine posiadała godną pozazdroszczenia umiejętność budzenia się dokładnie na czas, tak więc mogła przed swą wyprawą zażyć nieco wypoczynku.

Oba psy spały w jej pokoju, jeden z nich właśnie uniósł głowę i spojrzał na swą panią.

— Spokój, Złodziej — rzekła Loraine. Wielkie zwierzę posłusznie złożyło łeb między łapami i obserwowało swą panią spod kosmatych brwi.

Obserwując Loraine w pamiętnej rozmowie u Jimmy'ego można było wysnuć przypuszczenie, iż jest potulna i łatwo daje sobą kierować. Ale uważny obserwator bez trudu dostrzegłby ślady uporczywości i stanowczości w rysach jej twarzy.

Loraine ubrała się szybko i założyła ciemny płaszcz. Wsunęła do kieszeni małą elektryczną latarkę, po czym podeszła do biurka, wysunęła szufladę i dobytek z niej niewielki pistolet wykładany kością słoniową — tak mały i niepozorny, iż sprawiał wrażenie zabawki. Kupiła go dzień wcześniej w Harrodsie i była z niego dumna.

Powiodła wzrokiem wokół sprawdzając, czy niczego nie zapomniała. Wielki pies podniósł się z posłania i podszedł do swej pani machając ogonem i spoglądając na nią z nadzieją.

— Nie, Złodziej. Zostajesz w domu. Pani nie może cię zabrać. Bądź grzeczny i wracaj na miejsce.

Ucałowała psa w czubek głowy i wyszła z pokoju zamykając drzwi za sobą.

Wybiegła z domu i ruszyła w stronę garażu. Droga była lekko pochyła, tak że Loraine mogła wyjechać na luzie. Silnik zapaliła dopiero wtedy, kiedy znalazła się dobrych paręset jardów od domu. Rzuciła okiem na zegarek i dodała gazu.

Zaparkowała w miejscu wypatrzonym kilka dni temu. W murze znajdowała się wyrwa, przez którą bez trudu mogła się przecisnąć. Kilka minut później nieco ubłocona dotarła w pobliże „Wyvern Abbey”.

Najciszej jak tylko mogła ruszyła w kierunku domu. Gdzieś w środku zegar wybił godzinę drugą.

Serce biło jej jak oszalałe. Podeszła do tarasu i rozejrzała się dookoła. W pobliżu nie było żywej duszy. Panowała niczym nie zmacona cisza.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, z okna nad nią spadł jakiś pakunek i z cichym plaśnięciem wylądował tuż u jej stóp. Loraine pochyliła się, by go podnieść. Była to paczuszka owinięta szarym papierem i przewiązana sznurkiem. Trzymając ją w dłoniach, Loraine zadarła głowę do góry.

Tuż nad nią znajdowało się otwarte okno, w którym nagle ukazała się przerzucona przez parapet noga.

Loraine nie czekała dłużej. Czmychnęła, wciąż ściskając w rękach paczkę.

Za nią rozległy się odgłosy szamotaniny. Chrapliwy głos wykrzyknął: „Puszczaj!”, a w odpowiedzi odezwał się inny, dobrze znajomy: „A, chciałoby się, co?”

Loraine biegła przed siebie na oślep. Skręciła za róg i niespodzianie wpadła prosto w silne ramiona potężnego mężczyzny.

— Spokojnie, spokojnie — rzekł uprzejmie nadinspektor Battle.

Loraine z trudem chwyciła oddech.

— Szybko! Och! Szybko! Oni się tam mordują! Niechże się pan pospieszy!

Rozległ się ostry wystrzał z rewolweru, za chwilę drugi. Nadinspektor Battle puścił się biegiem, Loraine podążyła za nim. Okrążyli taras i znaleźli się obok szklanych drzwi biblioteki. Jedno skrzydło było otwarte.

Battle pochylił się i zapalił elektryczną latarkę. Loraine stała tuż za nim, zerkając nad jego ramieniem. Z gardła wyrwał się jej cichy szloch.

Na progu leżał Jimmy Thesiger w kałuży krwi. Jego prawa ręka była dziwnie wykręcona.

Lorraine wydała przeraźliwy okrzyk.

— On nie żyje! — załkała. — Och, Jimmy, Jimmy! On nie żyje!

— Cicho, cicho! — uspokoił ją nadinspektor Battle. — Niechże pani przestanie krzyczeć. Ten młody gentleman żyje, zapewniam panią. Proszę lepiej znaleźć kontakt i zapalić światło, dobrze?

Lorraine rzuciła się w poszukiwaniu kontaktu. Po chwili pomieszczenie zalał blask elektrycznych lamp. Nadinspektor westchnął z ulgą.

— Wszystko w porządku, to tylko postrzał w ramię. Zemdlął z upływu krwi. Proszę mi pomóc.

Rozległo się natarczywe pukanie w drzwi i wzburzone głosy.

Lorraine spojrzała niepewnie na nadinspektora.

— Czy mam...?

— Bez pośpiechu — odparł Battle. — Zaraz ich wpuścimy. Ale najpierw proszę mi pomóc.

Lorraine zbliżyła się posłusznie. Nadinspektor wydobyl z kieszeni czystą chustkę i zręcznie opatrzył ranę. Loraine pomagała mu, jak potrafiła.

— Nic mu nie będzie — zapewnił ją nadinspektor.

— Proszę się nic martwić. Wylizę się z tego. Zresztą nie stracił wiele krwi, zapewne uderzył się w głowę upadając.

Stukanie w drzwi przybrało na sile. Dobiegł ich głos George'a Lomaxa, podniesiony i pełen oburzenia.

— Kto tam jest? Otwierać natychmiast! Nadinspektor westchnął.

— Chyba musimy otworzyć — stwierdził. — Niestety.

Szybko rozejrzał się po pokoju, starając się zapamiętać każdy szczegół. Przy boku Jimmy'ego leżał pistolet. Nadinspektor podniósł go ostrożnie i obejrzał. Po chwili chrząknął i odłożył go na stół, po czym poszedł otworzyć drzwi.

Do pokoju wpadło natychmiast kilka osób. Wszyscy zaczęli mówić naraz. George Lomax, wyrzucając z siebie urwane słowa, wykrzyknął:

— Co... co... co to wszystko znaczy? Ach, to pan, nadinspektorze! Co... co tu się dzieje?

Bill Eversleigh zawołał: — O rany! Jimmy! — patrząc na bezwładne ciało na podłodze.

Lady Coote, otulona w obfity fioletowy szlafrok załkała: — Ach! Biedny chłopiec! — i pochyliła się nad Jimmy'ym z matczyną troską.

Bundle powiedziała: — Loraine!

Herr Eberhard zawołał: *Gott im Himmel* i inne rzeczy w tym rodzaju.

Sir Stanley Digby wykrzyknął: — O Boże! A cóż to?

Pokojówka pisnęła: — Krew!

Służący odezwał się: — A to dopiero!

Lokaj, nabrawszy trochę odwagi, zakomenderował:

— No, już, wynocha stąd! — i przepędził resztę służby.

Przedsiębiorczy pan Rupert Bateman zapytał Lomaxa:

— Może odeślemy stąd część tych ludzi?

A potem wszyscy naraz przerwali, by nabrać tchu.

— Niewiarygodne — Lomax pokręcił głową. — Panie Battle, co tu się u licha dzieje?

Nadinspektor zmierzył go wzrokiem i George natychmiast spuścił z tonu.

— Proszę państwa — odwrócił się — proszę wrócić do swoich łóżek. Mieliśmy tutaj... ehem...

— Mały wypadek — pospieszył Battle z pomocą.

— Właśnie. Mały wypadek. Byłbym zobowiązany, gdyby państwo zechcieli wrócić do swych pokoi.

Państwo wyraźnie nie chcieli ruszać się z miejsca.

— Lady Coote, proszę...

— Biedny chłopiec — odparła lady Coote z matczyną troską.

Z ociąganiem podniosła się z kolan. Jimmy dźwignął się na łokciach i usiadł potrząsając głową.

— Cześć — rzekł ochryple. — Coś się stało? Powiódł mętnym wzrokiem dookoła. Po krótkiej chwili doszedł do siebie.

— Złapaliście go? — spytał niecierpliwie.

— Kogo?

— Tego typu. Widziałem jak schodził po bluszczu. Stałem przy drzwiach. Złapałem go za fraki, a on rzucił się na mnie...

— Włamywacz! — wykrzyknęła lady Coote. — Biedny chłopiec!

— Obawiam się, że hm... trochę narozrabialiśmy — stwierdził Jimmy. — Ten facet był silny jak tur. Faktycznie pokój był w opłakanym stanie. W promieniu dwunastu stóp wszystko było połamane i porozbijane.

— Co się stało potem?

Ale Jimmy rozglądał się wokół wyraźnie czegoś szukając.

— Gdzie jest Leopold? Gdzie jest mój śliczny chromowany colt?

Battle wskazał na pistolet leżący na stole.

— Czy to pańska broń, panie Thesiger?

— Tak jest. Mój mały Leopold. Ile strzałów?

— Jeden.

Jimmy wyglądał na załamanego.

— Zawiodłem się na Leopoldzie. Myślałem, że wystrzelam cały magazynek. Zdaje się, że zrobiłem coś nie tak.

— Kto strzelił pierwszy?

— Obawiam się, że ja. Widzi pan, ten typ wyrwał mi się i uciekał w stronę drzwi, więc nacisnąłem spust. Wtedy on się odwrócił i strzelił do mnie, a potem musiałem stracić przytomność.

Podrapał się w tył głowy z zakłopotaniem.

Sir Stanley Digby pojął wreszcie grozę sytuacji.

— Schodził po bluszczu, mówisz? Boże miłosierny! — wykrzyknął. — Lomax, ten ktoś ukradł nasze plany!

Wybiegł z biblioteki w wielkim pośpiechu. Z jakichś niejasnych przyczyn wszyscy zamilkli i czekali na jego powrót. Po paru minutach sir Stanley wrócił na dół. Jego okrągła, pulchna twarz była kredowobiała.

— Mój Boże! — jęknął. — Przepadły. O'Rourke śpi jak zabity, nie mogłem go dobudzić. Papiery zniknęły!

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY ODZYSKANE PLANY

— *Du lieber Gott!* — wyszeptał *Herr Eberhard*. Zrobił się blady jak ściana.

George spojrział z wyrzutem na nadinspektora.

— I co pan na to, Battle? Sądziłem, że mogę panu zaufać.

Twarz nadinspektora pozostała nieruchoma. Nie drgnął zadem muskuł.

— Najlepsi też czasem przegrywają — odparł cicho.

— A więc mam rozumieć, że dokumentacja przepadła?

Ku zdumieniu obecnych Battle zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie, proszę pana, aż tak źle nie jest. Papiery zostały odzyskane, lecz nie ma w tym mojej zasługi. Sądzę, że powinien pan podziękować tej oto młodej damie.

Wskazał na *Lorraine*, która spojrzała na niego zdumiona. Battle podszedł do niej i sięgnął po pakunek, który dziewczyna przez cały ten czas nieświadomie ścisnęła w garści.

— Panie *Lomax* — rzekł. — Myślę, że znajdzie pan w tej paczce wszystko, czego pan szuka.

*Sir Stanley Digby* uprzedził *Lomaxa* i wyrwał pakunek z ręki nadinspektora. Rozdarł papier i niespokojnie począł przeglądać zawartość paczki. Po chwili odetchnął z wyraźną ulgą i otarł spoconą twarz. *Herr Eberhard* rzucił się na twój własnego geniuszu i przycisnął plany namiętnie do serca, a z jego ust popłynął strumień niezrozumiałych okrzyków w obcym języku.

*Sir Stanley* chwycił dłoń *Lorraine* i począł ją z zapalem ugniatać.

— Droga pani — jęczał — jesteśmy niezmiernie zobowiązani.

— Zaiste — rzucił *George*. — Choć przyznam, że... ehem...

Urwał nie wiedząc, co rzec, i wpatrywał się w młodą damę, która była mu najwyraźniej obca. *Lorraine* spojrzała błagalnie na *Jimmy'ego*, który natychmiast pospieszył z prezentacją.

— To jest panna *Wade*. Siostra *Geralda Wade'a*.

— Miło mi — odparł *George* potrząsając jej dłonią.

— Droga panno *Wade*, nie potrafię wyrazić, jak dalece jestem pani wdzięczny. Choć w dalszym ciągu nie rozumiem... hm... skąd hm...

Urwał taktownie, bez wątpienia rozumiejąc, że wyjaśnienia nie będą łatwe. Nadinspektor *Battle* ruszył z pomocą.

— Proponuję zostawić na razie tę kwestię — zasugerował.

Z kolei odezwał się *Bateman*, jak zawsze myśląc o wszystkim.

— Jeżeli mógłbym wtrącić słówko... Sądzę, że należałoby zaopiekować się panem *O'Rourke*. Czy nie wydaje się panom, że powinniśmy wezwać lekarza?

— Oczywiście — odparł *George*. — Jak mogliśmy o tym zapomnieć. Zadzwoń do doktora *Cartwrighta* — zwrócił się do *Billa*. — Poproś, żeby przyjechał tak szybko, jak to możliwe. Aha, i dodaj, że zależy mi na dyskrecji.

*Bill* ruszył wypełnić polecenie szefa.

— Chodźmy, *Digby* — kontynuował *George*. — Zobaczymy, czy da się temu biedakowi hm... pomóc... przedsięwziąć jakieś kroki... zanim przyjedzie lekarz...

Spojrzał raczej bezradnie na *Batemana*. Stanowczo wolał przemawiać niż działać. Natomiast *Pongo* zdawał się wiedzieć dokładnie, co należy robić w takich wypadkach.

— Czy pozwolą mi panowie pójść z wami? — spytał *Bateman* grzecznie.

*George* przyjął tę propozycję z nie wysłowioną ulgą. Oto człowiek, na którym można się wesprzeć. Darzył *Batemana* całkowitym zaufaniem, podobnie zresztą jak każdy, kto miał przyjemność poznać owego przedsiębiorczego młodzieńca.



Wszyscy trzej wyszli z pokoju i udali się na górę. Lady Coote mruknęła: — Biedny chłopiec. Może się na coś przydam — i pobiegła za nimi.

— Uroczą niewiasta — zauważył Battle w zamyśleniu. — Uroczą niewiasta... Zastanawiam się...

Trzy pary oczu spojrzały na niego ciekawie.

— Zastanawiam się — powiedział nadinspektor Battle przeciągle — gdzie podziwia się sir Oswald.

— Och! — krzyknęła Loraine. — Myśli pan, że go zamordowali?

Battle potrząsnął głową.

— Nie widzę powodów do tak drastycznych wniosków. Wydaje mi się raczej...

Urwał nasłuchując z palcem uniesionym do ust.

Po chwili wszyscy usłyszeli to, co jego wprawne ucho zdołało już wcześniej wychwycić. Na tarasie rozległ się dźwięk czyichś kroków. Brzmiały wyraźnie, tak, jakby idący wcale nie zamierzał się kryć. Wkrótce za szklanymi drzwiami pojawiła się masywna postać i z wahaniem zatrzymała się w pół kroku.

Sir Oswald, bo o nim mowa, powiódł wolno spojrzeniem po twarzach obecnych. Objął zdumionym wzrokiem całą sytuację, jego oczy spoczęły na zabandażowanym ramieniu Jimmy'ego, potem przeniosły się na Bundle ubraną, przynajmniej, nieco dziwnie, na Loraine, którą sir Oswald widział po raz pierwszy, wreszcie zatrzymały się na nadinspektorze. Dumny potentat odezwał się ostro i natarczywie.

— Co się tu dzieje, panie oficerze?

— Mieliliśmy tu próbę kradzieży, proszę pana.

— Próbę?

— Dzięki tej oto młodej damie, pannie Wade, złodziejom nie udało się umknąć z łupem.

— Ach tak. A co pan w takim razie powie na to? Wyciągnął przed siebie mały pistolet typu Mauzer trzymając go ostrożnie za lufę.

— Gdzie pan to znalazł, sir?

— Na zewnątrz, na trawniku. Sądzę, że jeden ze złodziei upuścił go uciekając. Staralem się nie zatrzeć ewentualnych odcisków palców.

— Bardzo rozsądnie, proszę pana.

Wziął od niego pistolet z równą ostrożnością i położył na stole obok colta Jimmy'ego.

— A teraz — rzekł sir Oswald — chciałbym usłyszeć, co tu się stało.

Nadinspektor Battle przytoczył pokrótce bieg wydarzeń. Sir Oswald zmarszczył brwi.

— Rozumiem — uciął. — Po zranieniu pana Thesigera napastnik uciekł, wyrzucając po drodze swój pistolet. Nie rozumiem tylko jednego: dlaczego nikt nie próbował za nim pobiec.

— Dopiero po wysłuchaniu opowieści pana Thesigera dowiedzieliśmy się, że trzeba kogoś ścigać — odparł sucho Battle.

— A więc nie widział pan napastnika, kiedy wychodził pan zza rogu?

— Z moich obliczeń wynika, że przybyłem o czterdzieści sekund za późno. Księżyc jest w nowiu, więc jak tylko złodziej zbiegł z tarasu, zniknął w ciemnościach. Musiał uciec zaraz po oddaniu strzału.

— Hmm... — mruknął sir Oswald. — W dalszym ciągu jednak uważam, że powinien pan był zorganizować pościg. Trzeba było pomyśleć wcześniej i ustawić ludzi na czatach...

— W parku jest trzech moich ludzi.

— Ach tak... — odparł sir Oswald strapiiony.

— Kazałem im zatrzymać każdego, kto będzie chciał opuścić teren posiadłości.

— Mimo to nie spełnili swego zadania?

— Nie spełnili — potwierdził Battle ponuro.

Sir Oswald spojrzął na policjanta podejrzliwie.

— Nie mówi mi pan wszystkiego, co pan wie.

— Myli się pan, sir Oswaldzie. Mówię wszystko, co wiem. Ale co myślę, to już inna sprawa. A myślę sobie o wielu dziwnych rzeczach, jednak zanim wymyślę coś konkretnego, pozwoli pan, że zachowam swe rozważania dla siebie.

— Mimo wszystko — odparł sir Oswald przeciągle — wolałbym wiedzieć, o czym pan myśli.

— Przede wszystkim, proszę pana, myślę, że jest tu stanowczo za dużo bluszczu. Nawet, za pozwoleniem, tutaj jest listek na pańskim płaszczu. Stanowczo za dużo. To trochę komplikuje sprawę.

Sir Oswald spojrział na niego, ale nie zdążył odpowiedzieć, gdyż do biblioteki wszedł Bateman.

— Ach, tu pan jest, sir Oswaldzie. Lady Coote właśnie zauważyła, że nie ma pana w pokoju, i twierdzi, że został pan zamordowany przez włamywaczy. Lepiej, żeby poszedł pan do niej. Jest bardzo zdenerwowana.

— Maria jest niepoważna. Dlaczego niby miałby mnie mordować? Już idę.

Wyszedł razem ze swym sekretarzem.

— Cóż za przedsiębiorczy młody człowiek — zauważył Battle. — Jak się nazywa? Bateman?

Jimmy kiwnął głową.

— Rupert Bateman — wyjaśnił. — Wśród przyjaciół znany jako Pongo. Chodziłem z nim do szkoły.

— Naprawdę? To interesujące. Co pan o nim wtedy sądził?

— Pongo zawsze był takim samym osłem.

— Nie powiedziałbym — rzucił Battle — że pan Bateman jest osłem.

— Och, wie pan, co mam na myśli. Jasne, że nie był osłem. Zawsze miał łeb i wszystko wiedział najlepiej. Ale jest taki śmiertelnie poważny. Za grosz poczucia humoru.

— To wielka szkoda — stwierdził Battle. — Człowiek bez poczucia humoru traktuje samego siebie zbyt serio. Taki człowiek prędzej czy później popada w tarapaty.

— Pongo w tarapatach? Ten chłopak nie zginie. Umie się o siebie zatroszczyć.

— Panie nadinspektorze? — odezwała się Bundle.

— Tak, lady Eileen?

— Czy nie wydaje się panu dziwne, że sir Oswald ani słowem nie wspomniał o tym, co robił w parku o tej porze?

— Widzi pani — odparł Battle — sir Oswald to wielki człowiek, a wielki człowiek nigdy nie tłumaczy się ze swojego postępowania, chyba że zapytany wprost. Tłumaczenie się jest oznaką słabości. Sir Oswald wie o tym równie dobrze jak ja. Nigdy nie pozwoli sobie na tłumaczenie i przeproszenie. Woli objeżdżać mnie z góry na dół. O tak! sir Oswald to wielki człowiek.

W głosie nadinspektora brzmiał taki podziw dla wielkiego człowieka, że Bundle postanowiła nie wracać do tego tematu.

— A teraz — podjął Battle rozglądając się wokół z błyskiem w oczach — chcę wreszcie usłyszeć, jak to się stało, że panna Wade znalazła się tutaj tak niespodziewanie.

— Powinna się wstydzić — orzekł Jimmy. — Tak nas wszystkich nabrać.

— A dlaczego mam się trzymać z daleka? — wykrzyknęła Loraine z pasją. — Już pierwszego dnia, u Jimmy'ego, oboje postanowiliście, że najlepiej, jak będę siedzieć w domu i nie wyściubiać nosa na zewnątrz. Nic nie mówiłam, ale już wtedy ułożyłam sobie plan działania.

— Właściwie mogliśmy się tego domyślać — stwierdziła Bundle. — Byłaś tak niesamowicie posłuszna. Mogliśmy się domyśleć, że coś knujesz.

— A ja myślałem, że jesteś wyjątkowo rozsądna — przyznał Jimmy Thesiger.

— A pewnie, Jimmy — roześmiała się Loraine. — Ciebie tak łatwo oszukać.

— Dziękuję za uznanie — rzekł Jimmy. — Dalej, poużywaj sobie na mnie.

— Kiedy zadzwoniłeś i powiedziałeś mi, że czeka cię jakieś niebezpieczeństwo, postanowiłam działać — ciągnęła Loraine. — Poszłam do Harrodsa i kupiłam pistolet. O, właśnie ten.

Wyciągnęła swój elegancki pistolet z kieszeni, a nad inspektor Battle obejrzał go dokładnie.

— To raczej śmiertelna zabaweczka, panno Wade — stwierdził. — Ma pani jakieś, hm, doświadczenie z bronią?

— Żadnego — odparła Loraine. — Ale wydawało mi się, że będę czuła się bezpieczna mając to przy sobie.

— Słusznie — odrzekł Battle poważnie.

— Mój plan polegał na tym, żeby przyjść tutaj i zorientować się w sytuacji. Zostawiłam wóz przy drodze, precyzyjnie się przez żywopłot i przybiegłam na taras. Właśnie się rozglądałam, gdy nagle coś pac! upadło koło mojej nogi. Podniosłam to coś i spojrzałam do góry. Wtedy spostrzegłam jakiegoś człowieka schodzącego po bluszczu, no i zwałam.

— Rozumiem — rzekł nadinspektor. — Czy jest pani w stanie opisać tego człowieka?

Dziewczyna pokręciła głową.

— Było za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć. Wydaje mi się, że był dość potężny, ale to wszystko.

— A teraz pan, panie Thesiger — Battle zwrócił się do Jimmy'ego. — Pan walczył z tym człowiekiem, czy może mi pan coś o nim powiedzieć?

— Był silny, to na pewno. Mówił chrapliwym głosem. Kiedy trzymałem go za gardło, powiedział coś w rodzaju „puszczaj... twoja mać!”.

— Jakiś prostak, z tego wniosek.

— Takie też odniosłem wrażenie.

— A ja ciągle nie rozumiem, dlaczego on zrzucił tę paczkę — wtrąciła Loraine. — Przeszkadzała mu w schodzeniu czy co?

— Nie — wyjaśnił Battle. — Mam na ten temat zupełnie inną teorię. Ta paczka, panno Wade, została celowo rzucona do pani.

— Do mnie?

— Raczej do osoby, która tam miała być zamiast pani.

— To się robi coraz bardziej skomplikowane — orzekł Jimmy.

— Panie Thesiger, kiedy pan wchodził do tego pokoju, zapalił pan światło?

— Tak.

— Czy ktoś tu był?

— Nie, nikogo nie było.

— Ale najpierw wydawało się panu, że słyszy pan tu jakieś kroki?

— Tak.

— Sprawdziwszy wszystkie okna zgasił pan światło i zamknął drzwi na klucz?

Jimmy przytaknął.

Nadinspektor Battle rozejrzał się uważnie dookoła. Jego wzrok zatrzymał się na dużym skórzanym parawanie stojącym obok półek z książkami.

Ruszył w tamtą stronę bez wahania i zajrzał za parawan. Zaskoczony, wydał z siebie okrzyk, a trójka młodych ludzi szybko podbiegła do niego.

Na podłodze leżała zemdlona hrabina Radzky.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI OPOWIEŚĆ HRABINY RADZKY

Hrabina wracała do świadomości zupełnie inaczej niż Jimmy Thesiger — długo i z artyzmem.

Z artyzmem. Właśnie tak określiłaby to Bundle, gdyby ktoś zapytał ją o zdanie w tej kwestii. Przez dobre parę minut starała się wyrwać hrabinę z omdlenia, ograniczając się przede wszystkim do aplikowania jej dużych ilości zimnej wody. Po jakimś czasie hrabina uniosła białą dłoń do czoła i wymamrotała kilka niezrozumiałych słów.

W tej właśnie chwili do biblioteki wkroczył Bill, ogarnął wzrokiem całą sytuację i (zdaniem Bundle) zaczął robić z siebie kompletnego idiotę.

Pochylił się nad hrabiną z niepokojem w twarzy i począł wyrzucać z siebie strumień najbardziej idiotycznych uwag, jakie można sobie tylko wyobrazić.

— Już dobrze, hrabino. Już dobrze. Niech pani nic nie mówi. Proszę nie wstawać. Niech pani leży i odpoczywa. Zaraz wszystko będzie w porządku. Zaraz pani sobie wszystko przypomni, ale na razie proszę nic nie mówić, póki nie przyjdzie pani do siebie. Nie ma pośpiechu. Niech pani leży i zaniknie oczy. Zaraz sobie pani wszystko przypomni. Proszę lyknać jeszcze trochę wody. Może koniaku? Nie sądzisz, Bundle, że koniak dobrze jej zrobi?

— Bill, na miłość boską, zostaw ją w spokoju — rzekła Bundle niecierpliwie. — Nic jej nie będzie.

I wprawnym ruchem wylała zawartość karafki prosto w twarz hrabiny, niszcząc przy tym jej staranny makijaż.

Hrabina zamrugała oczami i uniosła głowę. Wyglądała o wiele bardziej przytomnie.

— Ach! — jęknęła. — Gdzie ja jestem? Co się dzieje?

— Nie ma pośpiechu — powtarzał Bill. — Niech pani nic nie mówi. Zaraz będzie lepiej.

Hrabina ściągnęła poły przejrzystej koszuli nocnej.

— Już mi lepiej — szepnęła. — Tak, już lepiej.

Spojrzała na twarze otaczających ją osób. Niewątpliwie musiała dojść do wniosku, że wyglądają groźnie, bo zwróciła się w stronę Billa, który jako jedyny sprawiał wrażenie zaniepokojonego jej stanem.

— Ach, mój wielki Angliku — rzekła miękko. — Nie niepokój się. Już mi lepiej.

— Jest pani pewna? — spytał Bill niespokojnie.

— Tak. My, Węgrzy, mamy nerwy ze stali.

Na twarzy Billa pojawił się wyraz niewysłowionej ulgi. Bundle miała szczerą ochotę go kopnąć.

— Jeszcze wody? — spytała chłodno.

Hrabina pokręciła głową. Jimmy, będąc bardziej czułym na wdzięki niewieście, zaproponował drinka. Hrabina łaskawie przyjęła ofertę. Upiwszy nieco spojrzała wokół, tym razem nieco bardziej przytomnie.

— Co się stało? — spytała.

— Mielśmy nadzieję — rzekł nadinspektor — że dowiemy się tego od pani.

Hrabina zmierzyła go wzrokiem, jako że widziała go pierwszy raz w życiu.

— Byłam w pani pokoju — zauważyła Bundle. — Łóżko jest nietknięte.

Urwała i wpatrywała się w nią oskarżające. Hrabina przymknęła oczy i wolno skinęła głową.

— Och, zaczynam sobie przypominać. To było okropne! Czy mam wszystko opowiedzieć?

Nadinspektor Battle odparł „Tak, jeśli łaska”, zaś Bill w tym samym momencie rzucił „Nie, jeżeli nie ma pani siły”.

Hrabina spoglądała to na jednego, to na drugiego. Wreszcie poddała się pod natarciwym wzrokiem nadinspektora.

— Nie mogłam zasnąć — zaczęła. — Ten dom mnie przytłacza, czułam się taka napięta i zdenerwowana. Chodziłam po pokoju tam i z powrotem. Próbowałam czytać, ale nie mogłam znaleźć nic interesującego. Postanowiłam więc, że zejść do biblioteki i poszukam jakiejś ciekawej książki. Wyszłam z pokoju. Wszędzie było cicho...

— Przepraszam — wtrącił Battle — ale czy pamięta pani, która to była godzina?

— Nigdy nie zwracam uwagi na takie drobiazgi — odparła hrabina z wyższością i wróciła do przerwanej wątku.

— Było tak cicho, że słychać było każde skrzypnięcie deski w podłodze. Zeszłam po schodach najciszej, jak tylko umiałam...

— Dlaczego?

— Nie chciałam nikogo obudzić, oczywiście — odparła oburzona. — No więc weszłam do biblioteki i stanęłam tutaj, przy tej półce, szukając jakiejś dobrej książki.

— Zapaliwszy światło, ma się rozumieć?

— Nie, nie zapalałam światła. Miałam ze sobą latarkę.

— Ach tak! — rzekł nadinspektor.

— Nagle — ciągnęła hrabina dramatycznie — coś usłyszałam. Jakiś stłumiony szelest. Czyjeś kroki. Zgasiłam latarkę i schowałam się za tym parawanem.

Kroki były coraz bliżej. Ktoś wszedł do pokoju i zapalił światło. Włamywacz!

— Zaraz, moment... — zaczął Jimmy, ale w tej samej chwili ciężka stopa nadinspektora spoczęła na jego stopie. Jimmy zrozumiał aluzję.

— Myślałam, że umrę ze strachu — ciągnęła hrabina. — Staralam się nie oddychać. Ten człowiek stanął i nasłuchiwał. Potem znowu usłyszałam kroki tego potwora...

Jimmy ponownie otworzył usta, by zaprotestować, ale znowu zmuszony był je zamknąć.

— Przeszedł na drugą stronę pokoju i stał tam parę chwil, a potem wrócił i zgasił światło. Usłyszałam, że zamyka drzwi, ale nie wyszedł, tylko znowu podszedł do drzwi na taras. Boże, jak się bałam! Myślałam, że wejdzie na mnie po ciemku! Potem zapadła cisza. Myślałam, że wyszedł na zewnątrz, ale bałam się wyjrzeć. Musiało minąć parę minut. Ciągle było cicho. Już miałam zamiar zapalić latarkę i wyjść, kiedy nagle...

— Proszę mówić dalej.

— Ach, jakie to było straszne! Nigdy, przenigdy tego nie zapomnę! Oni się chcieli pozabijać! To było okropne! Szamotali się po pokoju, rozbijali meble... W pewnej chwili zdawało mi się, że słyszę krzyk kobiety, ale to musiało być na zewnątrz. Ten włamywacz miał taki straszny, ochryply głos. Ciągle mówił „Puszczaj, puszczaj”. Ten drugi mówił jak gentleman. Miał taki miły, kulturalny głos.

Jimmy tym razem nie protestował.

— Nie mówił nic konkretnego — kontynuowała hrabina. — Raczej przeklinał.

— Rzeczywiście gentleman — zauważył Battle.

— A potem rozległ się huk i kula uderzyła w półkę tuż obok mnie. I wtedy chyba zemdlalam.

Spojrzała na Billa, a ten ujął ją za rękę.

— Biedactwo — rzekł ze współczuciem. „Idiota” — pomyślała Bundle.

Nadinspektor Battle ruszył w stronę półki wskazanej przez hrabinę. Pochylił się i przez chwilę czegoś szukał. Wreszcie podniósł coś z podłogi.

— To nie była kula, pani hrabino — oznajmił. — To łuska z naboju. Panie Thesiger, z którego miejsca oddał pan strzał?

Jimmy podszedł do drzwi na taras.

— Jeżeli dobrze pamiętam, stałem mniej więcej tutaj. Nadinspektor Battle stanął obok Jimmy'ego.

— To by się zgadzało — mruknął. — Pusta łuska leci w prawo do tyłu. Kaliber 455. Wcale się nie dziwię, że hrabina wzięła ją za kulę. Łuska uderzyła w półkę o stopę od niej. Kula zaś odbiła się od futryny. Bez wątpienia znajdziemy ją rano, chyba że nasz włamywacz nosi ją w swoim cieie.

Jimmy ze smutkiem pokręcił głową.

— Obawiam się, że Leopold nie spisał się zbyt dobrze.

Hrabina spoglądała na Jimmy'ego.

— Pańska ręka! — wykrzyknęła ujrzawszy opatrunek.

— A więc to pan...

Jimmy skłonił się uprzejmie.

— Cieszę się, że mam kulturalny głos. I spieszę zapewnić, że za nic nie użyłbym wulgaryzmów, gdybym wiedział, że w pobliżu jest dama.

— I tak niewiele rozumiałam — odparła hrabina z uśmiechem. — Wprawdzie moja guwernantka była Angielką...

— Raczej wątpię, żeby uczyła panią podobnych słów — zgodził się Jimmy.

— Ale co tu się działo? — dopytywała się hrabina.

— Chciałabym, żeby mi ktoś wyjaśnił, o co chodzi.

Zapadła cisza i wszystkie oczy zwróciły się w stronę nadinspektora Battle.

— Ktoś próbował skraść sir Stanleyowi ważne dokumenty. Złodziejowi prawie udało się uciec razem z nimi, ale dzięki tej oto młodej damie — Battle wskazał Loraine — jego plan spalił na panewce.

Hrabina zmierzyła Loraine zgoła dziwnym wzrokiem.

— Rozumiem — rzekła chłodno.

— Szczęśliwym zbiegiem okoliczności panna Wade przechodziła właśnie w pobliżu — dodał Battle z uśmiechem.

Hrabina wydała z siebie bolesne westchnienie i przymknęła oczy.

— Państwo wybaczą, ale nie czuję się zbyt dobrze — wymamrotała.

— Wcale nie dziwne — zauważył Bill troskliwie.

— Zaprowadzę panią do pokoju. Bundle, pomożesz mi?

— To bardzo miłe z waszej strony — odparła hrabina — ale wołałabym zostać sama. Nic mi nie jest, czuję się tylko trochę słaba. Jeżeli pan chce, może mi pan pomóc wejść na górę.

Podniosła się na nogi i ujęła Billa pod ramię. Bundle towarzyszyła im do hallu, lecz hrabina odrzuciła grzecznie jej pomoc zapewniając, że nic jej nie jest.

Bundle stała spoglądając za odchodzącą hrabiną, która z wysiłkiem pokonywała stopnie wsparta ciężko na ramieniu Billa. Jako się rzekło, uroczą arystokratka miała na sobie przejrzystą koszulę, wąż i zwiewną szatę z pomarańczowego szyfonu. Przez cienki materiał Bundle dostrzegła wyraźnie, tuż pod prawą łopatką, niewielki czarny pieprzyk.

Sapnęła z wrażenia i odwróciła się na pięcie. Nadinspektor Battle wychodził właśnie z biblioteki poprzedzany przez Jimmy'ego i Loraine.

— To by było na tyle — mówił Battle. — Zamknąłem drzwi na taras i dopilnuję, by zostawić jednego z moich ludzi na zewnątrz. Te drzwi zamkniemy na klucz, a rano spróbujemy przeprowadzić rekonstrukcję wydarzeń... Lady Eileen, coś się stało?

— Muszę z panem natychmiast porozmawiać — powiedziała Bundle.

— Dobrze, ale...

U szczytu schodów pojawił się George Lomax w towarzystwie lekarza.

— Ach! Dobrze, że pana widzę, Battle. O'Rourke został uspiiony solidną dawką jakiegoś paskudztwa, ale nic mu nie jest.

— Tak też sądziłem — odparł Battle.

— Wstrzyknięto mu podskórnie silny środek nasenny — dodał doktor Cartwright. — Rano obudzi się zdrów jak ryba, najwyżej z lekkim bólem głowy. A teraz, młody człowieku, obejrzyjmy tę pańską ranę.

— Chodźmy, siostrze — rzucił Jimmy do Loraine.

— Będziesz świadkiem cierpień bohatera.

Jimmy, Loraine i lekarz udali się na górę. Bundle w dalszym ciągu rzucała nadinspektorowi ponaglące spojrzenia, ale ten nie mógł się uwolnić od gadatliwego Lomaxa.

Battle czekał cierpliwie na przerwę w potoku elokwencji. Kiedy Lomax urwał, by zaczerpnąć oddechu, policjant skwapliwie skorzystał z okazji.

— Zastanawiam się, proszę pana, czy mógłbym zamienić słówko z sir Stanleyem.

— Ależ oczywiście, oczywiście. Pójdę zobaczyć, czy jeszcze nie śpi.

Ruszył na górę w wielkim pośpiechu. Battle wciągnął Bundle do bawialni i zamknął drzwi.

— A więc, lady Eileen? Co się stało?

— Postaram się to panu wyjaśnić, ale obawiam się, że to długa historia.

Tak zwięźle, jak to tylko możliwe, Bundle zrelacjonowała mu swoje przygody w Klubie Siedmiu Zegarów. Battle wciągnął powietrze ze świstem i na moment przestał panować nad swą twarzą.

— Zadziwiająco — rzekł wreszcie. — Zadziwiająco. Nigdy bym się tego nie spodziewał, nawet po pani, lady Eileen. Chyba pani nie doceniałem.

— Sam pan przecież dał mi wskazówkę, żeby spytać Billa.

— Już nigdy więcej nie dam pani żadnej wskazówki. Nie przypuszczałem, że pani zdobędzie się na tak nierozważny krok!

— Przecież wszystko skończyło się dobrze. Nikt mnie nie zabił.

— Na razie — odparł Battle z przekąsem. Przez chwilę rozważał coś w myślach. — Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego pan Thesiger wciąga panią w takie niebezpieczne eskapady.

— On o niczym nie wiedział — wyjaśniła Bundle. — Nie jestem taka głupia, nadinspektorze. A poza tym, on jest za bardzo zajęty panną Wade, żeby martwić się jeszcze i o mnie.

— Ach, więc to tak? — zdumiał się Battle. Poruszył brwiami.

— Będę więc musiał poprosić pana Eversleigha, żeby pani pilnował, lady Eileen.

— Bill! — prychnęła Bundle pogardliwie. — Ale pan nawet nie wysłuchał do końca mojej historii. Ta kobieta, którą tam zobaczyłam, Anna, numer jeden, to hrabina Radzky!

I zaczęła opisywać, jak rozpoznała pieprzyk na plecach hrabiny.

Ku jej zaskoczeniu nadinspektor chrząknął niepewnie.

— Pieprzyk nie jest dowodem, lady Eileen. Dwie kobiety mogą mieć identyczny pieprzyk w tym samym miejscu, to się zdarza. Musi pani pamiętać, że hrabina Radzky jest bardzo dobrze znaną osobistością na Węgrzech.

— W takim razie nie jest prawdziwą hrabiną. Mówię panu, że jestem absolutnie pewna. To jest ta sama kobieta. Zresztą proszę zwrócić uwagę, gdzie ją dzisiaj znaleźliśmy. Założę się, że tylko udawała omdlenie.

— Proszę tak nie mówić, lady Eileen. Łuska uderzająca w półkę tuż obok niej wystraszyłaby każdą kobietę na śmierć.

— No, a co ona tam w ogóle robiła? Przecież nie poszła szukać książki z latarką elektryczną!

Battle poskrobał się w policzek. Bundle odniosła wrażenie, że nie wie, co powiedzieć. Przeszedł parę kroków w tę i z powrotem, jak gdyby zastanawiając się nad odpowiedzią. W końcu podniósł oczy.

— Proszę posłuchać, lady Eileen, powiem coś pani w zaufaniu. Hrabina jest osobą podejrzaną. Wiem to tak samo dobrze, jak pani. Jest bardzo podejrzana, ale musimy zachować ostrożność. Nie możemy zadzierać z ambasadą. — Najpierw musimy mieć dowody.

— Rozumiem. Gdyby pan miał dowody...

— To nie koniec. Podczas wojny ludzie buntowali się przeciw pozostawieniu niemieckich szpiegów na wolności. Wielu pisało oburzone listy do gazet i składało donosy. Myśmy nie zwracali na nich uwagi, pozwoliliśmy plotkom działać. Dlaczego? Bo wiedzieliśmy, że prędzej czy później doprowadzą nas do grubej ryby.

— To znaczy do kogo?

— To już nieważne, lady Eileen. Proszę tylko pamiętać, że wiem wszystko o hrabinie Radzky. I chcę, żeby ją zostawiono w spokoju.

A po chwili dodał z żalością:

— A teraz muszę wymyśleć jakąś bajeczkę dla sir Stanley a.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI NADINSPEKTOR BATTLE W AKCJI

Była dziesiąta rano następnego dnia. Promienie słońca wlewały się przez okna biblioteki, gdzie nadinspektor Battle pracował już od szóstej. George Lomax, sir Oswald Coote i Jimmy Thesiger dołączyli do niego pokrzepiwszy nadwątłone siły solidnym śniadaniem. Ręka Jimmy'ego spoczywała na temblaku, ale poza tym po chłopaku nie widać było ani śladu wydarzeń ostatniej nocy.

Nadinspektor spojrzął na nich tak, jak spogląda kustosz muzeum na szkolną wycieczkę. Na stole obok niego leżały rozmaite przedmioty oznaczone nalepkami. W jednym z nich Jimmy rozpoznał swojego Leopolda.

— Ach, nadinspektorze — zaczął George — ciekaw jestem, czy osiągnął pan jakiś postęp. Złapał pan przestępcę?

— O, to zabierze jeszcze trochę czasu — odparł nadinspektor pogodnie, jak gdyby się wcale tym nie przejmował.

George Lomax sprawiał wrażenie niezadowolonego. Nie znosił beztroski, w żadnym wydaniu.

— Mam tu wszystko dokładnie posegregowane — ciągnął detektyw podnosząc dwa przedmioty ze stołu.

— Tu mamy dwie kule. Ta większa, kaliber 445, została wystrzelona z colta pana Thesigera. Uszkodziła ramę okienną i utkwiała w pniu tamtego cedru. Ta mała, kaliber 25, pochodzi z mauzera. Przeszła przez ramię pana Thesigera i utkwiała w fotelu. Jeżeli zaś chodzi o mauzera...

— Właśnie? — dopytywał się sir Oswald niecierpliwie. — Były na nim odciski palców?

Battle pokręcił głową.

— Człowiek, który go użył, nosił rękawiczki — powiedział powoli.

— Szkoda — stwierdził sir Oswald.

— Fachowiec zawsze ma na sobie rękawiczki. Czy dobrze pamiętam, że znalazł pan ten pistolet około dwudziestu jardów od schodów tarasowych?

Sir Oswald podszedł do okna.

— Tak sędzę. Mniej więcej.

— Nie chciałbym pana krytykować, sir, ale byłoby rozsądniej zostawić go tam, gdzie go pan znalazł.

— Przepraszam — odparł sir Oswald wyniośle.

— Och, nie szkodzi. Udało mi się zrekonstruować przebieg zdarzeń. Znalazłem pana ślady wiodące tu z głębi ogrodu i miejsce, gdzie pan przystanął i pochylił się, by coś podnieść, a także małe wgłębienie w trawie, bardzo znaczące. A swoją drogą, jaka jest pańska teoria na temat tego pistoletu?

— Przypuszczam, że przestępca zgubił go uciekając. Battle potrząsnął głową.

— Nie zgubił. Dwie wskazówki przeczą temu, sir. Po pierwsze, na trawniku znajdują się tylko jedne ślady — pańskie.

— Rozumiem — odparł sir Oswald poważnie.

— Jest pan tego pewien, Battle? — wtrącił George.

— Zupełnie pewien, sir. Są jeszcze inne ślady, należące do panny Wade, ale dużo dalej na lewo.

Przerwał na chwilę, po czym podjął.

— Jest jeszcze to wgłębienie w trawie. Pistolet uderzył ziemię z pewną siłą. To świadczy, że został rzucony.

— Wszystko się zgadza — stwierdził sir Oswald. — Powiedzmy, że mężczyzna biegł ścieżką w lewą stronę. Na ścieżce nie zostawiłby żadnych śladów. Stamtąd odrzucił pistolet na środek trawnika, prawda, Lomax?

George przytaknął.

— To prawda, że na ścieżce nie zostałyby żadne ślady — przyznał Battle. — Ale kształt wgłębienia wskazuje na to, że pistolet nie został rzucony z tamtej strony. Sądzę, że rzucono go stąd, z tarasu.

— Bardzo możliwe — zgodził się sir Oswald. — Czy to ma jakieś znaczenie?

— No właśnie, Battle — wtrącił George. — Czy to ważne?

— Może nie, panie Lomax. Ale chcę wyjaśnić pewne sprawy do końca. Czy któryś z panów mógłby rzucić tym pistoletem teraz? Bardzo proszę, sir Oswaldzie, to miło z pana strony. Proszę stanąć tu, przy oknie. Teraz proszę wyrzucić pistolet.

Sir Oswald wziął wielki zamach i cisnął pistoletem w powietrze. Jimmy Thesiger przysunął się bliżej z wielkim zainteresowaniem. Nadinspektor pobiegł za wyrzuconym mauzerem jak dobrze wytresowany pies. Powrócił niosąc go z uradowaną miną.

— Bardzo dobrze, sir. Takie samo wgłębienie. Ale pan rzucił go dobre dziesięć jardów dalej. Jest pan przecież potężnym mężczyzną, prawda, sir Oswaldzie? Och, przepraszam, chyba ktoś jest przy drzwiach.

Nadinspektor musiał mieć o wiele lepszy słuch niż wszyscy inni. Nikt oprócz niego nie usłyszał żadnego dźwięku, ale w drzwiach pojawiła się lady Coote ze szklanką lekarstwa w dłoni.

— Twoje lekarstwo, Oswaldzie — powiedziała, wchodząc do pokoju. — Zapomniałeś wypić przy śniadaniu.

— Jestem bardzo zajęty, Mario — odrzekł sir Oswald. — Potem wypiję.

— Gdyby nie ja, nigdy byś go nie brał — stwierdziła jego żona z troską, podchodząc do niego. — Jesteś jak niegrzeczny mały chłopiec. Wypij je natychmiast.

I potężny magnat stalowy wypił wszystko posłusznie! Lady Coote uśmiechnęła się słodko do zgromadzonych.

— Przeszkadzam panom? Jesteście bardzo zajęci? Och, ile rewolwerów! Wstrętne, mordercze narzędzia. Tylko pomyśleć, Oswaldzie, że jakiś włamywacz mógł cię zastrzelić ubiegłej nocy.

— Musiała się pani bardzo denerwować o męża, lady Coote — zauważył Battle.

— Na początku nie zauważyłam, że go nie ma — wyznała lady Coote. — Tyle się wokół działo, ten biedny chłopiec krwawił, tyle było zamieszania... Dopiero kiedy pan Bateman spytał, czy nie widziałam Oswalda, przypomniałam sobie, że mąż wyszedł na spacer do parku dobre pół godziny wcześniej.

— Cierpi pan na bezsenność? — spytał Battle.

— Zwykle sypiam wybornie, ale wczorajszej nocy czułem się dziwnie niespokojny. Sądziłem, że świeże powietrze dobrze mi zrobi.

— Wyszedł pan tymi drzwiami, jak sądzą?

Czy było to złudzenie, czy też sir Oswald zawahał się przez chwilę?

— Tak.

— I to w dodatku w kapciach — dodała lady Coote — zamiast założyć porządne buty. Co ty byś beze mnie począł, Oswaldzie?

I pokiwała smutno głową.

— Mario, bądź tak dobra i nie przeszkadzaj nam. Mamy tyle spraw do przedyskutowania.

— Wiem, wiem, mój drogi. Już sobie idę. Wyszła niosąc dumnie pustą szklankę po lekarstwie, niczym hostię.

— No cóż, Battle — rzekł George Lomax. — Sprawa wydaje się jasna. Włamywacz strzelił do pana Thesigera raniąc go dotkliwie, po czym wyrzucił pistolet i pobiegł tarasem w stronę żwirowej ścieżki.

— Gdzie powinien był wpaść prosto na moich ludzi — dorzucił Battle.

— Pańscy ludzie, jeżeli chce pan znać moją opinię, nie wykazali się zbyt dużym zapalem, skoro nie zdołali zauważyć panny Wade. Jeżeli przeoczyli ją, równie dobrze mogli przeoczyć włamywacza.

Nadinspektor Battle otworzył usta do odpowiedzi, ale po namyśle zmienił zdanie. Jimmy Thesiger spoglądał na niego podejrzliwie. Dalby wiele, żeby dowiedzieć się, o czym myślał nadinspektor.

— Musiał być zatem mistrzem świata w sprincie — stwierdził Battle, zamiast wyrazić głośno swoje podejrzenia.

— Co pan przez to rozumie?

— Dokładnie to, co powiedziałem, panie Lomax. Zanim dotarłem do drzwi, minęło niespełna pięćdziesiąt sekund. Jeżeli więc napastnik zdołał w pięćdziesiąt sekund pokonać połowę długości tarasu i dobiec do przeciwległego rogu, to, jak mówię, musiał być mistrzem olimpijskim.

— Nie rozumiem pana ani trochę, Battle. Ma pan jakieś własne hipotezy, których, przyznam, nie potrafię hm... zgłębić. Najpierw pan twierdzi, że napastnik nie pobiegł prosto trawnikiem, a teraz zaś sugeruje, pan... Co pan właściwie sugeruje? Że nie pobiegł ścieżką, tak? Więc, według pana, co się z nim stało?

Zamiast odpowiedzieć, nadinspektor wskazał palcem w górę.

— Hę? — zdziwił się George.

Battle uniosł palec jeszcze wyżej. George zadarł głowę i spojrzał na sufit.

— Wrócił na górę — wyjaśnił Battle. — Po bluszczu.

— Nonsens. To, co pan sugeruje, jest niemożliwością.

— Bynajmniej. Skoro zrobił to wcześniej, mógł bez trudu powtórzyć swój wyczyn.

— Nie to miałem na myśli. Jeżeli chciał uciec, to przecież nie wracałby na górę.

— Dlaczego nie? To najbezpieczniejsza droga ucieczki.

— Ale przecież drzwi w sypialni pana O'Rourke były zamknięte od środka, kiedy poszliśmy sprawdzić, co się z nim stało!

— A któredy się tam dostaliście? Przez pokój sir Stanleya, prawda? Nasz włamywacz postąpił tak samo. Lady Eileen widziała, jak gałka w drzwiach sypialni poruszyła się. To było wtedy, kiedy nasz napastnik był tam po raz pierwszy. Podejrzewam, że pan O'Rourke miał klucz przy sobie. Ale za drugim razem nasz napastnik miał wolną drogę przez pokój sir Stanleya, który już wtedy był oczywiście pusty. Sir Stanley, podobnie jak wszyscy inni, pobiegł na dół sprawdzić, co się stało. Włamywacz mógł zatem wyjść bez problemu.

— I gdzie poszedł?

Nadinspektor Battle wzruszył swymi szerokimi ramionami.

— Miał mnóstwo możliwości. Mógł pójść do pokoju po drugiej stronie domu i spokojnie zejść na dół. Mógł wyjść bocznymi drzwiami. Mógł też, czego nie wykluczam, wrócić ehem... do swego pokoju.

George spoglądał na niego zaszokowany.

— Co też... Sądzi pan, że to ktoś ze służby? Mam do nich zaufanie... Serce mi pęka, kiedy pomyślę, że mógłbym podejrzewać kogoś z moich ludzi...

— Nikt panu nie każe nikogo podejrzewać, panie Lomax. To tylko jedna z ewentualności. Prawdopodobnie służba nie ma z tym nic wspólnego.

— Ależ mnie pan zdenerwował, Battle.

George Lomax odetchnął z wyraźną ulgą.

Jimmy trącił palcem dziwny, poczerniały, na połę zwęglony obiekt leżący na stole.

— A cóż to takiego? — spytał.

— Dowód rzeczowy numer trzy. Ostatni w naszej skromnej kolekcji. To jest, a raczej była, rękawiczka.

Uniósł ją z dumą do góry.

— Gdzie pan to znalazł? — zainteresował się sir Oswald.

Battle wskazał kciukiem za siebie.

— W kominku. Niewiele brakowało, a spłonęłaby ze szczeniem. Dziwna sprawa. Wygląda jak poszarpana przez psa.

— Może to panny Wade — podsunął Jimmy. — Ona ma w domu kilka psów.

Nadinspektor pokręcił głową.

— To nie jest damska rękawiczka. Za duża. Zechce pan przymierzyć?

Położył szerniały skrawek materii na wyprostowanej dłoni Jimmy'ego.

— Widzi pan? Nawet na pana za duża.

— Czy naprawdę przykłada pan wagę do tego przedmiotu? — rzucił sir Oswald chłodno.

— Nigdy nie wiadomo, sir Oswaldzie. Może to ważny ślad, a może nie...

Rozległo się głośnie stukanie do drzwi i stanęła w nich Bundle.

— Tak mi przykro — powiedziała. — Właśnie zadzwonił mój ojciec prosząc, bym wróciła do domu. Mówił, że czuje się zdenerwowany.

Przerwała na chwilę?

— Słuchamy, droga Eileen — zachęcił ją George domyślając się, że jeszcze nie skończyła.

— Nie powinnam panom przeszkadzać, ale przyszło mi do głowy, że to może mieć związek ze sprawą. Ojciec jest zdenerwowany, ponieważ zniknął jeden ze służących. Wyszedł wczoraj wieczorem i nie wrócił.

— Jak się nazywa ten człowiek? — sir Oswald rozpoczął dochodzenie.

— John Bauer.

— Anglik?

— Chyba przedstawił się jako Szwajcar, ale wydaje mi się, że jest Niemcem. Świetnie mówi po angielsku.

— Ach tak! — sir Oswald wciągnął głośno powietrze z wyraźnym ukontentowaniem. — Od jak dawna pracuje w „Chimneys”?

— Niecały miesiąc.

Sir Oswald odwrócił się do pozostałej dwójki.

— Oto człowiek, którego szukamy. Wiesz, Lomax, równie dobrze jak ja, że kilka obcych rządów interesuje się tą sprawą. Przypominam sobie teraz tego człowieka, wysoki, świetnie wyszkolony. Przyszedł mniej więcej dwa tygodnie przed naszym odejściem. Zręczne posunięcie. Tutaj wszyscy nowi służący zostaliby dokładnie przesłuchani. Ale ci z „Chimneys”, pięć mil stąd... — nie dokończył zdania.

— Myślisz, że wszystko zostało tak starannie przygotowane?

— Dlaczego nie? Te plany są warte miliony funtów, Lomax. Bauer na pewno miał nadzieję dobrać się do moich prywatnych papierów w „Chimneys” i dowiedzieć się czegoś o przygotowaniach do tego spotkania. Niewykluczone, że miał współnika, kogoś kto zapoznał go z terenem i unieszkodliwił biednego O'Rourke. Mężczyznę, którego panna Wade zobaczyła w oknie, musiał być Bauer, wysoki, potężny chłop.

Spojrzał na nadinspektora Battle.

— To Bauer był tym człowiekiem, nadinspektorze. A pan pozwolił mu się wymknąć.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

### BUNDLE SIĘ ZASTANAWIA

Nadinspektor Battle wyglądał bez wątpienia jak człowiek zbity z tropu. Poskrobał się w zamyśleniu po policzku.

— Sir Oswald ma racje, Battle — odezwał się George. — To właśnie ten. Jakaś szansa schwytania go?

— Możliwe, sir. To faktycznie wygląda, hm, podejrzanie. Oczywiście ten człowiek może się znów pojawić, wrócić do „Chimneys”.

— Myśli pan, że to prawdopodobne?

— Raczej nie — przyznał Battle. — Owszem, wygląda na to, że to Bauer jest naszym poszukiwanym. Ale ciągle nie rozumiem, jak mógł tu wejść i stąd wyjść nie zauważony.

— Już mówiłem, co sędzę o pańskich ludziach — rzekł George. — Zupełnie beznadziejni. Nie winie za to pana, ale... — zrobił znaczącą pauzę.

— Jak pan woli — odparł Battle lekko. Potrząsnął głową i westchnął. — Muszę skorzystać z telefonu. Panowie mi wybaczą. Przepraszam, panie Lomax, ale wydaje mi się, że sknociłem tę sprawę. Jest zagadkowa, bardziej zagadkowa, niż się panu wydaje.

I opuścił pokój szybkim krokiem.

— Chodźmy do ogrodu — powiedziała Bundle do Jimmy’ego. — Chcę z tobą pogadać.

Wyszli razem przez taras. Jimmy przyglądał się uważnie trawnikowi, marszcząc brwi.

— O co chodzi? — zapytała Bundle.

Jimmy opowiedział jej o rzucaniu pistoletem.

— Zastanawiam się — zakończył — do czego zmierzał ten chytry lis Battle, kiedy kazał Coote’owi rzucić pistoletem. Miał w tym cel, mógłbym przysiąc. Zresztą pistolet wylądował dobre dziesięć metrów za daleko, coś w tym musi być. Battle nie jest durniem.

— To niezwykle człowiek — przyznała Bundle. — Ja też muszę ci coś opowiedzieć.

Przytoczyła mu swoją rozmowę z nadinspektorem. Jimmy słuchał z ogromnym zainteresowaniem.

— A więc to hrabina jest numerem jeden — rzekł zamyślony. — Wszystko doskonale pasuje. Numer dwa, czyli Bauer, przychodzi tu z „Chimneys”. Wspina się przez okno do pokoju wiedząc, że O’Rourke śpi zamroczony prochami podsuniętymi mu przez hrabinę. Umowa jest taka, że ma rzucić papiery do hrabiny, która czeka pod oknem. Hrabina przekładnie się przez bibliotekę z powrotem do swojego pokoju. Jeżeli nawet złapią Bauera podczas ucieczki, nie będzie miał nic przy sobie. Tak, to był niezły plan, ale nie wyszedł. Hrabina wchodzi do biblioteki, ale po chwili słyszy, że ktoś idzie. Wścieka się, bo nie może ostrzec współnika. Numer dwa wykrada papiery, wygląda przez okno i widzi — a przynajmniej wydaje mu się, że widzi — hrabinę. Zrzuca jej paczkę i schodzi po bluszczu, gdzie napotyka na niemiłą niespodziankę w postaci mojej skromnej osoby. A hrabina za parawanem pewnie ze skóry wylazi. Zresztą niezłą historijkę sobie wymyśliła. No, wszystko pasuje doskonale.

— Zbyt doskonale — stwierdziła Bundle krytycznie.

— Co? — zdziwił się Jimmy.

— A co z numerem siedem? Tym, którego nikt nie widział na oczy? Hrabina i Bauer, to zbyt oczywiste.

Owszem, Bauer był tu zeszłej nocy. Ale był tu tylko na wszelki wypadek, gdyby coś zawiodło, tak jak się zresztą stało. Odegrał rolę kozła ofiarnego, odwrócił uwagę od numeru siedem, od szefa.

— Wiesz co, Bundle? — rzekł Jimmy z troską w głosie. — Nie naczytałaś ty się za dużo literatury sensacyjnej?

Bundle rzuciła mu spojrzenie pełne pogardy.

— Mamy doskonałą hipotezę — ciągnął Jimmy — do której pasują wszystkie fakty, ale ty jej nie przyjmujesz, bo musisz zawsze wszystko komplikować.

— Wybacz — odrzekła Bundle — ale upieram się, że numer siedem był tu zeszłej nocy.

— A co na to Bill?

— Nie mów mi nic o Billu — odparła Bundle chłodno.

— Ach tak! — zdziwił się Jimmy. — Przypuszczam, że powiedziałaś mu o hrabinie? Ktoś go powinien ostrzec. Bóg wie, co jej wypałe, jeżeli nikt go nie powstrzyma.

— Nic mam zamiaru go ostrzegać — upierała się Bundle. — On jest po prostu idiotą. Szkoda, że mu nie wspomniałeś od razu o tym pieprzyku.

— Zapominasz, że to nie ja siedziałem w kredensie — zauważył Jimmy. — Poza tym nie mam zamiaru kłócić się z Billem o pieprzyki jego faworytek. Ale przecież nie jest chyba aż tak głupi, żeby nie dostrzec, że wszystko dokładnie pasuje do układanki?

— Jest aż taki głupi — zapewniła go Bundle z goryczą. — Popelniłeś największy błąd mówiąc mu o tej sprawie.

— Przepraszam — rzekł Jimmy. — Skąd mogłem wiedzieć? Ale nie przejmuj się, Bill przecież...

— Wiesz, jakie są baby — przerwała mu Bundle.

— Jak potrafią dobrać się do człowieka.

— Prawdę powiedziawszy wcale nie wiem — odparł Jimmy. — Żadna jeszcze się do mnie nie dobrała — westchnął smutno.

Milczał przez dobrą minutę. Starał się rozważyć wszelkie ewentualności, ale im bardziej o tym wszystkim myślał, tym większy miał zamęt w głowie.

— A więc Battle chce, żeby zostawić hrabinę w spokoju?

— Tak.

— I sugeruje, że nasza śliczna arystokratka jest zwyczajną płótką, która może zaprowadzić go do grubej ryby?

Bundle przytaknęła.

Jimmy zmarszczył brwi próbując odgadnąć, do czego zmierza Battle. Najwyraźniej nadinspektor miał w tym jakiś konkretny cel.

— Czy sir Stanley pojechał już do Londynu? — spytał.

— Owszem.

— O'Rourke też?

— Jak sądzę.

— Nie wydaje ci się... nie, to niemożliwe.

— Co?

— Że O'Rourke może być w to zamieszany.

— Niewykluczone — odparła Bundle po namyśle. — Nie wiemy o nim zbyt wiele. Wcale bym się nie zdziwiła... zresztą tak naprawdę numerem siedem może być dokładnie każdy. Jest tylko jeden człowiek, co do którego mam absolutną pewność, że nim nie jest.

— Kto taki?

— Nadinspektor Battle.

— Phi, myślałem, że powiesz George Lomax...

— Sza! O wilku mowa...

Rzeczywiście na tarasie pojawił się George i ruszył w ich kierunku. Jimmy rzucił jakąś wymówkę i wrócił do domu. George usiadł na ławce obok Bundle.

— Moja droga Eileen, czy naprawdę musisz nas opuszczać?

— Tato był taki zaniepokojony. Muszę wrócić, żeby potrzymać go za rączkę.

— Ta dłoń zaiste może przynieść ukojenie — rzekł George ujmując ją z namaszczeniem.  
— Moja droga Eileen, rozumiem twe pobudki i doceniam troskę o rodzica. W dzisiejszych, jakże niepewnych, czasach...

„Oho! Zaczyna się!” — pomyślała Bundle.

— ...kiedy tradycję ma się za nic, zaś takie wartości jak rodzina dewaluują się z dnia na dzień, na nas, arystokraty, ciąży szczególna odpowiedzialność. Powinniśmy pokazać światu, że nie ugniemy się przed naporem nowoczesności. Są rzeczy, o których nie wolno zapominać; godność, piękno, świętość domowego ogniska — to są ideały, bez których nasz świat obróci się wniwecz! Moja droga Eileen, jakże zazdroszczę ci przywileju bycia młodą! Ach, młodość! Cóż to za piękne uczucie! I pomyśleć, że człowiek nie jest w stanie jej docenić, dopóki jej nie straci! Przyznaję, drogie dziecko, że dotychczas nie pochwalałem twej bez troski. Ale teraz widzę, że była to jedynie słodka niewinność młodej istoty. Dopiero teraz dostrzegam w tobie oznaki dojrzałości, powagę i szczerą twego umysłu. Pozwól, że przejmę pieczę nad twymi zainteresowaniami i polecę parę interesujących rozpraw.

— Dziękuję — odparła Bundle słabo.

— I nie bój się mnie, drogie dziecko. Kiedy lady Caterham powiedziała mi, że lękasz się mojej osoby, zdumiało mnie to niepomernie. Zapewniam cię, że jestem osobą całkiem zwyczajną.

Obraz George'a skromnego poruszył Bundle do głębi. Lomax uparcie kontynuował.

— Okaż mi nieco zaufania, moje dziecko. I nie obawiaj się, że twe pytania będą dla mnie nudne. Z radością pomogę ci całym sercem odkrywać zawilości współczesnej myśli politycznej. Będę twym nauczycielem. Nasza partia potrzebuje takich jak ty, szczególnie teraz, w tych ciężkich czasach. Kto wie, może kiedyś pójdiesz w ślady swej ciotki, lady Caterham?

Ta straszliwa perspektywa zrobiła na niej piorunujące wrażenie. Bundle zaniemówiła na dobre i tylko wpatrywała się w Lomaxa szeroko otwartymi oczami. George zdawał się brać to za dobrą monetę. Jego zdaniem podstawową wadą większości kobiet było to, że zbyt wiele mówiły. Rzadko kiedy miał szansę znaleźć wśród płci pięknej tak oddaną słuchaczkę jak Bundle. Uśmiechnął się do niej szeroko.

— Moje dziecko, jesteś niczym piękny motyl, który wyłania się z kokonu. Cóż za piękny obraz. Mam bardzo interesującą pozycję na temat ekonomii. Przyniosę ci. Możesz wziąć ją ze sobą do „Chimneys” i przejrzeć. Jak skończysz, to będziemy mogli podyskutować. I nie wahaj się pisać, gdybyś napotkała na jakiś problem. Wprawdzie mam wiele obowiązków, ale zawsze znajdę czas dla przyjaciół. Pójdę poszukać tej książki.

Bundle spoglądała oszołomiona za odchodzącym Lomaxem. Drgnęła, kiedy tuż obok zobaczyła Billa.

— Słuchaj no — rzekł Bill — czemu ten stary pierdoła trzymał cię za rękę?

— To nie była ręka — odparła Bundle. — To był mój szczerzy umysł.

— Możesz być choć przez chwilę poważna?

— Przepraszam, ale jestem wytrącona z równowagi. Pamiętasz, jak się bałeś, że Jimmy wpakuje się w tarapaty, jeżeli przyjedzie tutaj?

— Jasne. Jak Codders się uczepli, to ciężko się od niego uwolnić. Jimmy wpadnie jak śliwka w kompot, zanim się obejrzy.

— To nie Jimmy wpadł, to ja — wyznała Bundle z rezygnacją. — Teraz będę musiała czytać książki o ekonomii i dyskutować z Lomaxem i Bóg jeden wie co jeszcze.

Bill gwizdnął cicho.

— Biedactwo. Mówisz poważnie?

— Jak najpoważniej. Bill, ja się boję.

— Spokojnie. George nie znosi bab w parlamencie. Może więc nie będziesz musiała wygłaszać przemówień i całować brudnych dzieciaków w Bermondsey. Chodź, łykniemy czegoś przed obiadem.

Bundle wstała i potulnie ruszyła za Billem.

— Boże, jak ja nie cierpię polityki — jęknęła.

— Normalka. Jak każdy rozsądny człowiek. Tylko tacy jak Coddery i Pongo biorą te sprawy poważnie. Ale i tak nie powinnaś temu staruchowi pozwalać na to, żeby cię trzymał za rękę.

— Dlaczego nie? Zna mnie przecież od dziecka.

— Wcale mi się to nie podoba.

— Nie bądź zazdrosny, Bill. O rany! Zobacz, co porabia nasz dzielny policjant!

Szli właśnie wąskim korytarzem w stronę salonu. Po jednej stronie było niewielkie pomieszczenie, w którym trzymano kije golfowe, rakiety do tenisa i inne przedmioty tak niezbędne w prowadzeniu życia w wiejskiej posiadłości. Nadinspektor Battle ze skupieniem oglądał kije do golfa. Słyszając uwagę Bundle podniósł wzrok z zakłopotaniem.

— Zamierza pan zająć się golfem, nadinspektorze?

— Kto wie, lady Eileen. Mówią, że nigdy za późno na naukę. A ja mam jedną cechę, która przydaje się w każdej grze.

— Cóż to za cecha?

— Nie umiem się poddać. Kiedy przegram, zaczynam od nowa.

To mówiąc nadinspektor Battle wyszedł ze składziku, zamknął drzwi i ruszył wraz z Bundle i Billem do salonu.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

### JIMMY WYJAWIA SWE PLANY

Jimmy Thesiger czuł się załamany. Z obawy, że George będzie próbował naciągnąć go na polityczne dysputy, wymknął się chyłkiem z jadalni zaraz po obiedzie. Wprawdzie czuł się mocny w kwestii konfliktu granicznego w Santa Fe, lecz jakoś nie miał ochoty o tym rozmawiać.

Nieoczekiwanie jego najskrytsze marzenie wydało się bliskie realizacji, bo oto dostrzegł Loraine Wade, która samotnic błąkała się po parku. Dogonił ją i przez chwilę szli w milczeniu, aż wreszcie Jimmy zebrał w sobie dość odwagi, by poruszyć delikatną kwestię.

— Loraine?

— Tak, Jimmy?

— Wiesz, ja tam nie lubię owijać w bawełnę. Słuchaj, co byś powiedziała na to, żebyśmy wzięli ślub i żyli długo i szczęśliwie?

Te dość nieoczekiwane oświadczenia bynajmniej nie wprawiły jej w zakłopotanie. Loraine odrzuciła głowę w tył i wybuchnęła śmiechem.

— Nie śmiej się z człowieka — jęknął Jimmy z wyrzutem.

— A co ja poradzę, że to takie śmieszne.

— Jesteś okropna!

— Wcale nie. Jestem bardzo miłą dziewczyną.

— Tylko dla tych, co cię nie zdążyli poznać. Ja się nie dam zwieść twej iluzorycznej łagodności i nienagannym manierom.

— Jak ja lubię te twoje długie słowa.

— To z krzyżówek.

— Bardzo pouczające.

— Drogą Loraine, nie odwracaj kota ogonem. Tak czy nie?

Loraine natychmiast spoważniała. Jej twarz przybrała ten charakterystyczny wyraz determinacji: ściągnięte usta, bródka wysunięta lekko w przód.

— Nie, Jimmy. Dopóki jest, jak jest. Dopóki wszystko się nie wyjaśni.

— Wiem, że na razie nic nam nie wychodzi — przyznał Jimmy. — Ale sama wiesz, że jesteśmy w impasie. Runda skończona. Plany leżą bezpiecznie w sejfie ministra. Dobro zwycięża. Co nam pozostało? Czekać.

— A więc póki co pobierzmy się, tak? — odparła Loraine z uśmiechem.

— Ty rzekłaś. Nie powiem nie. Lecz Loraine znów potrząsnęła głową.

— Nie, Jimmy. Dopóki nie jesteśmy bezpieczni.

— Sądzisz, że coś nam zagraża?

— A ty nie?

Jimmy spoważniał.

— Masz rację. Jeżeli ta zwariowana opowieść Bundle nie jest zmyślona, a chyba raczej nie jest, to nie będziemy bezpieczni, dopóki nie znajdziemy tego tajemniczego numeru siedem.

— A co z resztą?

— Reszta się nie liczy. Martwi mnie tylko ten numer siedem, który „pracuje po swojemu”. Martwi mnie, że nie wiem, kto to jest i gdzie go szukać.

Loraine zadrżała.

— Boję się, Jimmy. Od śmierci Gerry’ego nie przestaję się bać.

— Nie masz powodu się bać. Zostaw to mnie. Obiecuję ci, że dorwę tego łajdaka. A jak już ten numer siedem wpadnie w moje łapy, nie będzie kłopotu z resztą gangu.

— A jeżeli ten łajdak dorwie ciebie?

— Niemożliwe — odparł Jimmy beztrąsko. — Jestem sprytny. Najważniejsze wierzyć w siebie. To moja dewiza.

— Jak pomyśle o tym, co mogło się stać zeszłej nocy...

— Ale się nie stało. Jesteśmy cali i zdrowi, jeżeli nie liczyć mojej ręki. Przyznaję, że trochę boli.

— Biedactwo.

— Cierpię za sprawę. Zresztą dzięki tej ranie i mojej elokwencji zdołałem podbić serce lady Coote.

— Sądzisz, że to się do czegoś przyda?

— A i owszem.

— Masz jakiś plan! Powiesz mi?

— Dzielny skaut nie zdradza swych planów — rzekł Jimmy ze śmiertelną powagą.

— Masz źle w głowie.

— Wiem, wiem. Wszyscy mi to mówią. Ale zapewniam cię, że się mylą. Pod tą niepozorną czaszką wre praca szarych komórek. A ty? Masz jakieś plany?

— Bundle chce, żebym pojechała z nią do „Chimneys” na parę dni.

— Świetny pomysł — przyklasnął Jimmy. — Ktoś jej musi pilnować. Nigdy nie wiadomo, co jej do łba strzeli. Ona jest taka nieobliczalna. Choć z drugiej strony ma pierońskie szczęście. Trzeba ją mieć na oku.

— Bill powinien się tym zająć.

— Na razie Bill zajmuje się kimś innym.

— Tak myślisz? — rzekła Loraine.

— A co? Nie mam racji? Przecież biedak ciągle wzdycha do hrabiny.

— Może i wzdycha, ale nie do niej. Powiem ci, co się stało dzisiaj rano. Rozmawiałam właśnie z Billem i zobaczyliśmy przez okno, jak Lomax podszedł do Bundle i wziął ją za rękę. Bill z miejsca zapomniał o mnie i poleciał tam jak rakieta.

— Niektórzy mają dziwne gusta. Jak można zapomnieć o tobie? Ale swoją drogą ciekawe rzeczy mówisz. Wydawało mi się, że Bill bez reszty oddał swe serce sprawie Węgier. Zresztą zauważyłem, że Bundle też tak myśli.

— Bundle może sobie myśleć, co chce — rzekła Loraine. — A ja wiem swoje.

— Ale w takim razie po co ta cała komedia?

— Może Bill prowadzi swoją grę?

— Bill? On jest za głupi.

— Nie byłabym taka pewna. Faktycznie nie wygląda na rozgarniętego, ale może o to mu właśnie chodzi?

— Coś w tym jest. Ale jakoś nie mogę uwierzyć. Kiedy jest w pobliżu hrabiny, jest potulny jak baranek. Wybacz, Loraine, ale uważam, że nie masz racji. Hrabina jest naprawdę bardzo atrakcyjną kobietą... choć zupełnie nie w moim guście — dodał pospiesznie. — A Bill zawsze był czuły na wdzięki niewieście.

Loraine pokręciła głową z powątpiewaniem.

— Myśl sobie co chcesz — ciągnął Jimmy. — Ja wiem swoje. A więc ustaliśmy, że jedziesz do „Chimneys”. Tylko, na Boga, uważaj na Bundle. Nie pozwól jej węszyć w Siedmiu Zegarach. Czort jeden wie, co się może stać, jak ją tam złapią.

Loraine kiwnęła głową.

— A teraz — stwierdził Jimmy — powinienem zamienić parę słów z lady Coote.

Lady Coote siedziała na ławce w ogrodzie i wyszywała obrazek wełną. Robótka, przypominająca gobelin, przedstawiała zrozpaczoną młodą dziewczynę o cokolwiek zniekształconej postaci, płaczącą nad urną z prochami.

Jimmy był taktownym i grzecznym młodzieńcem, nie omieszkał więc powinszować dostojnej damie talentu.

— Naprawdę się panu podoba? — spytała lady Coote. — Nieboszczka ciotka Selina zaczęła to na tydzień przed śmiercią. Biedaczka miała raka wątroby.

— To straszne — zauważył Jimmy.

— A jak tam ręka?

— Lepiej, Bogu dzięki. Trochę przeszkadza.

— Trzeba uważać, bo jak się wywiąże gangrena, to może pan stracić ramię.

— Och! Mam nadzieję, że nie będzie tak źle.

— Ja tylko ostrzegam.

— Gdzie państwo się teraz osiedlili? W Londynie? Zważywszy fakt, iż Jimmy znał odpowiedź na swe pytanie, nie można mu było odmówić zdolności aktorskich.

Lady Coote westchnęła ciężko.

— Sir Oswald wynajął dom księcia Alton. „Letherbury”. Zna pan?

— A tak, słyszałem, że ładna posiadłość.

— Czy ja wiem? — odparła lady Coote. — Dla mnie trochę za duża i za ponura. Wszędzie pełno portretów jakichś okropnych ludzi o wstrętnych twarzach. Mówią, że to dzieła starych mistrzów, ale ja uważam, że są przygnębiające. Szkoda, panie Thesiger, że nie widział pan tego uroczego domku w Yorkshire. Mieszkaliśmy tam wtedy, kiedy sir Oswald był jeszcze zwyczajnym panem Coote. Niewielki przedpokój, przytulny salonik z wyjściem na ogródek. Pamiętam jak dziś, wybrałam do niego białe tapety w liście wistarii. Nie morowe, o nie! Ze zwykłego atlasu. Zawsze uważałam, że atlas jest w lepszym guście. Jadalnia miała okno od północy, więc była trochę mroczna, ale kazałam położyć szkarłatne tapety, zawiesić kilka obrazków przedstawiających polowanie i zaraz było weselej.

Gestykulowała tak zapamiętale, że upuściła kilka małych kłębków wełny, które Jimmy natychmiast podniósł.

— Dziękuję, bardzo pan miły — rzekła. — O czym to ja... Aha, o domach. Strasznie lubię wesołe domy. A jeszcze bardziej lubię sama je dekorować.

— Przypuszczam, że sir Oswald prędzej czy później kupi coś na własność — zasugerował Jimmy. — Wtedy będzie pani mogła urządzić dom po swojemu.

Lady Coote spojrzała na niego ze smutkiem.

— Sir Oswald zawsze podkreśla, że wolałby zatrudnić architektów.

— Ale przecież architekci musieliby się z panią konsultować.

— Wszystko ma być w antykach. Mąż chce umeblować dom antykami. Architekci wysmialiby moje pomysły. A przecież zależy mi tylko na tym, żeby było przytulnie i wygodnie. Sir Oswald bardzo się męczy w tych wszystkich eleganckich salonach i w głębi serca podziela moje gusta, jestem o tym przekonana. Ale mówi, że trzeba żyć godnie i z szykiem. Powiodło mu się w życiu i chciałby pochwalić się tym przed światem, ale czasem zastanawiam się, do czego to w końcu dojdzie.

Jimmy przybrał współczującą minę.

— On jest jak koń, który urwał się z powrozu i mknie przed siebie nie patrząc gdzie. Ciągłe naprzód i naprzód. Jest jednym z najbogatszych ludzi w Anglii. Ale czy mu to wystarcza? Nie, on chce więcej. Chce być... sama już nie wiem, kim chce być. Mówię panu, czasem mnie to naprawdę przeraża!

— Zupełnie jak Midas — zauważył Jimmy.

Lady Coote kiwnęła głową, choć nie za bardzo wiedziała, o kim mówi pan Thesiger.

— Zastanawiam się tylko — podjęła — czy jego żołądek to wytrzyma.

— Sir Oswald przeżyje niejednego — pocieszył ją Jimmy.

— Coś go gryzie — odparła lady Coote. — Zamartwia się czymś, ja to widzę.

— Czym?

— Nie wiem. Może coś nie tak w interesach? Dobrze, że przynajmniej jest z nim pan Bateman. To taki miły chłopiec i taki obrotny.

— Niezwykle obrotny — przyznał Jimmy.

— Oswald bardzo sobie ceni jego zdanie. Ciagle powtarza, że Bateman ma głowę nie od parady.

— To jego przekleństwo już od najmłodszych lat — przytaknął Jimmy.

Lady Coote spojrzała na niego z lekkim zdumieniem.

— Bardzo mile wspominam ten weekend w „Chimneys” — rzekł Jimmy. — Gdyby nie ten nieszczęsny wypadek z Gerrym... Cóż za gościnne przyjęcie. I te wspaniałe dziewczyny...

— Moim zdaniem dzisiejsze kobiety są zbyt poważne. Brak im romantyzmu. Która dziewczyna podaruje swemu ukochanemu własnoręcznie haftowaną chusteczkę? To już nie te czasy... Pamiętam, jak byłam młoda, jeden z moich adoratorów schylił się i podniósł z ziemi kamyk. Moja przyjaciółka powiedziała, że chciał go zachować na pamiątkę, bo dotknęła go moja stopa. Piękne, prawda? Potem wprawdzie okazało się, że ten młodzieniec studiował geologię, ale i tak to było takie romantyczne.

Lady Coote złożyła swą robótkę na kolanach i spojrzała na Jimmy'ego uważnie.

— Niech pan się przyzna, która z nich wpadła panu w oko?

Jimmy zaczerwienił się i wymamrotał coś niezrozumiale.

— Zauważyłam w „Chimneys”, że szczególnie patrzył pan na Verę Daventry. Mam rację?

— Socks?

— Zdaje się, że tak na nią mówili — przyznała lady Coote. — Choć wcale nie rozumiem dlaczego. Vera to takie romantyczne imię.

— Tak, to wspaniała dziewczyna. Chciałbym ją jeszcze kiedyś spotkać.

— Zaprosiłam ją na przyszły weekend do siebie.

— Naprawdę? — wykrzyknął Jimmy starając się zawrzeć w tym słowie wystarczającą ilość tęsknoty.

— Tak. Czy zechciałby pan również przyjechać do nas w odwiedziny?

— Marzę o tym! — odparł Jimmy z uczuciem. — Nie wiem, jak pani dziękować, lady Coote.

Wstał z ławki powtarzając gorąco, jak bardzo wdzięczny jest za zaproszenie.

Kiedy Jimmy zniknął za zakrętem, do lady Coote podszedł sir Oswald.

— Czego chciał ten chłystek? — zapytał. — Nie znoszę tego typu.

— Dlaczego? — zdziwiła się lady Coote. — To taki miły chłopiec. I taki dzielny! Zeszłej nocy zachował się jak bohater!

— Wtrącając swój nos w cudze sprawy.

— Uważam, Oswaldzie, że jesteś niesprawiedliwy.

— Leń i obibok, ot co. Nigdy w życiu nie skalał się uczciwą pracą. W naszym kraju nie ma miejsca dla takich próżniaków jak on.

— Musiało cię wczoraj przewiać, Oswaldzie. Mam nadzieję, że nie złapiesz zapalenia płuc. Freddie Richards umarł na to w zeszłym tygodniu. Mój Boże, Oswaldzie, jak sobie pomyślę, że chodziłeś po nocy, podczas gdy ten włamywacz latał po parku z pistoletem... Mógł cię postrzelić. Aha, zapomniałam ci powiedzieć. Pozwoliłam sobie zaprosić pana Thesigera na weekend.

— Co to za brednie? Nie pozwolę, by jego noga postąpiła w moim domu.

— Dlaczego?

— To moja sprawa.

— Tak mi przykro, kochanie — odparła lady Coote łagodnie. — Już go zaprosiłam, więc nie wypada się teraz wycofać. Możesz mi podać ten kłębek? Wyśliznął mi się.

Sir Oswald schylił się posłusznie, ale na jego twarzy malowała się złość. Spojrzał na żonę, która ze stoickim spokojem dziergała kolejny rząd.

— Nie chcę Thesigera w moim domu, a szczególnie nie w ten weekend — rzucił po chwili. — Wystarczająco wiele nasłuchiwałem się o nim od Batemana, który chodził z nim do szkoły.

— Co takiego mówił o nim pan Bateman?

— Nic dobrego. Ostrzegał mnie przed tym człowiekiem.

— Och tak?

— A ja mam zaufanie do tego, co mówi Bateman. Jeszcze nigdy nie zawiodłem się na jego opinii.

— Mój Boże! — rzekła lady Coote ze smutkiem. — Ale narozrabiałam. Oczywiście nigdy bym go nie zaprosiła, gdybym tylko wiedziała... Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś, Oswaldzie? Teraz już jest za późno...

Zaczęła zwijać starannie swoją robótkę. Sir Oswald zamierzał jeszcze coś powiedzieć, ale po namyśle wzruszył ramionami i podążył za żoną. Lady Coote szła nieco z przodu, a na jej ustach błąkał się nikły uśmiech. Kochała sir Oswalda, ale lubiła na swój potulny, kobiecy sposób forsować własne zdanie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

### SŁÓWKO O GOLFIE

— Wiesz, Bundle, ta twoja przyjaciółka to bardzo miła dziewczyna — zauważył lord Caterham.

Loraine była w „Chimneys” już niemal tydzień i zdążyła sobie zaskarbić tę pochlebną opinię głównie dlatego, że z uroczą skwapliwością pozwalała gospodarzowi uczyć się trudnej sztuki podkręcania.

Znudzony monotonią swej szarej egzystencji, lord Caterham postanowił zabrać się za grę w golfa. Był fatalnym graczem i pewnie dlatego oddawał się temu zajęciu z takim entuzjazmem. Całe poranki spędzał w parku trenując przerzucanie piłeczki nad różnymi krzewami i zaroślami. To szczytne zamierzenie nie zawsze wychodziło jak należy, albowiem lord Caterham w większości wypadków przerzucał nie piłeczkę, lecz spore płachcie darni, ku rosnącej rozpacz MacDonalda.

— Trzeba będzie wytyczyć jakąś ciekawą trasę — rzucił lord Caterham kierując te słowa w stronę krzaka dzikiej róży, który bezczelnie urągał jego talentom sportowym. — Coraz lepiej mi idzie. Obserwuj uważnie, Bundle. Prawe kolano ku sobie, lekki zamach, głowa i tułów nieruchome, nadgarstek i...

Piłeczka uderzona zbyt wysoko poturlała się po trawniku i zniknęła w gąszczu rododendronów.

— Dziwne — mruknął lord Caterham. — Czyżbym zrobił coś nie tak? A więc, jak już mówiłem, to bardzo miła dziewczuszka. Pochlebiam sobie, że udało mi się zaszczepić w niej trochę sportowej żyłki. Dziś rano posłała kilka niezłych piłek, niedługo będzie prawie tak dobra jak ja sam.

Lord Caterham wykonał kolejny zamach i wyrwał z gleby solidny płat darni. Przechodzący w pobliżu MacDonald podniósł kępę trawy i wsadził na miejsce przydeptując ostrożnie butem. Na szczęście lord Caterham był zbyt pochłonięty grą, by zauważyć spojrzenie, jakim obdarzył go ogrodnik. Inaczej bowiem padłby trupem na miejscu.

— Jeżeli MacDonald dopuszczał się okrucieństw na lady Coote, a mam podstawy przypuszczać, że tak właśnie było, to teraz za to pokutuje — zauważyła Bundle.

— To mój trawnik i mogę z nim robić, co mi się żywnie podoba — odparł lord Caterham wyniosłe. — MacDonald powinien zainteresować się wreszcie golfem. Słyszałem, że Szkoci mają do tego niebywały talent.

— Żal mi cię, tatku. Nigdy nie będziesz dobrym graczem, ale przynajmniej masz zajęcie.

— Mylisz się, moja droga. Nie dalej jak wczoraj udało mi się zrobić szóstkę w pięć. Trener był zdumiony, jak mu o tym powiedziałem.

— Nie wątpię — rzekła Bundle.

— A propos Coote'ów, sir Oswald gra całkiem nieźle, choć styl ma fatalny. Jest okropnie sztywny, ale trzeba przyznać, że skuteczny. Interesujące, jak w golfie wychodzi prawdziwa natura człowieka. Ten prostak ani razu nic dał mi okazji na trzy metry od bazy! Wcale mi się to nie podoba!

— Może po prostu lubi mieć pewność?

— Ale to wbrew wszelkim regułom. Poza tym wcale nie zwraca uwagi na teorię. Z kolei ten jego sekretarz, Bateman, jest zupełnie inny. Dla niego teoria to świętość. Trochę mi nie szło, a on zasugerował, że przesadzam z prawą ręką. Wyluszczył mi swoją receptę na skuteczność, mianowicie, że w golfie liczy się lewa ręka. Mówił, że w tenisa gra lewą ręką, w golfa też, ale zwykłymi kijami, bo wtedy ma przewagę nad każdym praworęcznym graczem.

— I jak mu szło?

— Nieszczególnie — wyznał lord Caterham. — Może miał zły dzień... Tak czy owak jego teoria mnie przekonała, uważam, że jest w tym wiele racji. Ach! Widziałaś to, Bundle? Cóż za precyzja! Nawet nie musnęło tych piekielnych rododendronów! Co ja bym dał za to, żeby za każdym razem... O co chodzi, Tredwell?

Tredwell zwrócił się do Bundle.

— Telefon, proszę pani. Dzwoni pan Thesiger. Bundle pobiegła czym prędzej w stronę domu, krzycząc na całe gardło „Lorraine! Lorraine!”. Obie jednocześnie dopadły telefonu. Bundle chwyciła za słuchawkę.

— Jimmy?

— Cześć. Jak się masz?

— Dobrze, choć trochę tu nudno.

— A Lorraine?

— W porządku. Dać ci ją?

— Za chwilę. Mam parę spraw do ciebie. Zacznę od tego, że wybieram się na weekend do Coote'ów. Słuchaj, Bundle, może ty wiesz, skąd wytrzasnąć komplet wytrychów?

— Zielonego pojęcia nie mam. Ale sądziłam, że jedziesz tam z oficjalną wizytą.

— Owszem. Pomyślałem jednak, że komplet wytrychów zawsze się może przydać, nie? Jak sądzisz, może w sklepie żelaznym?

— Raczej spróbuj zagadnąć jakiegoś miłego włamywaczy.

— Niestety nie znam nikogo takiego. Myślałem, że twój wspaniały umysł poradzi sobie z tym problemem, ale skoro tak, to będę musiał zasięgnąć rady Stevensa. Boże, co ten chłopak sobie o ranie pomyśli: najpierw pistolet, teraz wytrychy...

— Jimmy?

— No?

— Bądź ostrożny, dobrze? Jak sir Oswald złapie cię gmerającego w sejfie, na pewno nie będzie zbyt uprzejmy.

— Nie uśmiecha mi się spędzić reszty życia w ciupie. Spokojna głowa, będę uważał. Martwi mnie tylko Pongo. Wszędzie go pełno i w dodatku potrafi chodzić cicho jak kot. Zawsze jest tam, gdzie nie powinien być. Ale dzielny skaut nie poddaje się bez walki.

— Byłabym spokojniejsza, gdybym mogła mieć cię na oku.

— To miłe. Nawet mam pewien pomysł.

— Jaki?

— Wyobraź sobie, że jedziesz z Lorraine na przejażdżkę i nagle psuje się wam samochód. Najlepiej w pobliżu „Letherbury” jutro rano. To chyba niedaleko od „Chimneys”?

— Czterdzieści mil. Nie ma sprawy.

— Wiedziałem, że można na ciebie liczyć. A więc, powiedzmy, między dwunastą, a wpół do pierwszej.

— Żeby się załapać na obiad?

— Właśnie. Ach, słuchaj. Spotkałem wczoraj Socks i zgadnij, co mi powiedziała? Otóż Terence O'Rourke też się tam wybiera.

— Myślisz, że...

— Każdy jest podejrzany, sama tak stwierdziłaś. To niegłupi chłopak i wcale bym się nie zdziwił, gdyby to on był szefem szajki. On i hrabina mogą mieć z tym coś wspólnego. Słyszałem, że O'Rourke był w zeszłym roku na Węgrzech.

— Ale przecież on mógł zwinąć plany w każdej chwili.

— Niezupełnie. Musiałby to zrobić tak, żeby nikt go nie podejrzewał. Hop, na górę po bluszczu i do łóżeczka. Czysto i schludnie. Dobra, a teraz instrukcje. Pongo i O'Rourke muszą być zajęci wami aż do obiadu, jasne? Takie śliczne niewiasty, jak wy dwie, nie powinny mieć z tym żadnych problemów.

— Pochlebstwa?

— Zwykle stwierdzenie faktów.

— W porządku, masz to jak w banku. Chcesz pogadać z Loraine?  
Bundle oddała słuchawkę Loraine i taktownie wyszła z pokoju.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

### NOCNA PRZYGODA

W piękne jesienne popołudnie Jimmy Thesiger przybył do „Letherbury” witany wylewnie przez lady Coote i omieciony niechętnym wzrokiem przez jej męża. Świadom, że gospodyni bacznie śledzi jego poczynania, Jimmy przez cały wieczór cierpiał katusze u boku Socks Daventry.

Wkrótce przybył też O'Rourke. Był w szampańskim nastroju i najwyraźniej świetnie się bawił opowiadając Socks niestworzone historie o tym, co wydarzyło się w „Abbey”.

— Czterech zamaskowanych złoczyńców z rewolwerami? Naprawdę? — dziwiła się Socks.

— Tak było. Trzech trzymało mnie z całych sił, a czwarty wlewał mi do gardła jakieś świństwo. Myślałem, że to trucizna i że już po mnie.

— A co takiego chcieli ukraść?

— Jak to co. Klejnoty koronne carów rosyjskich, które George Lomax miał oddać w depozyt do skarbcza w Tower.

— Ależ z pana kłamczuch — rzekła Socks.

— Ja? Kłamczuch? Te klejnoty przyleciały do „Abbey” aeroplanem, wiem, bo mój przyjaciel nim leciał. To święta prawda, a jak pani nie wierzy, proszę spytać pana Thesigera.

— Chciałabym tylko wiedzieć — pytała Socks — czy to prawda, że pan Lomax zapomniał założyć swą sztuczną szczękę. Tylko tyle chcę wiedzieć.

— Ja sama widziałam dwa rewolwery — wtrąciła lady Coote. — Co za okropność. Cud, że nie zabili tego biednego chłopca.

— Nie było mi pisane. Ja skończę na stryczku — wyjaśnił Jimmy.

— Słyszałam, że była tam rosyjska księżniczka subtelnej urody — mówiła Socks. — I że podobno uwiodła Billa.

— Tak. I takie straszne rzeczy opowiadała o Budapeszcie — rzekła lady Coote. — Nigdy nie zapomnę tych okropieństw. Oswaldzie, powinniśmy jakoś pomóc tym dzieciom.’

Sir Oswald chrząknął.

— Przyniosę czek — rzucił Bateman skwapliwie.

— Dziękuję, panie Bateman. Niech to będzie ofiara w podzięcie za bożą opiekę. Sir Oswald o włos uniknął śmierci. Mógł przecież umrzeć od postrzału albo na zapalenie płuc.

— Mario, proszę... — jęknął sir Oswald.

— Boże, ja tak się boję włamywaczy — westchnęła lady Coote.

— Spotkać takiego twarzą w twarz! To musi być niezwykle ekscytujące — westchnęła Socks.

— O, nie, wręcz przeciwnie — sprostował Jimmy. — Raczej niezwykle bolesne — ostrożnie poklepał się po ramieniu.

— Dalej pana boli? — zapytała lady Coote z troską.

— Już prawie nie. Ale robienie wszystkiego lewą ręką doprowadza mnie do szału.

— Dzieci powinno się od małego uczyć posługiwać obiema rękami — stwierdził sir Oswald.

— Czy pan jest oburęczny? — zapytała Socks pełna podziwu.

— Oczywiście, potrafię pisać równie dobrze obiema rękami.

— Obiema naraz?

— To byłoby niepraktyczne — wyjaśnił sir Oswald.

— Prawda — przytaknęła Socks po namyśle. — To byłoby zbyt subtelne.

— To mogłoby się przydać w ministerstwie — zauważył O'Rourke. — Prawa ręka nie wie, co robi lewa.

— A pan, czy pan jest oburęczny?

— Ani trochę. Jestem najbardziej praworęcznym człowiekiem na świecie.

— Ale karty rozdaje pan lewą ręką — wtrącił spostrzegawczy pan Bateman. — Zauważyłem któregoś wieczoru.

— O, to coś zupełnie innego — zbył go O'Rourke.

Rozległ się ponury dźwięk gongu i wszyscy rozeszli się przebrać do kolacji.

Po posiłku sir Oswald i lady Coote oraz Bateman i O'Rourke zasiedli do brydża, zaś Jimmy spędził cały wieczór flirtując z Socks. Ostatnie słowa, jakie dobiegły Jimmy'ego, gdy wracał po schodach do swego pokoju, zostały wypowiedziane przez sir Oswalda:

— Ty się już nigdy nie nauczysz grać w brydża, Mario.

I jej odpowiedź:

— Wiem, kochanie. Zawsze to powtarzasz. Jesteś winien panu O'Rourke jeszcze jednego funta.

Dwie godziny później Jimmy schodził bezgłośnie (miał nadzieję) po schodach. Przejrzał pokrótce jadalnię, znalazł drogę do gabinetu sir Oswalda i tam, wsłuchując się w ciszę uśpionego domu, zabrał się ochoczo do pracy. Większość szuflad była zamknięta na klucz, ale sprytnie wygięty kawałek drutu doskonale zdawał egzamin. Jedna po drugiej szuflady poddawały się manipulacjom Jimmy'ego.

Jimmy przeszukiwał biurko metodycznie, starając się odkładać wszystko na swoje miejsce. Raz czy dwa przerwał, gdyż zdawało mu się, że coś słyszy, po czym wracał do swego niecnego procederu.

Po jakimś czasie wiedział (czy raczej miał szansę poznać, gdyby czytał uważnie) całą masę szczegółów dotyczących przemysłu ciężkiego, jednak nie zdołał znaleźć w papierach sir Oswalda żadnej wzmianki o wynalazku Eberharda ani też niczego, co mogłoby mu pomóc ustalić tożsamość numeru siedem. Dodajmy, że nie spodziewał się wcale, że coś takiego znajdzie, ale wolał mieć pewność w tej mierze.

Sprawdził, czy zamknął jak należy wszystkie szuflady. Znał drobiazgowość i spostrzegawczość Batemana, więc rozejrzał się uważnie dookoła, czy nie zostawił żadnych śladów swej nocnej wizyty.

— W porządku — mruknął pod nosem. — Tutaj nic. Może jutro rano będę miał więcej szczęścia.

Wyszedł z gabinetu zamykając za sobą drzwi. Przez chwilę miał wrażenie, że tuż obok coś zaszeleściło, ale stwierdził, że musiał się przesłyszeć. Ruszył ostrożnie przez wielki hall. Przez wysokie okna w wykuszach padało wystarczająco dużo światła, by Jimmy mógł iść swobodnie bez obawy, że potknie się o jakieś przeszkody i narobi hałasu.

I znów usłyszał jakiś nikły dźwięk, tym razem wyraźniej. W hallu był jeszcze ktoś, co do tego Jimmy nie miał już wątpliwości. Ktoś się czaił w półmroku. Serce zaczęło mu bić szybciej.

Nagłym susem rzucił się w stronę ściany i przekręcił kontakt. Blask żarówek oślepił go, lecz nie na tyle, by nie dostrzec Ruperta Batemana, który stał o krok od niego.

— Żeby cię pokreśliło, Pongo! Aleś mnie przestraszył! Czemu się tak czaisz po ciemku?

— Usłyszałem jakieś hałasy — wyjaśnił Bateman. — Myślałem, że złodzieje, więc zszedłem zobaczyć.

Jimmy spojrział na stopy Batemana, obute w pantofle na miękkiej podeszwie.

— Ty to zawsze pomyślisz o wszystkim — rzeki z uznaniem. — Widzę, że nawet masz spluwę — dodał zerkając na charakterystyczne wybrzuszenie na jego kieszeni.

— Wolę być uzbrojony. Nigdy nie wiadomo, na kogo się człowiek natknie.

— Cieszę się, że nie strzeliłeś, Pongo — powiedział Jimmy. — Wszyscy do mnie strzelają, już mam tego dosyć.

— A mogłem — odrzekł Bateman.

— Byłoby to wbrew prawu — poinformował go Jimmy. — Zanim się do kogoś wypali, trzeba się upewnić, czy to naprawdę włamywacz. Nie należy wyciągać pochopnych wniosków. Musiałbyś się spowiadać, dlaczego zastrzeliłeś niewinnego gościa chodzącego sobie po domu.

— A propos, dlaczego chodzisz po domu w środku nocy?

— Byłem głodny — wyjaśnił Jimmy. — Miałem ochotę na coś słodkiego.

— Przecież masz w pokoju puszkę z herbatnikami — odparł Rupert Bateman, przypatrując się Jimmy'emu znad rogowych oprawek swoich okularów.

— A! Tu się właśnie mylisz, stary. Jest tam owszem puszka z napisem „Herbatniki dla głodnych gości”. Ale gdy głodny gość ją otworzył, okazało się, że jest pusta. Więc przykicałem tu, do jadalni.

I ze słodkim uśmiechem Jimmy wydobył z kieszeni szlafroka garść herbatników.

Przez chwilę żaden się nie odzywał.

— A teraz myślę, że czas pokicać z powrotem do łóżka — dokończył Jimmy. — Dobrej nocy, Pongo.

To rzekłszy odwrócił się i odszedł. Rupert Bateman pobiegł za nim na górę. Pod drzwiami sypialni Jimmy obejrzał się, jakby chciał jeszcze raz powiedzieć dobranoc.

— To jakaś dziwna sprawa z tymi herbatnikami — rzekł Bateman. — Czy mógłbym tylko...?

— Jasne, stary, zobacz sam.

Bateman przeszedł przez pokój, otworzył puszkę i zobaczył puste dno.

— Okropne zaniechanie — stwierdził. — No cóż, dobranoc.

I wyszedł. Jimmy siedział przez chwilę na brzegu łóżka wsłuchując się w ciszę.

— No, to mi się upiekło — mruknął. — Podejrzliwy z niego facet. Chyba nigdy nie śpi. I ma brzydki zwyczaj łożenia z rewolwerem w kieszeni.

Wstał i otworzył jedną z szuflad. Pod krawatami leżała sterta herbatników.

— Nie ma rady — powiedział sobie Jimmy. — Muszę zjeść to świństwo. Założę się, że Pongo przyjdzie tu rano na przespiesi.

Z westchnieniem zabrał się za chrupanie ciastek, na które zresztą w ogóle nie miał ochoty.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

### PODEJRZENIA

Dokładnie o umówionej godzinie dwunastej Bundle i Loraine przeszły przez bramę parku, zostawiwszy hispana w pobliskim warsztacie.

Lady Coote przywitała dziewczęta ze zdumieniem, ale także z wyraźną radością i z miejsca zaczęła nalegać, by zostały na obiedzie.

O'Rourke, który właśnie wylegiwał się w ogromnym fotelu, począł z wielką werwą opowiadać coś Loraine, która słuchała tego jednym uchem, a drugim przysłuchiwała się, jak Bundle przytacza techniczne szczegóły niespodziewanej awarii samochodu.

— Stwierdziłyśmy obie — zakończyła Bundle — że miałyśmy wielkie szczęście, że ten wrak popsuł się akurat tutaj. Ostatnim razem odmówił współpracy w niedzielę, i to w dodatku w szczerym polu.

— Ciekawe, gdzie się podział pan Thesiger? — zastanawiała się lady Coote.

— Zdaje się, że jest w sali bilardowej — odparła Socks. — Pójdę go poszukać.

Po chwili do salonu zajrzał Rupert Bateman, jak zwykle zaaferowany.

— Pan Thesiger mówił, że pani mnie szuka, lady Coote... Ach, lady Eileen, panna Wade. Dzień dobry paniom.

Loraine natychmiast wkroczyła do akcji.

— Och, pan Bateman! Jak to dobrze, że pana widzę. Czy to nie pan opowiadał, w jaki sposób leczyć obtarte łapy u psa?

Sekretarz pokręcił głową.

— To musiał być ktoś inny, panno Wade, chociaż tak się składa, że wiem, jak temu zaradzić.

— Cudowny z pana człowiek — wykrzyknęła Loraine. — Chodząca encyklopedia!

— Staram się nadażać za współczesną nauką — odparł Bateman poważnie. — Wracając do pani pieska...

Terence O'Rourke mruknął na stronie do Bundle.

— Tacy jak on pisują pewnie te wszystkie rzeczy w gazetach. „Jeżeli chcesz, aby twoje garnki błyszczały jak nowe...”. „Żuk gnojarsz jest jednym z ciekawszych przedstawicieli królestwa owadów”. „Obyczaje małżeńskie tubylców z wysp Tonga...” I tak dalej, i tak dalej...

— Praktyczne wiadomości — odparła Bundle.

— Najbardziej obrzydliwa przypadłość — rzucił O'Rourke, po czym dodał nabożnie: — Dziękuję niebiosom, że jestem człowiek światły i nie mam żadnych wiadomości na żaden temat.

— Zauważyłam, że z tyłu domu jest pole do minigolfa — rzuciła Bundle.

— Ma pani ochotę zagrać, lady Eileen? — spytał O'Rourke.

— Para na parę, co pan na to? Loraine, pan O'Rourke i ja chcemy was namówić na rundkę minigolfa.

— Niech pan z nimi zagra, panie Bateman — przyzwoliła lady Coote widząc wahanie w oczach młodzieńca. — Jestem pewna, że sir Oswald poradzi sobie bez pana.

Czwórka młodzieży ruszyła do parku.

— Przyznaj, że świetnie to obmyśliłam — szepnęła Bundle do Loraine.

Gra zakończyła się tuż przed pierwszą miażdżącym zwycięstwem Batemana i Loraine.

— Myślę, że zgodzi się pani ze mną, partnerko — rzekł O'Rourke — że graliśmy bardziej sportowo niż oni.

Odciągnął Bundle nieco na bok.

— Poczciwy Pongo jest bardzo ostrożnym graczem. Nie lubi ryzykować. Ja zaś zawsze powtarzam: raz kozie śmierć! Nie uważa pani, lady Eileen, że to o wiele ciekawszy sposób na życie?

— A nigdy nie wpędziło to pana w kłopoty? — spytała Bundle ze śmiechem.

— Prawdę mówiąc i owszem. Miliony razy. Ale niepowodzenia dodają mi tylko sił. Nie tak łatwo pokonać Terence'a O'Rourke!

Właśnie wtedy zza rogu wyłonił się Jimmy Thesiger.

— Bundle, a niech mnie! — wykrzyknął.

— Ominął pana udział w jesiennych eliminacjach do pucharu — zauważył O'Rourke.

— Byłem na spacerze — odrzekł Jimmy. — Skąd się tu wzięły te dziewczuchy? Spadły z nieba?

— Przyszły na piechotę — wyjaśniła Bundle. — Hispano rozkraczyło nam się pół mili stąd.

I zaczęła opisywać detale awarii.

Jimmy słuchał z życzliwym zainteresowaniem.

— Poważna sprawa — zaopiniował. — Naprawa zajmie pewnie kilka dni. Odwiozę was do „Chimneys” po obiedzie.

Z domu dobiegł dźwięk gongu i wszyscy ruszyli na obiad. Bundle obserwowała Jimmy'ego ukradkiem. Miała wrażenie, że w jego głosie słychać nutkę triumfu. Była przekonana, że wszystko poszło nadzwyczaj dobrze.

Po obiedzie obie dziewczyny podziękowały lady Coote za miłe przyjęcie. Jimmy zaoferował, że pomoże im dostać się do domu. Jak tylko wyjechali za bramę posiadłości, z ust obu dam wyrwał się ten sam okrzyk.

— I jak?

Jimmy był w nastroju do żartów.

— W porządku. Jeśli nie liczyć lekkiej niestrawności po herbatnikach.

— Ale co się stało?

— Powiem wam. Poświęcenie dla sprawy kazało mi pochłonąć olbrzymią ilość herbatników. Ale dzielny skaut nawet nie mrugnął okiem, o nie!

— Och, Jimmy — rzekła Loraine z wyrzutem. Jimmy natychmiast zmiękł.

— Co chcecie wiedzieć?

— Wszystko. Załatwiłyśmy to jak należy i chyba możesz nam powiedzieć, czy nasze starania nie poszły na marne.

— Spisałyście się na medal. O'Rourke był niegroźny, ale Pongo to zupełnie inna para kaloszy. Jest tylko jedno słowo na określenie tego typu. Było w krzyżówce w „Sunday Newsbag” z zeszłego tygodnia. Słowo na dwanaście liter oznaczające kogoś, kto jest w wielu miejscach naraz. Wszędobyłski. To oddaje Ponga doskonale. Gdzie się człowiek nie pojawi, wszędzie widzi tego gościa. A najgorsze jest to, że nigdy nie słychać, jak idzie.

— Sądzisz, że Pongo jest niebezpieczny?

— Niebezpieczny? Oczywiście, że nie. Pongo niebezpieczny, he, he. Przecież to osioł. Ale, jak już wspominałem, to wszędobyłski osioł. Głowę dam, że Pongo nie śpi po nocach. Mówiąc krótko, niedobrze mi się robi, jak go widzę.

Po czym Jimmy z pasją zrelacjonował wypadki poprzedniej nocy.

Bundle nie okazała należnego współczucia.

— Nie rozumiem, po co ci to wszystko. Łazisz po nocach i sam nie wiesz, czego chcesz.

— Nie czego, a kogo. Chcę dorwać tę przeklętą siódemkę!

— Sądzisz, że znajdziesz go w „Letherbury”?

— Myślałem, że znajdę chociaż ślad.

— Ale nie znalazłeś?

— Wczoraj w nocy nie...

— Ale dzisiaj rano — wpadła Loraine w słowo.

— Jimmy, widzę po twoich oczach, że coś znalazłeś.

— No cóż, nie wiem, co nam z tego przyjdzie, ale kiedy wybrałem się rano na przechadzkę...

— Daleko nie musiałeś chodzić, jak sądzę.

— Wyobraź sobie, że masz rację. Nazwałbym to wycieczką po zabytkowych wnętrzach. No więc, jak mówię, nie wiem, czy będzie z tego jakiś pożytek, ale oto, co znalazłem.

Dramatycznym gestem, niczym prokurator na rozprawie, wyjął z kieszeni niewielką fiolkę i podał dziewczętom. Fiolka była do połowy wypełniona białym proszkiem.

— Co to ma być, twoim zdaniem? — spytała Bundle.

— Biały, krystaliczny proszek, ot co. Każdy czytelnik powieści detektywistycznych z miejsca rozpozna, o co mi chodzi. Oczywiście jeżeli jest to jakiś nowy proszek do zębów, to będę ogromnie rozczarowany.

— Gdzie to znalazłeś?

— Aaa! To moja słodka tajemnica — odparł Jimmy. I postanowił strzec swego sekretu mimo padających zewsząd obelg i gróźb.

— No, to jesteśmy na miejscu — rzucił po chwili.

— Mam nadzieję, że nie pastwili się tu zbyt nad twoim hispanem.

Pracownik warsztatu wręczył Bundle rachunek na pięć funtów i bąknął coś o nie dokręconych śrubkach. Bundle zapłaciła ze słodkim uśmiechem.

Stanęli niezdecydowani na poboczu szosy, gdy nagle Bundle wykrzyknęła: — Wiem!

— Co wiesz? — zainteresował się Jimmy.

— Miałam cię o coś spytać i prawie zapomniałam. Pamiętasz tę okopconą rękawiczkę, którą Battle znalazł w kominku?

— Owszem.

— Mówiłeś, że przymierzył ją na twoją rękę.

— Zgadza się, ale była trochę na mnie za duża. To by potwierdzało, że człowiek, który jej używał, był potężnym mężczyzną.

— Nie o to mi chodzi. Razem z wami w bibliotece byli również George i sir Oswald, tak?

— Tak.

— Battle mógł ją dać przymierzyć jednemu z nich.

— Owszem, ale...

— Ale nie dał. Wybrał ciebie. Jimmy, nie widzisz, co to znaczy?

Jimmy spojrzał na Bundle zdziwiony.

— Przykro mi, Bundle, ale nie nadążam za twoim lotnym umysłem.

— Loraine, ty też nie widzisz związku? Loraine spojrzała na nią i potrząsnęła głową przecząco.

— Nie. Masz jakiś pomysł, to mów.

— Przecież to jasne. Jimmy miał prawą rękę na temblaku.

— Na Jowisza, Bundle, teraz kojarzę. To była rękawiczka na lewą rękę! Battle nic o tym nie mówił.

— Nie chciałem, żeby ktoś to zauważył. Dałem ci ją do przymiarki, a potem zacząłem mówić o tym, że jest za duża. Chciałem po prostu odciągnąć waszą uwagę. To znaczy, że człowiek, który do ciebie strzelał, trzymał pistolet w lewej ręce!

— A więc musimy szukać mańkuta — zauważyła Loraine.

— Waśnie! I jeszcze coś wam powiem. Teraz wiem, dlaczego Battle oglądał kije do golfa. Sprawdzał, czy jest tam komplet kijów dla leworęcznych!

— O rany! — krzyknął Jimmy.

— Co się stało?

— Hm, nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale to dziwne.

I przytoczył im szczegóły rozmowy poprzedniego wieczoru.

— A więc sir Oswald posługuje się równie sprawnie obiema rękami? — mruknęła Bundle.

— Dokładnie. I jeszcze coś. Tej nocy w „Chimneys”, wiecie, wtedy, kiedy zamordowano biednego Gerry’ego, przyglądałem się grze w brydża i coś mi nie pasowało. Teraz już wiem co: sir Oswald rozdawał lewą ręką!

Wszyscy troje spojrzeli po sobie. Loraine kręciła głową.

— Sir Oswald Coote zabójcą? Niemożliwe. Jaki miałby w tym interes?

— To może wydawać się absurdalne, jednak...

— Numer siedem pracuje po swojemu — szepnęła Bundle. — Może właśnie tak sir Oswald osiągnął swą fortunę?

— Ale po co miałby odstawiać tę całą komedię w „Abbey”, skoro miał te plany u siebie w fabryce?

— Można to łatwo wyjaśnić. Z tych samych względów, które przypisywałeś panu O’Rourke. Po prostu chciał odwrócić uwagę od swojej osoby.

Loraine przytaknęła.

— Wszystko pasuje jak ulał. Podejrzenie pada na hrabinę i Bauera. Kto by się ośmielił podejrzewać sir Oswalda Coote’a?

— Ciekawe, czy Battle też na to wpadł.

Przed oczyma Bundle mignęła krótka scenka w bibliotece. Przypomniała sobie, jak Battle ściągnął listek bluszczu z płaszcza sir Oswalda.

Czy nadinspektor Battle już wtedy wiedział o wszystkim?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY OSOBLIWE ZACHOWANIE GEORGE'A LOMAXA

— Przybył pan Lomax, milordzie.

Lord Caterham podskoczył przestraszony, gdyż był tak zaabsorbowany pracą nad lewym nadgarstkiem, że nie usłyszał nadejścia starego kamerdynera. Spojrzał na Tredwella bardziej ze smutkiem niż z gniewem.

— Mówiłem ci przy śniadaniu, że będę dziś rano szczególnie zajęty.

— Tak, milordzie, ale...

— Wróć i powiedz panu Lomaxowi, że musiałeś się pomylić i że mnie nie ma. Albo że mam nagły atak podagry. A jak i to nie pomoże, to powiedz, że umarłem.

— Pan Lomax, milordzie, raczył zauważyć jaśnie pana od strony podjazdu.

Lord Caterham westchnął ciężko.

— No cóż, trudno. Dobrze, Tredwell. Powiedz, że już idę.

Lord Caterham, co było dla niego charakterystyczne, prezentował szczególnie ujmująco grzeczne zachowanie zwłaszcza wtedy, gdy jego uczucia pozostawały w sprzeczności z obowiązkami. Powitał George'a z niespotykaną wprost wylewnością.

— Ach, drogi przyjacielu! i Pojęcia wprost nie masz, jak się cieszę na twój widok. Proszę, usiądź. Czego się napijesz? Proszę, proszę, cóż za miła niespodzianka.

I pchnąwszy Lomaxa na fotel, sam usiadł naprzeciwko i począł nerwowo mrugać oczyma.

— Przyszedłem do ciebie w ważnej sprawie — zaczął George.

— Och! — rzucił lord Caterham słabo. Jego umysł pracował pełną parą rozważając wszystkie ponure ewentualności, które mogły się kryć za tą prostą frazę.

— Niezwykle ważnej — dodał Lomax z naciskiem. Lord Caterham czuł, że oto nadchodzi coś gorszego niż wszystkie te potworności, które zdążył do tej pory rozpatrzyć.

— Tak? — odparł dzielnie, starając się, by zabrzmiało to nonszalancko.

— Czy zastałem lady Eileen?

Lord Caterham odetchnął z ulgą, choć z drugiej strony owo pytanie zdziwiło go niepomiarnie.

— Tak — odrzekł. — Bundle kręci się tu gdzieś razem ze swoją przyjaciółką, tą małą Wadę. Bardzo miła dziewczuszka, powiadam ci, bardzo miła. Kiedyś będzie z niej świetny gracz w golfa. Ten zamach...

Zamierzał rozwinąć temat, lecz George przerwał mu bezlitośnie.

— Cieszy mnie, że ją zastałem. Czy mógłbym zamienić z nią parę słów na osobności?

— Ależ naturalnie, drogi przyjacielu, naturalnie. Jeżeli cię to nie nuży.

— Nuży? Sądzę, drogi Edwardzie, że nie doceniasz faktu, iż twoja córka jest już, ehem, w pełni dojrzałą niewiastą, jeśli wolno mi tak powiedzieć. To już nie dziecko. Eileen jest kobietą i to w dodatku niezwykle uroczą i utalentowaną kobietą. Mężczyzna, który zdobędzie jej serce, będzie niesłychanym szczęśliwcem, podkreślam to, niesłychanym szczęśliwcem.

— Co ty powiesz? — zdziwił się lord Caterham. — Ale ona jest taka niespokojna. Nie usiedzi w miejscu dłużej niż minutę.

— Chcesz powiedzieć — poprawił go Lomax — że Eileen nie znosi stagnacji. To mądra kobieta, Edwardzie. Ambitna. Przejawia zainteresowanie sprawami bieżącymi i stara się je zgłębić swym świeżym i dociekliwym umysłem.

Lord Caterham zmierzył go wzrokiem pełnym niedowierzania. Przyszło mu do głowy, że to, co powszechnie zwie się bólem egzystencji, najwyraźniej dopadło biednego George'a i trzyma go w swych kleszczach.

— Może szklanek zimnej wody? — spytał z niepokojem.



George odrzucił propozycję niespokojnym ruchem ręki.

— Chyba się już domyślasz, drogi Edwardzie, powodu mojej wizyty. Nie należę do ludzi, którzy podejmują takie kroki pochopnie i nieodpowiedzialnie. Jestem w pełni świadom obowiązków wynikających z mojej pozycji w społeczeństwie. Zapewniam cię, iż rozważyłem tę kwestię z należytą powagą. Decyzja o małżeństwie, zwłaszcza w moim wieku, nie powinna zapadać pod wpływem nagłego impulsu. Tyle spraw nas łączy: przynależność do tej samej sfery społecznej, podobne gusta, wspólnota w wierze. Ze szczególną uwagą należy rozpatrzyć wszystkie za i przeciw. Wydaje mi się, że jestem w stanie zapewnić swej przyszłej żonie pozycję społeczną godną pozazdroszczenia. Eileen będzie potrafiła z dumą pełnić trudne zadanie, jakim bez wątplenia jest funkcja żony polityka. Z racji swego urodzenia i wychowania wydaje się szczególnie predestynowaną do takiej roli, zaś jej intelekt i wyostrzony zmysł polityczny mogą jedynie pomóc mej karierze ku obopólnym korzyściom. Jestem świadom, drogi Edwardzie, znacznej, ehem, różnicy wieku między mną a twoją córką. Jednak spieszę zapewnić, iż czuję się jeszcze pełen wigoru. Zresztą mąż powinien być nieco starszy. Nie zapomnij, że Eileen zdradza szczególne zainteresowanie sprawami istotnymi, więc oczywistym jest, że starszy mężczyzna będzie dla niej bardziej odpowiedni niż jakiś chłystek bez doświadczenia. Wreszcie, pragnę ci obiecać, że będę strzegł twej córki i miał baczenie na wszechstronny rozwój jej młodego umysłu. Pieczę nad rozkwitającym kwiatem jej rozumu będę traktował jak szczytny przywilej. Jak pomyślę, że przez tak długi czas nie dostrzegałem jej zalet...

Potrząsnął głową dramatycznie i przewrócił oczami. Lord Caterham miał trudności z wydobyciem głosu ze ściśniętej krtani.

— Czy dobrze zrozumiałem, że... Ach, drogi przyjacielu, chyba nie chcesz poślubić Bundle?

— Jesteś zaskoczony, rozumiem, że przychodzę z tym tak nagle. Czy pozwolisz mi z nią porozmawiać?

— Och, tak — wykrztusił lord Caterham. — Rozmawiaj z nią, jeśli tak ci na tym zależy. Ale na twoim miejscu, drogi George'u, nie robiłbym tego. Lepiej wróć do domu i przemyśl to jeszcze raz. Policz do dwudziestu. Wiesz, o czym mówię... Szkoda byłoby, gdybyś się wygłupił.

— Wierzę, że twoja rada płynie z dobrego serca, choć muszę przyznać, iż ująłeś to nieco dziwnie. Jednak zdążyłem to już przemyśleć i nie widzę innej drogi. Pozwól mi zobaczyć się z Eileen.

— Ależ proszę. Ja się nie wtrącam w jej sprawy. Eileen jest już dorosła i może decydować o swoim losie. Gdyby przyszła do mnie i oznajmiła, że chce poślubić szofera, też bym nie protestował. Czasy się zmieniły, drogi przyjacielu. Nasze dzieci potrafią być bardzo nieprzyjemne, jeśli nie dostają tego, czego chcą. Zawsze jej mówię w takich razach: „Rób jak uważasz, tylko nie zwracaj mi głowy”. I powiem ci, że Bundle doskonale to rozumie i nie przysparza mi zbędnych trosk. George wstał z determinacją w oczach.

— Gdzie mogę ją znaleźć?

— Pojęcia nie mam. Może być dokładnie wszędzie. Jak już mówiłem, ta dziewczyna nie potrafi usiedzieć na miejscu.

— Zapewne jest razem z panną Wade? Wiesz co, drogi Edwardzie? Myślę, że najlepiej będzie, jak zadzwonisz na lokaja i każesz ją znaleźć.

Lord Caterham posłusznie nacisnął dzwonek na biurku.

— Tredwell — powiedział, gdy stary kamerdyner pojawił się w drzwiach. — Poszukaj panienci i powiedz jej, że pan Lomax pragnie zamienić z nią parę słów w bawialni.

— Dobrze, milordzie.

Tredwell wyszedł. George chwycił dłoń lorda Caterham i pocałował ją ściskać serdecznie, ku wielkiemu utrapieniu tego ostatniego.

— Stokrotne dzięki. Mam nadzieję przynieść ci wkrótce radosne wieści.  
Wybiegł w pośpiechu z gabinetu.

— Proszę, proszę — mruknął lord Caterham do siebie.  
A po chwili dodał:  
— Co też ta Bundle wymyśliła tym razem? Drzwi otwały się ponownie.  
— Pan Eversleigh, milordzie.  
Lord Caterham wyszedł zza biurka i uściśnął dłoń Billa.

— Jak się masz, mój drogi? Tuszę, że szukasz pana Lomaxa? Jeżeli chcesz mu zrobić przysługę, to idź do bawialni i powiedz, mu, że gabinet spotkał się w sprawie nie cierpiącej zwłoki i że nie potrafią się bez niego obejść. Nie mogę pozwolić, by biedny George robił z siebie durnia dla dziewczyny.

— Nie przyszedłem po pana Lomaxa — odparł Bill. — Nawet nie wiedziałem, że tu jest. Chciałem zobaczyć się z Bundle. Nie wie pan, milordzie, gdzie mogę ją znaleźć?

— Nie możesz się z nią widzieć — odparł Caterham. — W każdym razie nie teraz.  
Rozmawia z Lomaxem.

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— A i owszem. Biedny George wije się tam pewnie jak piskorz. Twoja obecność mogłaby jedynie pogorszyć sprawę.

— Co on jej tam mówi?

— Same bzdury, jeżeli chcesz znać moją opinię. Nigdy nie mów za dużo, taka jest moja dewiza. Złap babę za rękę i czekaj na rozwój wypadków, ot co.

Bill nie wiedział, o czym mowa.

— Ale ja naprawdę się spieszę. Muszę porozmawiać z Bundle...

— Nie sądzę, żebyś musiał długo czekać. Powiem ci, że rad jestem z twojej wizyty. Dobrze, że tu jesteś, bo zapewne Lomax będzie chciał się ze mną widzieć, kiedy będzie po wszystkim.

— Jak to po wszystkim? Co Lomax chce od Bundle?

— Pst — uciszył go lord Caterham. — On się oświadcza.

— Co robi?

— Oświadcza się. Prosi Bundle o rękę. Nie pytaj mnie dlaczego. Sądzę, że wkroczył w, jak to nazywają, niebezpieczny okres. Nie umiem tego inaczej wyjaśnić.

— Oświadcza się?! To świnia! W jego wieku! Twarz Billa przybrała szkarłatny odcień.

— Twierdzi, że jest jeszcze pełen wigoru — odparł lord Caterham ostroźnie.

— On? Przecież to staruch połamany reumatyzmem! — Billa niemal zatkało z oburzenia.

— Nie przesadzaj, drogi chłopcze — stwierdził lord Caterham zimno. — Jest o pięć lat młodszy ode mnie.

— Co za bezczelność! Coddery i Bundle! Taka dziewczyna jak Bundle! Nie powinien pan być na to pozwolić!

— Staram się nie wtrącać.

— Trzeba było powiedzieć, co pan o nim myśli.

— Niestety współczesna cywilizacja na to nie pozwala — odparł lord Caterham. — Za neandertalczyków było inaczej, ale wtedy też nie miałbym odwagi. Jestem raczej wątlej postury.

— Bundle! Bundle! Nigdy nie śmiałem prosić ją o rękę, bo sądziłem, że tylko by mnie wyśmiała. A George, ten odrażający worek próchna, ten stary hipokryta, ta obrzydliwa, rozpadająca się kupa przegniłych kości, ten...

— Mów dalej, chłopcze. To zajmujące.

— Mój Boże! — wydusił Bill prosto, acz z uczuciem. — Wybacz pan, ale muszę już iść.

— Nie, nie. Wolałbym, żebyś chwilę został. Poza tym chciałeś przecież rozmawiać z Bundle.

— Nie teraz. Muszę się uspokoić. Nie wie pan czasem, gdzie jest teraz pan Thesiger? Zdaje się, miał jechać do Coote'ów. Czy dalej tam jest?

— Chyba już wrócił do miasta. Bundle i Loraine były w sobotę w „Letherbury”. Jeżeli chwilę poczekaasz...

Ale Bill potrząsnął głową stanowczo i wybiegł z gabinetu. Lord Caterham cichcem wyszedł do hallu, chwycił kapelusz i wymknął się bocznym wyjściem. W oddali dojrzał Billa pędzącego w swym samochodzie w stronę głównej bramy.

„Ten młody człowiek wpadnie na drzewo i się zabije” — pomyślał.

Bill jednakże dotarł do Londynu cały i zdrowy. Zaparkował przy St James's Square i ruszył do mieszkania Jimmy'ego. Szczęściem zastał go w domu.

— Jak się masz, Bill? Co się stało? Wyglądasz jakiś nieswój.

— Martwię się — odparł Bill. — Już od rana się martwię, a tu na domiar złego ta sprawa...

— Och, tak mi przykro. O co chodzi? Czy mogę ci w czymś pomóc?

Bill nic nie mówił. Siedział wpatrzony w dywan i wyglądał tak przybity, że Jimmy nie potrafił stłumić swej ciekawości.

— Czy stało się coś złego, Williamie? — spytał delikatnie.

— Coś cholernie dziwnego. Sam nie wiem, co o tym myśleć.

— Siedem Zegarów?

— Tak. Dostałem list dziś rano.

— List? Jaki list?

— Od adwokata Ronny'ego Devereux.

— Wielki Boże! Dopiero teraz?

— Zostawił instrukcje. Gdyby coś mu się stało, kazał wysłać zapieczętowaną kopertę na mój adres dokładnie w dwa tygodnie po jego śmierci.

— I dostałeś ją?

— Tak.

— Otworzyłeś?

— Tak.

— No więc? Co w niej było?

Bill spojrzał na niego tak dziwnym wzrokiem, że Jimmy poczuł zimny pot na skórze.

— Słuchaj, stary. Weź się w garść, wyglądasz jak z krzyża zdjęty. Łyknij, to ci dobrze zrobi.

Nalał solidną porcję whisky. Bill posłusznie wziął od niego szklaneczkę.

— Przeczytałem ten list i po prostu nie mogę w to uwierzyć. Normalnie w głowie się nie mieści.

— Nonsens — stwierdził Jimmy. — Wszystko da się logicznie uzasadnić. No, wal. Albo nie, poczekaj chwilę.

Wyszedł z pokoju.

— Stevens?

— Słucham, proszę pana?

— Skończyły mi się papierosy. Czy mógłbyś skoczyć do sklepu?

— Oczywiście, proszę pana.

Jimmy odczekał, póki nie usłyszał trzasku zamykanych drzwi. Następnie wrócił do salonu. Bill trzymał w rękach pustą szklankę i wyglądał trochę lepiej.

— Dobra — rzucił Jimmy. — Wysłałem Stevensa na zakupy, więc możesz mówić śmiało. Dowiem się wreszcie?

— Mówię ci, to niewiarygodne.

— A więc prawdziwe. No, wyrzuć to z siebie. Bill zaczerpnął powietrza.

— Dobrze. Powiem ci wszystko.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

### PILNE WEZWANIE

Lorraine przerwała zabawę z małym, rozkosznym szczeniaczkiem i spojrzała zdumiona na przyjaciółkę. Bundle wracała właśnie z rozmowy z Lomaxem. Nie było jej ponad dwadzieścia minut. Była zdyszana, zaś wyraz jej twarzy był zagadkowy i trudny do opisania.

— O rany — jęknęła opadając ciężko na ogrodową ławeczkę. — O rany...

— Co jest? — spytała Lorraine mierzając ją czujnym spojrzeniem.

— O rany — powtórzyła Bundle po raz kolejny. — Wiesz, czego chciał ten idiota?

— Niby skąd?

— Przyszedł się oświadczyć. Mówię ci, to był horror. Jąkał się i zaplukał, ale ciągnął swoje. Musiał się tego nauczyć na pamięć, takie odniosłam wrażenie. Nie można mu było przerwać. Boże, jak ja nie znoszę facetów, którzy się ślinią! Najgorsze jest to, że nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć.

— Jak to, nie wiedziałaś?

— Oczywiście, że nie wyjdę za tego zaplutego idiotę. Mówię o tym, że nie umiałam dać mu właściwej odprawy. Jedyne, co mi przychodziło do głowy to: „nie, nie wyjdę za pana”. Powinnam była powiedzieć mu ostro, żeby się wypchał, ale tak się zdenerwowałam, że zapomniałam języka w gębie. Wreszcie nie wytrzymałam i uciekłam stamtąd.

— To zupełnie niepodobne do ciebie, Bundle.

— Co ja na to poradzę. Nigdy nie byłam w tak idiotycznej sytuacji. I to George! Przecież on mnie zawsze nienawidził. Mówię ci, Lorraine, nigdy nie schlebiaj mężczyźnie. Powinnam była się domyśleć już wtedy, w „Abbey”, jak mówił o dziewczęcym umyśle i innych podobnych bzdurach. Gdyby wiedział, co o nim naprawdę myślę, padłby trupem na miejscu.

Lorraine wybuchła śmiechem. Nie potrafiła się powstrzymać.

— Wiem, wiem. Sama jestem sobie winna. Czy to nie tато kryje się za tym krzakiem? Cześć, tato.

Lord Caterham zbliżył się z takim wyrazem twarzy, jaki zwykle charakteryzuje zaszczutego psa.

— Gdzie Lomax? Poszedł już? — spytał siląc się na błyskotliwość.

— W niezłą kabałę mnie wpakowałeś — rzekła Bundle z wyrzutem. — Ten kretyń mówił, że się zgodziłeś.

— A co miałem zrobić? Zresztą wcale nic takiego nie mówiłem.

— Tak też myślałam — odparła Bundle. — Pewnie zapędził cię do kąta i doprowadził do takiego stanu, że mogłeś jedynie przytakiwać, tak?

— Mniej więcej. Jak to przyjął? Bardzo źle?

— Nie czekałam, żeby to sprawdzić. Obawiam się, że opuściłam go dość niespodzianie.

— No tak — mruknął lord Caterham. — Sądzę, że to było najlepsze wyjście. Bogu dzięki. Może przestanie mnie wreszcie nachodzić i molestować, jak to miał dotychczas w zwyczaju. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, jak mówi stare, mądre przysłowie. Nie widziałaś gdzieś mojej torby z kijami?

— Krótka rundka ukoi me stargane nerwy — stwierdziła Bundle. — Chodźcie, poszukamy tej torby.

Po godzinie cała trójka wróciła do domu w weselszych nastrojach. Na stole w hallu leżała notka.

— Pan Lomax zostawił to dla pana, milordzie — oznajmił Tredwell. — Był bardzo rozczarowany na wieść, że musiał pan wyjść w ważnej sprawie.

Lord Caterham rozdarł niecierpliwie kopertę. Wydał z siebie przeraźliwy jęk i zwrócił się do Bundle. Tredwell dyskretnie się oddalił.

— Bundle, mogłaś to załatwić bardziej stanowczo — rzekł lord Caterham.

— O czym mówisz?

— Sama zobacz.

Bundle wzięła od niego list.

*Drogi Edwardzie.*

*Przykro mi, że nie mogłem Cię zastać w gabinecie. Myślałem, że wystarczająco wyraźnie dałem Ci do zrozumienia, że po rozmowie z Eileen będę chciał się z Tobą jeszcze zobaczyć. Najwyraźniej zaszło nieporozumienie. Eileen, biedactwo, nie była chyba gotowa na przyjęcie moich oświadczeń. Obawiam się, że przestraszyłem ją tym niepomiernie. Nie mam zamiaru przynaglać jej w tej kwestii. Jej dziewczęce zmieszanie było nad wyraz urocze i muszę przyznać, iż po tej rozmowie mam dla Twojej córki jeszcze większe poważanie. Sądzę, że potrzebuje trochę czasu, by oswoić się z tą myślą. Paniński rumieniec na jej licu jest dla mnie wyraźnym dowodem, że nie jestem obojętny dla Eileen, tak więc nie mam najmniejszych wątpliwości, iż moje starania prędzej czy później zostaną uwieńczone sukcesem.*

*Łączę wyrazy oddania  
George Lomax*

— A niech mnie... — jęknęła Bundle. Zabrakło jej słów.

— Ten człowiek niewątpliwie jest szalony — zaopiniował lord Caterham. — Nikt o zdrowych zmysłach nie wypisywałby takich bzdur. Biedny człowiek, biedny człowiek. Cóż za tupet! Jaka bezczelność! Nic dziwnego, że wzięli go do rządu...

Rozległ się dzwonek telefonu i Bundle rzuciła się, by odebrać. Z miejsca zapomniała o George'u i poczęła niecierpliwie kiwać ręką do Loraine. Lord Caterham zniknął w swej samotni.

— To Jimmy — szepnęła Bundle. — Jest strasznie podekscytowany.

— Dzięki Bogu, że cię zastałem — rozległ się głos Jimmy'ego. — Nie mamy czasu do stracenia. Loraine też tam jest?

— Tak, jest tutaj.

— Świetnie. Słuchaj, nie mam czasu ci teraz mówić, zresztą to nie jest historia na telefon, ale był u mnie Bill z najbardziej zdumiewającą opowieścią, jaką kiedykolwiek słyszałaś. Jeśli to prawda, to szykuje się największa afera naszych czasów. Słuchaj, co macie robić. Przyjeżdżajcie do miasta najszybciej, jak się da. Zostawcie gdzieś samochód i walcie prosto do Klubu Siedmiu Zegarów. Dasz sobie radę z tym twoim znajomym, co pilnuje wejścia?

— Z Alfredem? Spokojnie, zostaw to mnie.

— Super. Pozbądź się go i czekajcie na mnie i na Billa. Nie pokazujcie się w oknie, ale jak tylko przyjedziemy, musicie nas natychmiast wpuścić. Jasne?

— Jasne.

— Dobrze. A! i nie mów nikomu, że jedziecie do Londynu. Powiedz, że zawozisz Loraine do domu. W porządku?

— Załatwione. Jimmy, nie mogę się doczekać.

— Jak znajdziesz chwilkę czasu, to napisz testament.

— Coraz lepiej. Ale wolałabym wiedzieć, o co chodzi.

— Dowiesz się na miejscu. Powiem ci tylko tyle: szykujemy niespodziankę numerowi siedem!

Bundle odłożyła słuchawkę i w skrócie opowiedziała Loraine, w czym rzecz. Loraine pognęła na górę spakować walizkę, zaś Bundle otworzyła drzwi gabinetu ojca.

— Tatku, wychodzę odwiedzić Loraine do domu.

- Nic nie mówiłaś, że Loraine chce dzisiaj jechać.
- Właśnie odebrała telefon. Pa, leczę.
- Czekaj! Kiedy mam się ciebie spodziewać?
- Nie wiem. Cześć.

Po tym bezceremonialnym pożegnaniu Bundle pobiegła na górę, wrzuciła na siebie płaszcz i kapelusz i była gotowa do eskapady. Wcześniej kazała służącemu wyprowadzić hispana z garażu.

Podróż do Londynu przebiegła spokojnie, jeżeli szaleńczą jazdę Bundle można nazwać spokojną. Samochód zostawiły przy jednej z bocznych uliczek i udały się do Klubu Siedmiu Zegarów.

Drzwi otworzył im Alfred. Bundle bez ceremonii wparowała do środka, Loraine wśliznęła się w ślad za nią.

- Zamknij drzwi, Alfredzie — rzekła Bundle.
- Przyszłam cię ostrzec. Zaraz będzie tu policja.
- O Jezu!

Twarz Alfreda przybrała kredowobiały odcień.

— Ty mi pomogłeś, więc czułam się w obowiązku ci o tym powiedzieć — ciągnęła Bundle pospiesznie.

— Prokurator podpisał nakaz aresztowania pana Mosgorovsky'ego, więc najlepiej będzie, jak się po prostu zmyjesz. Jak cię tu nie zastaną, to będziesz bezpieczny. Masz tu dziesięć funtów na drogę.

Po niespełna trzech, minutach skołowany i nie na żarty przestraszony Alfred opuścił Hunstanton Street z jedną myślą w głowie: nigdy tu nie wracać.

- No, to mamy go z głowy — rzuciła Bundle.
- Czy naprawdę musiałaś być taka, hm... drastyczna? — spytała Loraine.

— Tak jest bezpieczniej. Nie wiem, co wymyślili Jimmy z Billem, ale z pewnością nie chcemy, żeby Alfred wrócił tu nagle i wszystko zepsuł. O, już są. Nie marnowali czasu. Pewnie czekali za rogiem, aż Alfred sobie pójdzie. Bądź tak dobra i zejdź im otworzyć.

Loraine posłusznie ruszyła do drzwi. Jimmy wysiadł z samochodu.

— Zostań tu chwilę — rzucił do Billa. — Jak zauważysz coś podejrzanego, to zatrąb.

Wbiegł do środka i zatrzasnął drzwi za sobą. Był niezwykle podekscytowany.

— Cześć, Bundle. Szybko wam poszło. A teraz do roboty. Gdzie jest klucz do tego pokoju, gdzie się spotykają?

— Jeden z tych. Lepiej zabierzmy wszystkie.

— Dobrze, tylko szybko. Nie ma czasu do stracenia. Bez trudu znaleźli właściwy klucz i otworzyli drzwi w rogu sali gier. Pokoik wyglądał tak samo jak wtedy, kiedy Bundle była tu po raz ostatni. Na środku stół, dookoła niego siedem krzeseł. Jimmy rozejrzał się wokół, po czym podszedł do kredensów.

— Który to?

— Ten.

Jimmy otworzył kredens i spojrzał na kolekcję naczyń.

— Trzeba to będzie sprzątnąć — mruknął. — Loraine, zejdź po Billa. Nie ma sensu, żeby tam siedział.

Loraine wybiegła z pokoju.

— Powiesz mi, o co chodzi? — spytała Bundle. Jimmy klęczał przy drugim kredensie i starał się zajrzeć przez szparę w drzwiach.

— Poczekaj na Billa — odparł. — On ci wszystko opowie. To jego pomysł i muszę przyznać, że nieźle to obmyślił. Co tam się dzieje? Czemu Loraine biegnie, jakby ją kto gonił?

Loraine wpadła do pokoju z szarą twarzą i strachem w oczach.

— Bill... Bill... Och, Bundle... Bill!

— Co Bill?

Jimmy chwycił ją za ramię.

— Na miłość boską, Loraine, co się stało? Loraine nie mogła złapać tchu.

— Bill... Chyba nie żyje... Jest w samochodzie... Nie rusza się, nie reaguje... Ktoś go zabił...

Jimmy zaklął szpetnie i wyleciał co sił z pokoju. Bundle wybiegła za nim z łopoczącym sercem, czując się nagle osamotniona i zrozpaczona.

Bill nie żyje? Och, nie! Och, nie! Boże, tylko nie to!

Dopadli samochodu, po chwili nadbiegła również Loraine. Jimmy zajrzał do środka. Bill siedział tak jak przedtem, głowę miał odchyloną w tył. Jego oczy były zamknięte i nie zareagował, kiedy Jimmy szarpnął go za ramię.

— Nic z tego nie rozumiem — mruknął Jimmy. — Ale żyje. Rozchmurz się, Bundle. Musimy go jakoś wnieść do środka. Dzięki Bogu, że nie widać w pobliżu policji. Jakby kto pytał, to nasz przyjaciel poczuł się źle.

Wyciągnęli Billa z samochodu i z trudem wtaszczyli do klubu. Obyło się bez wzbudzania sensacji, jedynie pewien nie ogolony jegomość spojrzął na nich ze zrozumieniem.

— Kolega za dużo wypił — rzucił i pokiwał głową.

— Na dół, do baru — zakomenderował Jimmy. — Tam jest sofa.

Złożyli go ostrożnie na sofie. Bundle ukłękła obok i chwyciła bezwładną rękę Billa.

— Puls w porządku — stwierdziła. — Co mu się mogło stać?

— Jak go zostawiałem, wyglądał w porządku — mówił Jimmy. — Może ktoś mu co wstrzyknął? Wiecie, podszedł niby zapytać, która godzina i... Pójdę sprowadzić lekarza. Zostańcie tu.

Rzucił się do drzwi. Stał w progu i odwrócił głowę.

— Słuchajcie, nie ma powodu do paniki — powiedział — Ale na wszelki wypadek zostawię wam swój rewolwer. Wrócę najszybciej, jak się da.

Położył rewolwer na stole i wybiegł. Usłyszały trzask zamykanych drzwi frontowych.

W całym domu zapadła złowroga cisza. Dziewczęta siedziały bez ruchu przy Billu. Bundle w dalszym ciągu trzymała go za nadgarstek. Jego puls był szybki i nierówny.

— Chciałabym mu jakoś pomóc, ale nie potrafię — szepnęła do Loraine. — Jakie to okropne. Loraine kiwnęła głową.

— Wiem. Jimmy wyszedł ledwie minutę temu, a ja mam wrażenie, że siedzę tu całe wieki.

— Ciągłe słyszę jakieś hałasy — odparła Bundle.

— Mam wrażenie, że ktoś chodzi tam na górze, chociaż wiem, że to tylko chora wyobraźnia.

— Ciekawe, dlaczego Jimmy zostawił nam rewolwer. Sądysz, że coś nam grozi?

— Skoro dopadli Billa... — zaczęła Bundle i zawiesiła głos.

Loraine zadrżała.

— No tak, ale jesteśmy zamknięte. Nikt tu nie wejdzie, poza tym mamy rewolwer.

Bundle spojrzała na Billa.

— Żeby chociaż wiedziała, jak mu pomóc. Może mu zrobić gorącej kawy? To czasem pomaga.

— Mam w torebce sole trzeźwiące — rzekła Loraine. — I małą buteleczkę brandy. Zaraz, gdzie jest ta torebka? Och, pewnie zostawiłam w tym pokoju na górze.

— Skoczę przynieść — stwierdziła Bundle. A nuż pomoże?

Pobiegła na górę po schodach, wpadła do sali gier, skręciła w drzwi do małego pokoiku. Torebka Loraine leżała na stole.

Kiedy Bundle wyciągnęła po nią rękę, usłyszała za sobą jakiś hałas. Za drzwiami czaił się mężczyzna ze skarpetką wypełnioną piaskiem. Zanim Bundle zdążyła się uchylić, mężczyzna uderzył ją w tył głowy.

Ze słabym jękiem Bundle osunęła się nieprzytomna na podłogę.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY SIEDEM ZEGARÓW

Bundle wracała powoli do przytomności. Czowała wokół siebie ciemną wirującą przestrzeń, której jądro stanowił potworny, pulsujący ból. Gdzieś z oddali dochodził ją dobrze znajomy głos powtarzający w kółko te same słowa.

Czarna płachta wirowała coraz wolniej. Bundle czuła teraz wyraźnie, że ból koncentruje się w jej własnej głowie. Z wolna odzyskiwała świadomość i zaczęła uważniej wsłuchiwać się w ten dziwnie znajomy głos.

— Najdroższa, najdroższa Bundle. Och, moja kochana Bundle. Ona nie żyje, wszystko na nic. Och, moja Bundle. Jedyna, najdroższa Bundle. Tak cię kocham. Bundle... najdroższa...

Bundle leżała nieruchomo z zamkniętymi oczyma. Doszła już do siebie na tyle, by poznać głos Billa i poczuć pod głową jego silne ramię.

— Moja droga Bundle. Najdroższa. Och, Bundle, Bundle. Co ja teraz pocznę? Moja najdroższa, najśodsza Bundle. Co ja zrobię? Zabiłem ją. Wszystko przeze mnie. Zabiłem ją.

Niechętnie, bardzo niechętnie, Bundle odezwała się.

— Wcale nie, głuptasie.

Bill wydał z siebie okrzyk zdumienia.

— Bundle! Ty żyjesz!

— Oczywiście, że żyję.

— Jak długo... to jest, kiedy odzyskałaś przytomność?

— Dobre pięć minut temu.

— Czemu nie otworzyłaś oczu? Czemu nie dałaś jakiegoś znaku?

— Po co? Nie chciałam psuć sobie przyjemności.

— Przyjemności?

— Słuchania tego, co mówiłeś. Już nigdy nie pójdzie ci to tak dobrze i szczerze.

Bill zaczerwienił się jak sztubak.

— A więc się nie gniewasz? Wiesz, ja naprawdę cię kocham. Zawsze cię kochałem, ale bałem się powiedzieć.

— Ty głuptasie. Czemu?

— Myślałem, że się będziesz śmiać. Wiesz, jak to jest. Ty jesteś mądra i powinnaś wyjść za jakiegoś poważnego człowieka.

— Takiego jak George Lomax? — rzuciła Bundle ironicznie.

— Wcale nie myślałem o tym głupim staruchu. Za jakiegoś naprawdę interesującego gościa, który by był warty ciebie, chociaż przyznam, że nie znam nikogo takiego.

— Wiesz, Bill, czasami potrafisz być miły.

— Ale serio, Bundle, naprawdę mogłabyś? To znaczy, czy byłabyś skłonna się zgodzić?

— Na co?

— Na to, żeby wyjść za mnie. Wiem, że jestem głupi, ale cię kocham. Będę twoim psem, służącym, czym zechcesz.

— Jesteś jak wielki pies — odparła Bundle. — Kocham psy. Są wierne, przyjazne i mają dobre serca. Sądzę, że mogłabym się zmusić do małżeństwa z tobą. Choć zaznaczam, że byłoby to wielkim poświęceniem z mojej strony.

Bill cofnął się gwałtownie i podniósł dłoń do czoła. Spojrzał na Bundle z niedowierzaniem.

— Chyba nie mówisz serio...

— Widzę, że nie ma innego wyjścia — rzekła Bundle. — Muszę jeszcze raz odpłynąć w nieświadomość.

— Bundle, najdroższa... — Bill przycisnął ją do siebie. Czowała, że biedny chłopiec drży gwałtownie na całym ciele. — Bundle, naprawdę mówisz serio? Boże, nie wiesz, jak strasznie cię kocham...

— Och, Bill...

Wytnijmy kilkanaście minut tej rozmowy, która w większości składała się z powtórzeń i westchnień.

— Naprawdę mnie kochasz? — upewniał się Bill po raz dwudziesty, kiedy wreszcie zdołała się uwolnić z jego objęć.

— Tak, tak, tak. A teraz bądź przez chwilę rozsądny. Głowa mi pęka i jestem na pół uduszona od twoich uścisków. Chciałabym się wreszcie dowiedzieć, gdzie jestem i co się stało.

Po raz pierwszy od chwili, kiedy doszła do siebie, Bundle miała szansę rozejrzeć się wokół. Znajdowali się oboje w sekretnym pokoiku na tyłach sali gier. Dźwiękoszczelne drzwi były zamknięte z całą pewnością na klucz. A więc byli uwięzieni!

Spojrzała na Billa, który zdawał się nie słyszeć jej pytania i wpatrywał się w nią rozmarzonym wzrokiem.

— Bill, mój drogi, weź się w garść. Musimy się stąd wydostać.

— He? — odparł Bill. — Co mówisz? Ach, tak. Wszystko jest w porządku. Nie denerwuj się.

— Widzę, że miłość dodała ci skrzydeł. Chciałabym to samo powiedzieć o sobie.

— Naprawdę nie ma powodów do obaw. Najważniejsze, że mnie kochasz.

— Przestań już. Jeżeli znów zaczniemy, to nigdy się nie dowiem, co tu się dzieje. Jeżeli nie zaczniesz mówić rozsądnie, to zmienię zdanie.

— Nie pozwolę — odparł Bill. — Teraz, kiedy już wiem, że mnie kochasz, nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

— Chcesz mnie usidlić wbrew mej woli?

— Jeżeli będzie trzeba...

— Jesteś naprawdę słodki. Już myślałam, że będziesz zbyt miękki, ale teraz widzę, że się myliłam. Za jakieś pół godziny będziesz mną komenderował i rozstawiał po kątach. O rany, znów zaczynamy. Słuchaj, Bill, musimy się stąd wydostać.

— Mówię ci, że nie ma powodów do nerwów. Zaraz... Urwał posłusznie, kiedy ścisnęła go za rękę. Pochyliła się w przód i nasłuchiwała. Tak, nie myliła się. W zamku zazgrzytał klucz. Bundle wstrzymała oddech. Czy to Jimmy spieszy im na ratunek, czy może...

Drzwi otwarły się powoli i w progu stanął Mosgorovsky.

Bill natychmiast wysunął się naprzód, zasłaniając sobą Bundle.

— Muszę z panem porozmawiać na osobności — rzekł.

Rosjanin nie zareagował. Stał milcząc, gładził swą czarną brodę i uśmiechał się pod nosem.

— Dobrze — odparł wreszcie. — Niech pani pozwoli ze mną.

— Wszystko w porządku, Bundle — zapewnił ją Bill. — Zostaw to mnie. Idź z tym człowiekiem i nic się nie bój. Wiem, co robię.

Bundle posłusznie ruszyła za Mosgorovskym. Władcza nuta w głosie Billa zaskoczyła ją. Bill sprawiał wrażenie pewnego siebie i wyglądał na kogoś, kto doskonale wie, jak poradzić sobie w tej niezrozumiałej sytuacji. Była pewna, że Bill kryje w rękawie atutową kartę.

Mosgorovsky puścił ją przodem, a sam zamknął drzwi na klucz.

— Tędy proszę — rzucił.

Wskazał na schody i Bundle posłusznie weszła na drugie piętro. Tutaj Rosjanin kazał jej wejść do ciasnego pomieszczenia, które zapewne było sypialnią Alfreda.

— Niech pani tu zaczeka. I proszę nie robić hałasu. Po czym wyszedł przekręcając klucz w zamku. Bundle opadła na krzesło. W dalszym ciągu czuła uporczywy ból głowy i nie potrafiła

skupić myśli. Bill na pewno miał jakiś konkretny plan. Prędzej czy później ktoś przyjdzie ją uwolnić.

Minuta płynęła za minutą. Jej zegarek stanął, ale z obliczeń wynikało, że siedzi tu już od ponad godziny. Co tam się dzieje?

Wreszcie usłyszała kroki na schodach. W drzwiach stanął Mośgorovsky. Jego głos brzmiał oficjalnie.

— Lady Eileen Brent, jest pani proszona na nadzwyczajne zebranie Bractwa Siedmiu Zegarów. Proszę za mną.

Ruszyła za nim na dół po schodach. Mosgorovsky otworzył drzwi sekretnego pokoju i wpuścił ją przodem. Bundle zamarła.

Zobaczyła scenę, której już wcześniej była świadkiem. Wtedy oglądała pokój przez niewielki otwór, zaś teraz widziała wszystko jasno i wyraźnie. Wokół stołu siedzieli członkowie bractwa z twarzami przysłoniętymi maskami. Mosgorovsky również założył maskę i zasiadł na swoim miejscu.

Jednak tym razem krzesło na końcu stołu było zajęte. Numer siedem zdecydował się ujawnić.

Serce biło jej mocno. Stała przy drugim końcu stołu, dokładnie naprzeciwko i wpatrywała się w kawałek materiału, za którym kryła się twarz tajemniczego numeru siedem.

Założyciel bractwa siedział bez ruchu i Bundle miała dziwne wrażenie, iż czuje moc promieniującą od tej postaci. Wiedziała doskonale, że jego bezruch nie jest oznaką słabości. Pragnęła z całej siły, żeby przemówił, żeby uczynił choć najmniejszy gest, ale on siedział nieruchomo, niczym gigantyczny pajak czekający w swej sieci na swą ofiarę.

Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Mosgorovsky powstał, a jego miły, głęboki baryton zabrzmiał jakoś nierealnie.

— Lady Eileen, już raz uczestniczyła pani w naszym zebraniu, choć nie była pani zaproszona. Wydaje się zatem niezbędne, aby wtajemniczyć panią w cele i założenia naszego zgromadzenia. Jak pani widzi, miejsce numeru dwa jest wolne. To miejsce pragniemy ofiarować pani.

Bundle ze zdumienia zabrakło tchu. Czy to jakiś fantastyczny sen? Czy rzeczywiście jej, Bundle Brent, proponowano udział w morderczym przedsięwzięciu? Czy to samo spotkało Billa?

— Nie mogę się na to zgodzić — odparła śmiało.

— Proszę nie odpowiadać pochopnie.

Mogła się założyć, że pod maską Mosgorovsky'ego kryje się złośliwy uśmiezek.

— Nie wie pani jeszcze, co pani odrzuca.

— Nietrudno zgadnąć — rzekła.

— Czyżby?

To był głos numeru siedem. Ten głos przywołał jej na myśl jakieś odległe skojarzenie. Czy to możliwe, żeby był znajomy?

Powoli, bardzo powoli numer siedem uniósł dłoń i zaczął ściągać maskę.

Bundle wstrzymała oddech. Nareszcie. Teraz dowie się wszystkiego.

Maska opadła.

Bundle stała jak oniemiała, wpatrzona w nieruchomą, drewnianą twarz nadinspektora Battle'a.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

### BUNDLE NIE WIERZY WŁASNYM OCZOM

— Dajcie jej jakieś krzesło, bo upadnie — rzekł Battle. — Wygląda na to, że jest w szoku.

Bundle opadła na krzesło. Czuła się słabo, z zaskoczenia odebrało jej mowę. Battle ciągnął dalej tym swoim charakterystycznym, cichym i spokojnym głosem.

— Nie spodziewała się pani mnie tu ujrzeć, prawda, lady Eileen? Podobnie zresztą, jak większość zebranych tu osób. Pan Mosgorovsky występował w moim imieniu. Od początku był wtajemniczony w sprawę. Pozostali odbierali polecenia bezpośrednio od niego.

Bundle w dalszym ciągu nie mogła wyjść z osłupienia. Była niezdolna wydusić z siebie słowa.

Battle pokiwał głową ze zrozumieniem, najwyraźniej rozumiejąc stan jej umysłu.

— Musi pani na początek zrozumieć, że niektóre spośród pani wniosków oparte były na niewłaściwych przesłankach. Weźmy na przykład sprawę założeń tego naszego bractwa. Wiem, że w powieściach kryminalnych dosyć często występują tajne organizacje przestępcze. Na ich czele stoi zawsze zbrodniarz o niepospolitym umyśle, który pozostaje na uboczu i nigdy nie pokazuje swej twarzy. Możliwe, że takie rzeczy zdarzają się w rzeczywistości, ale zaryzuję pani, iż w mej długoletniej karierze policyjnej nie spotkałem się nigdy z podobnym przypadkiem. A, proszę mi wierzyć, widziałem już niejedno.

Romantyczne sytuacje przemawiają do wyobraźni, lady Eileen. Ludzie, szczególnie młodzi ludzie, uwielbiają czytać romantyczne historie, a jeszcze bardziej uwielbiają uczestniczyć w romantycznych przygodach. Mam przyjemność przedstawić pani grupę amatorów, którzy zrobili wiele dobrego dla mojego departamentu. Wykonali wspaniałą robotę, której nikt inny nie potrafiłby wykonać lepiej. Zabawa w mafię może wydawać się niepoważna, ale w końcu któż nie lubi się bawić? Najważniejsze jest to, że ci oto ludzie gotowi byli stawić czoła niebezpieczeństwu. Nie dla pieniędzy, lecz dla samej przyjemności sprawdzenia siebie gotowi byli służyć dobru ludzkości.

A teraz, lady Eileen, chciałbym dokonać prezentacji. Oto pan Mosgorovsky, którego zdążyła już pani spotkać osobiście. Jak pani wie, pan Mosgorovsky jest właścicielem tego klubu, lecz oprócz tego jest naszym stałym współpracownikiem i tajnym agentem do walki z bolszewizmem. Numer pięć to hrabia Andras z ambasady Węgier, oddany przyjaciel nieodżałowanej pamięci Geralda Wade'a. Numer cztery to pan Hayward Phelps, amerykański dziennikarz, którego sympatie probrytyjskie są powszechnie znane. Numer trzy...

Battle urwał i uśmiechnął się szeroko. Bundle spojrzała za jego wzrokiem i wpatrywała się w zakłopotaną twarz Billa Eversleigha.

— Po numerze dwa — ciągnął Battle poważniejąc — pozostało jedynie puste miejsce. Na tym krześle zasiadał pan Ronald Devereux, wspaniały człowiek, który oddał swe życie dla dobra naszego kraju. Numer jeden, cóż, numerem jeden był świętej pamięci pan Gerald Wade. Jego ofiara nigdy nie będzie zapomniana. Miejsce pana Wade'a zajęła kobieta. Przyznam szczerze, iż zgodziłem się na to po długim wahaniu, jednak ta wspaniała niewiasta okazała się godną następczynią pana Wade'a. Jej odwaga i zdolności były dla nas nieocenioną pomocą. Godzina pierwsza jako ostatnia zdjęła maskę i Bundle bez zdziwienia odkryła, że kryje się za nią piękna twarz hrabiny Radzky.

— Domyślałam się tego — rzekła Bundle.

— Ale nie wiesz jeszcze wszystkiego — odezwał się Bill. — Bundle, pozwól, że przedstawię ci Babe St Maur. Pamiętasz, jak opowiadałem ci o jej zdolnościach aktorskich? Przyznaj, że swą rolę zagrała wspaniale.

— To nie było trudne — odparła panna Maur z rozwlekłym amerykańskim akcentem. — Moi rodzice pochodzą z Węgier, więc nietrudno mi było udawać Węgierkę. Ale niewiele brakowało, a zdradziłabym się w „Abbey”, kiedy rozmawialiśmy o ogrodach.

Urwała, po czym rzekła nagle:

— Nie robiłam tego dla zabawy. Widzi pani, Ronny i ja byliśmy sobie bardzo bliscy. Po jego śmierci przyrzekłam sobie, że znajdę tego łajdaka, który go zabił.

— Nic z tego nie rozumiem — wyznała Bundle. — Już sama nie wiem, co jest prawdą, a co nie.

— To proste, lady Eileen — rzekł Battle. — Zaczęło się od tego, że grupka młodych ludzi chciała zabawić się w detektywów. To pan Wade przyszedł do mnie z tym pomysłem. Zaproponował mianowicie, żeby utworzyć amatorską organizację ludzi, którzy mieli zajmować się współpracą z wywiadem. Ostrzegalem go, że taka działalność może okazać się niebezpieczna, ale on nie należał do ludzi, których łatwo przestraszyć. Zastrzegłem, że wszyscy członkowie grupy podejmą się tego zadania na własną odpowiedzialność. Przyjaciele pana Wade’a nie zlekli się trudności i niebezpieczeństw. I tak się to wszystko zaczęło.

— Ale co było waszym celem? — spytała Bundle.

— Celem był pewien człowiek. To nie był zwykły złodziejaszek. Pracował w świecie pana Wade’a, w świecie ludzi związanych z wywiadem. Ten człowiek był niezwykle niebezpiecznym szpiegiem, który interesował się wyłącznie sprawami najwyższej wagi państwowej. Już dwa razy zdołał skraść szczególnie ważne plany i byliśmy przekonani, że musi to być ktoś blisko związany z kołami wywiadu. Do śledztwa zaprzęgnięto najlepszych fachowców, niestety bez powodzenia. Zdecydowałem oddać sprawę w ręce amatorów, co okazało się szczęśliwym pomysłem.

— Złapaliście go?

— Tak, choć niestety nie obyło się bez ofiar. Ten człowiek był naprawdę niebezpieczny. Dwóch młodych ludzi oddało swe życie, ale Siedem Zegarów nie chciało się poddać. Zdołali dokonać tego, co nie udało się profesjonalistom. Dzięki obecnemu tu panu Billowi Eversleighowi udało się schwytać przestępcę na gorącym uczynku.

— Kim jest ten człowiek? Znam go?

— Zna go pani bardzo dobrze, lady Eileen. Aresztowaliśmy go kilkanaście minut temu. Nazywa się Jimmy Thesiger.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI OPOWIEŚĆ NADINSPEKTORA BATTLE'A

Nadinspektor Battle poprawił się w krzesło i przystąpił do wyjaśnień.

— Przez długi czas nie podejrzewałem pana Thesigera. Pierwszą wskazówką były ostatnie słowa umierającego Ronalda Devereux. Naturalną rzeczą kolejną zrozumiała pani, że pan Devereux chciał ostrzec Jimmy'ego Thesigera i przekazać, że zastrzelili go ludzie z tajnej organizacji o nazwie Siedem Zegarów. Tak mogło się wydawać komuś nie wtajemniczonymu w całą sprawę. Ale ja wiedziałem, że to niemożliwe. Było dla mnie oczywiste, że pan Devereux chciał przekazać informacje Siedmiu Zegarom i że informacja dotyczyła pana Thesigera.

Coś mi w tym nie pasowało, ponieważ wiedziałem, że pan Devereux i pan Thesiger byli bliskimi przyjaciółmi. Ale przypomniałem sobie jeszcze coś — kradzieże były dokonywane przez kogoś o bliskich powiązaniach z wywiadem. Kogoś, kto pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych lub też kogoś, kto ma bezpośredni dostęp do plotek pochodzących z ministerstwa. Zastanawiało mnie również, skąd pan Thesiger czerpie środki na swe utrzymanie. Jego ojciec zostawił w spadku sporą sumę, ale zbyt małą, by pozwolić Jimmy'emu na tak wystawne życie. A więc skąd pochodziły pieniądze pana Thesigera?

Wiedziałem również, że pan Wade tuż przed odwiedzinami w „Chimneys” odkrył coś ważnego. Był na właściwym tropie, ale nie dzielił się z nikim swymi podejrzeniami. Wiedziałem o tym, gdyż w rozmowie z panem Devereux pan Wade zasugerował, że jest bliski rozwiązania zagadki. Jak powiedziałem, zdarzyło się to tuż przed tym, jak obaj panowie pojechali na weekend do „Chimneys”. Potem dowiedziałem się o śmierci pana Wade'a. Wyniki oględzin wskazywały na przedawkowanie środków nasennych. Pan Devereux jednak nie wierzył ani w przypadek, ani też w samobójstwo. Był przekonany, że pan Wade został sprytnie usunięty z drogi przez człowieka, którego szukaliśmy. Wiedział również, iż człowiek ten musiał być jednym z gości. Był bliski zwierzenia się ze swych podejrzeń panu Thesigerowi, którego wtedy jeszcze wykluczał z grona podejrzanych, jednak coś kazało mu przemilczeć sprawę.

— Potem zrobił coś dziwnego. Ustawił siedem budzików na półce, wyrzucając ósmy przez okno. Miało to na celu dać mordercy do zrozumienia, że Siedem Zegarów jest gotowe pomścić śmierć pana Wade'a. Pan Devereux obserwował wszystkich gości, oczekując, że morderca da po sobie poznać swe zaniepokojenie lub też zdradzi się w inny sposób.

— A więc to Jimmy otruł Gerry'ego Wade'a?

— Tak. Wsypał środek do szklaneczki whisky, którą pan Wade wypił w salonie przed pójściem do łóżka. Dlatego właśnie pan Wade czuł się śpiący, kiedy pisał list do siostry.

— A ten lokaj, Bauer? Czy miał z tym coś wspólnego?

— Bauer był jednym z naszych ludzi, lady Eileen. Przypuszczaliśmy, że człowiek, którego szukamy, będzie próbował ukraść plany wynalazku *Herr* Eberharda. Bauer został oddelegowany do „Chimneys”, żeby mieć oko na wszystko, co dzieje się w tym domu. Ale niestety nie mógł zapobiec temu, co się stało. Jak więc mówiłem, pan Thesiger nie miał większych trudności z podaniem panu Wade'owi środka nasennego. Później, kiedy już wszyscy spali, pan Thesiger wszedł do sypialni pana Wade'a i ustawił na szafce karafkę, szklanekę i pustą buteleczkę po chloralu. Pan Wade był już wtedy nieprzytomny, więc morderca bez trudu zdołał zacisnąć jego dłoń na szklance i na butelce tak, żeby pozostały tam odciski palców ofiary. Nie wiem, jakie wrażenie uczyniło na panu Thesigerze siedem budzików, ale z pewnością nie dał nic po sobie znać. Bez wątplenia jednak zastanawiał się, kto za tym stoi, i miał baczenie na pana Devereux.

Co stało się później, nie wiemy. Po śmierci pana Wade'a nikt nie miał kontaktu z panem Devereux, ani też nikt go nie widział. Jednak możemy przypuszczać, że podążał tym samym tropem co pan Wade i że doszedł do tych samych wniosków, to znaczy, że poszukiwanym człowiekiem jest pan Thesiger. Podejrzewam również, że zdradził się dokładnie w ten sam sposób.

— To znaczy?

— Przez pannę Loraine Wade. Pan Wade był jej niezwykle oddany, sądzę nawet, że nosił się z zamiarem poślubienia jej. Wszak panna Wade nie była jego rodzoną siostrą. Niewątpliwie powiedział jej za dużo. Nie wiedział jednak, że panna Wade sercem oddana była panu Thesigerowi. Była gotowa spełnić każde jego żądanie. Przekazała więc informację, że jej brat jest na tropie. W ten sam sposób zapewne pan Thesiger dowiedział się o panu Devereux i postanowił go uciszyć. Umierając, pan Devereux starał się przekazać nam wiadomość, że mordercą jest pan Thesiger,

— Jakie to okropne! — krzyknęła Bundle. — Jaka ja byłam głupia!

— Nie mogła pani wiedzieć. Prawdę mówiąc, ja sam niczego nie podejrzewałem. Ale potem była sprawa „Abbey”. Sama pani wie, jakie to wszystko było zagmatwane. W szczególnie niezręcznej sytuacji był pan Eversleigh. Pani popierała pana Thesigera. Pan Eversleigh bał się o pani bezpieczeństwo, a kiedy jeszcze dowiedział się, że pani podsłuchiwała zebranie Siedmiu Zegarów, wprost osłupiał.

Nadinspektor przerwał i uśmiechnął się.

— Zresztą ja też — dodał. — Kiedy się o tym dowiedziałem, po prostu mnie zatkało.

Tak więc pan Eversleigh miał nie lada problem. Nie mógł pani wtajemniczyć w sprawę Siedmiu Zegarów, bo to by znaczyło wtajemniczyć pana Thesigera, a na to nie mógł pozwolić. Pan Thesiger zaś był w o tyle dobrej sytuacji, że miał powód, żeby starać się o zaproszenie do „Abbey”.

Dodam, że Siedem Zegarów rzeczywiście wystosowało list z pogrózkami do pana Lomaxa. Powód był prosty: chciałem, żeby pan Lomax przestraszył się i poprosił mnie o pomoc. To dało mi szansę znaleźć się w „Abbey” oficjalnie. Nie kryłem się ze swą obecnością, jak pani wiadomo.

Tu znów nadinspektor wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Ustalono, że pan Thesiger będzie trzymał straż razem z panem Eversleighem. Naprawdę jednak pan Eversleigh dzielił się obowiązkami z panną St Maur. Nasza uroczą aktorka zajęła swe stanowisko przy drzwiach na taras. Kiedy usłyszała nadchodzącego pana Thesigera, skryła się za parawanem.

I tutaj mamy szansę docenić spryt pana Thesigera. Do pewnego stopnia opowiedział mi prawdę i muszę przyznać, że z początku dałem się nabrać. Kiedy opowiadał o swej nocnej walce z włamywaczem, zacząłem się poważnie zastanawiać, czy jestem na dobrym tropie podejrzewając go o kradzież. Kilka szczegółów wskazywało na zupełnie inne wyjaśnienie faktów i powiem pani, że nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Jednak na szczęście zdarzyło się coś, co potwierdziło moje podejrzenia.

Znalazłem w kominku na pół zwęgloną rękawiczkę noszącą ślady zębów i wtedy już wiedziałem, że mimo wszystko mam rację. Ale przyznaję, że to był naprawdę sprytny pomysł.

— Co się naprawdę stało tej nocy? — spytała Bundle. — Kim był ten drugi mężczyzna?

— Nie było drugiego mężczyzny, lady Eileen. Proszę posłuchać, jak do tego doszedłem. Pan Thesiger współpracował z panną Wade. Umówili się na konkretną godzinę. Panna Wade przyjeżdża swoim samochodem, wchodzi na teren posiadłości i dostaje się w pobliże domu. Ma w zanadrzu przekonującą historyjkę w razie, gdyby ktoś ją zobaczył. Tę samą historyjkę, którą potem opowiedziała w bibliotece. Dociera na taras dokładnie z wybiciem godziny drugiej.

Tu muszę dodać, że panna Wade nie weszła na teren posiadłości nie zauważona. Moi ludzie w parku widzieli ją, ale mieli rozkazy zatrzymywać każdego, kto wychodzi, a nie zaś kogoś, kto wchodzi. Tak więc panna Wade przybywa na taras i w tym momencie z okna na piętrze spada pakunek. Panna Wade podnosi go. Jakiś człowiek schodzi po bluszczu na dół, zaś panna Wade ucieka. Co się dzieje potem? Wybucha szamotanina w bibliotece, słysząc strzały. Co robią wszyscy goście? Biegają w stronę, skąd dochodzą strzały. A panna Wade może spokojnie opuścić teren posiadłości i odjechać z planami do domu.

Ale tak się nie stało. Panna Wade wpada prosto na mnie i od tego momentu następuje zmiana wariantu gry.

Atak przechodzi w obronę. Panna Wade opowiada swą historyjkę, która brzmi prawdziwie i przekonująco.

A teraz przejdźmy do pana Thesigera. Jedna rzecz od razu wzbudziła moje podejrzenia. Otóż rana postrzałowa nie mogła być przyczyną utraty przytomności. Albo więc pan Thesiger upadł i uderzył w coś głową, albo też wcale nie zemdlał. Potem usłyszeliśmy opowieść panny St Maur. Potwierdzała dokładnie wszystko, co powiedział pan Thesiger, ale jeden szczegół jest godny uwagi. Panna St Maur stwierdziła, że po tym, jak zgasło światło i pan Thesiger podszedł do okna, w pokoju zapadła cisza. Mówiła, że było tak cicho, że przez chwilę myślała, że w ogóle wyszedł z biblioteki. Otóż jeżeli ktoś jest w ciemnym pokoju i nasłuchuje bacznie, to bez trudu usłyszy, że nie jest w pokoju sam. Załóżmy zatem, że pan Thesiger naprawdę wyszedł z biblioteki. Dokąd? Do pokoju pana O'Rourke, który śpi twardo, ponieważ wieczorem wypił whisky ze środkiem nasennym. Pan Thesiger wspina się po bluszczu, zabiera plany, rzuca je dziewczynie, schodzi tą samą drogą i wdaje się w bójkę z wyimaginowanym przeciwnikiem. To wcale nie takie trudne. Wystarczy robić wiele hałasu, strącać szklane przedmioty, tupać i mówić na przemian zwykłym głosem i ochryplym szeptem. I tu dochodzimy do mistrzowskiej zagrywki. Strzały z pistoletu. Najpierw pan Thesiger strzela do rzekomego włamywacza ze swojego colta, kupionego otwarcie dzień wcześniej. Następnie lewą ręką odzianą w rękawiczkę wyjmuje z kieszeni mauzera i oddaje strzał w swoje własne prawe ramię. Wyrzuca pistolet przez otwarte drzwi, zębami ściąga rękawiczkę i wrzuca ją do kominka, w którym tli się jeszcze żar. Kiedy słyszy moje kroki na tarasie, pada na ziemię i udaje nieprzytomnego.

Bundle wzięła głęboki oddech.

— Czy wiedział pan o tym od samego początku?

— Oczywiście, że nie. Dałem się nabrać jak wszyscy. Dopiero później zacząłem składać poszczególne elementy w jedną całość. Zaczęło się od rękawiczki. Potem poprosiłem sir Oswalda, żeby rzucił pistoletem. Mauzer upadł dużo dalej, niż powinien. Ale człowiek praworęczny nie rzuca lewą ręką tak dobrze jak prawą. Zresztą nawet wtedy miałem jedynie niejasne podejrzenia, nic więcej.

Uderzyła mnie jedna rzecz. Skoro plany zostały wyrzucone przez okno, to na pewno po to, żeby ktoś je podniósł. Jeżeli zatem panna Wade znalazła się pod oknem przez przypadek, to kto w takim razie miał zgodnie z planem odebrać pakunek? Oczywiście człowiek nie wtajemniczony w sprawę odpowiedziałby na to pytanie bez trudu: hrabina Radzky. Ale tutaj miałem przewagę, ponieważ wiedziałem doskonale, że hrabina jest poza podejrzeniem. Jaki więc należy wysnuć wniosek? Taki, że plany zostały odebrane przez właściwą osobę. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej zastanawia! mnie ów zadziwiający przypadek, który sprawił, że panna Wade znalazła się pod oknem dokładnie wtedy, kiedy trzeba.

— Musiał pan być w nie lada kłopotcie — zauważyła Bundle — kiedy opowiadałam panu o swoich podejrzeniach względem hrabiny.

— Owszem. Musiałem naprędce obmyślać coś, co odwróciłoby pani uwagę od hrabiny. Pan Eversleigh też się zdrowo napocił, kiedy panna St Maur dochodziła do siebie, bo nie chciał, żeby się zdradziła.



— Biedny Bill — westchnęła Bundle. — A ja myślałam, że do reszty postradał rozum i gada od rzeczy.

— Tak to wygląda — rzekł Battle. — Tak więc podejrzewałem pana Thesigera, ale nie miałem niezbitych dowodów. Ale pan Thesiger również był w kropce. Wiedział, że występuje przeciwko jakiejś tajnej organizacji i bardzo zależało mu na tym, by odkryć, kim jest tajemniczy numer siedem. Załatwił sobie wstęp do posiadłości Coote'ów, ponieważ miał podejrzenia, że numer siedem to sir Oswald.

— Ja też podejrzewałam sir Oswalda — wyznała Bundle. — Szczególnie wtedy, gdy okazało się, że właśnie tamtej nocy postanowił wybrać się na przechadzkę do parku.

— Dla mnie sir Oswald był poza wszelkim podejrzeniem — odparł Battle. — Chociaż przyznaję, że miałem pewne wątpliwości co do jego sekretarza.

— Pongo? — wykrzyknął Bill. — Nie może być.

— Tak, panie Eversleigh, właśnie Pongo, jak go pan nazwał. To bardzo przedsiębiorczy młody gentleman. Jeden z tych, którym wszystko się udaje, jeśli tylko wystarczająco tego chcą. Podejrzałem go głównie dlatego, że to on właśnie zaniósł budziki do pokoju pana Wade'a. Bez trudu mógł wtedy podrzucić szklanke i butelkę po chloralu. A poza tym pan Bateman jest leworęczny. Rękawiczka zatem wskazywałaby na niego, gdyby nie jeden szczegół...

— Jaki?

— Ślady po zębach. Po co ktoś miałby ściągać rękawiczkę zębami, jeżeli ma drugą rękę w pełni sprawną?

— A więc Pongo został wyeliminowany.

— Tak jest. Sądzę, że pan Bateman zdziwiłby się niepomierne, gdyby wiedział, że podejrzewałem go o morderstwo i szpiegostwo.

— Coś takiego... — mruknął Bill. — Pongo podejrzany! Ten stary głupi osioł przyzwoity aż do obrzydzenia!

— Jeżeli chodzi o ścisłość — odparł Battle — to pan Thesiger również uchodził w pewnych kręgach za osła. W grę wchodziło więc tylko tych dwóch panów. Kiedy już miałem pewność, że to nie pan Bateman, byłem bardzo ciekaw jego opinii o Thesigerze. I cóż się okazało? Otóż pan Bateman miał o nim jak najgorsze zdanie, czemu wielokrotnie dawał wyraz w rozmowach z sir Oswaldem.

— Ciekawe, że Pongo ma zawsze rację — rzucił Bill. — To niesprawiedliwe.

— Jak już zatem wspominałem — ciągnął Battle — pan Thesiger był zdenerwowany sprawą Siedmiu Zegarów i nie wiedział, z której strony ma się spodziewać niebezpieczeństwa. To, że udało nam się go schwytać, jest wyłączną zasługą pana Eversleigha. Wiedział, co mu grozi i gotów był poświęcić swe życie dla dobrej sprawy. Ale nie miał pojęcia, że pani również znajdzie się w niebezpieczeństwie.

— To prawda, Eileen — wtrącił Bill z uczuciem.

— Poszedł do pana Thesigera z ułożoną wcześniej historyjką. Miał udawać, że trafił w jego ręce list pisany przez pana Devreux, sugerujący, że pan Thesiger jest mordercą. Oczywiście jako szczerzy i oddany przyjaciel, pan Eversleigh pospieszył do pana Thesigera z nadzieją, że ten mu wyjaśni, co o tym wszystkim sądzić. Zakładaliśmy, że jeżeli nasze podejrzenia są słuszne, pan Thesiger będzie próbował usunąć niewygodnego świadka. Mieliśmy nadzieję, że zrobi to w ten sam sposób, jakiego użył już wcześniej. I rzeczywiście pan Thesiger uraczył gościa szklaneczką whisky. Podczas gdy gospodarz wyszedł na chwilę, pan Eversleigh wylał whisky do wazonika z kwiatami, udając oczywiście, że narkotyk zaczyna działać. Wiedział, że efekty działania środka powinny nastąpić powoli. Zaczął opowiadać. Pan Thesiger z początku wszystkiemu zaprzeczał, ale kiedy wydawało mu się, że środek zaczyna działać, przyznał się i oznajmił, że pan Eversleigh jest kolejną ofiarą.

— Kiedy pan Eversleigh był już prawie nieprzytomny, pan Thesiger zaprowadził go na dół i posadził na siedzeniu w samochodzie. Wcześniej, o czym pan Eversleigh nie wiedział, zadzwonił do pani. Miała pani powiedzieć ojcu, że zabiera pannę Wade do domu.

Było to bardzo sprytne. Gdyby znaleziono tu pani ciało, panna Wade przysięgałaby, że odwiozła ją pani do domu, a sama pojechała do Londynu, żeby jeszcze raz odwiedzić Klub Siedmiu Zegarów.

Pan Eversleigh dalej grał rolę człowieka odurzonego środkiem nasennym. Dodam jeszcze, iż kiedy obaj panowie opuścili Jermyn Street, jeden z moich ludzi wszedł z nakazem rewizji do domu pana Thesigera i znalazł tam butelkę whisky. Po zbadaniu okazało się, że dawka, którą miał wypić pan Eversleigh, wystarczyłaby do pozbawienia życia dwóch ludzi. Kazałem również śledzić samochód. Pan Thesiger pojechał najpierw za miasto na jedno z bardziej uczęszczanych pól golfowych, i przebywał tam kilka minut rozpowiadając znajomym, że ma zamiar zagrać rundkę. To oczywiście miało posłużyć za alibi w razie wpadki. Potem wrócił do samochodu i udał się prosto do Klubu Siedmiu Zegarów. Kiedy tylko zobaczył, że Alfred wychodzi, podjechał pod bramę, rzucił parę słów do pana Eversleigha, na wypadek, gdyby pani stała w oknie i słuchała, po czym wszedł do klubu i odegrał swą komedię.

Potem, kiedy udawał, że idzie po lekarza, trzasnął tylko głośno drzwiami, po cichu wrócił na górę i ukrył się za drzwiami tego pokoju, do którego panna Wade po coś panią wysłała. Pan Eversleigh był przerażony, kiedy ujrzał tu panią, ale zdecydował, że lepiej będzie nie wypadać z roli. Wiedział, że nasi ludzie obserwują dom i doszedł do wniosku, że żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo pani nie grozi. Zawsze mógł przecież „nagle ożyć”, gdyby zaszła taka potrzeba. Kiedy pan Thesiger rzucił swój rewolwer na stół i rzekomo opuścił dom, wydawało się, że niebezpieczeństwo minęło. A o tym, co nastąpiło potem... — przerwał, spoglądając na Billa — może pan wolałby sam opowiedzieć.

— Leżałem na tej sofie — zaczął Bill — usiłując wyglądać jak trup, coraz bardziej zdenerwowany. Usłyszałem, jak ktoś zbiega po schodach, potem Loraine wstała i podeszła do drzwi. Dobiegł mnie głos Thesigera, ale nie zrozumiałem słów. Loraine odpowiedziała: „Wszystko poszło świetnie”, a on rzekł: „Pomóż mi go zanieść na górę. Trochę się zmachamy, ale chcę ich mieć obydwoje tam, jako miłą niespodziankę dla numeru siedem”. Nie za bardzo do mnie docierało, o czym oni mówią, w każdym razie wnieśli mnie jakoś na górę. No, nieźle się przy tym zmachali, to fakt, udawałem trupa jak trzeba. Gdy już byliśmy na górze, Loraine zapytała: Jesteś pewien, że wszystko jest w porządku? Załatwiłeś ją jak należy?”. A Jimmy, ten cholerny drań, mówi na to: „Nie ma strachu. Solidnie jej przyłożyłem”.

Wtedy wyszli i zamknęli drzwi na klucz. Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że ty tam jesteś ze mną i — Boże! Bundle, już chyba nigdy w życiu nil poczuję się tak okropnie. Myślałem, że nie żyjesz.

— Sądzę, że uratował mnie kapelusz — stwierdziła Bundle.

— Częściowo — odparł nadinspektor Battle. — Częściowo zaś rana w ramieniu pana Thesigera. Pewnie sam nie zdawał sobie sprawy, że miał zaledwie połowę swojej normalnej siły. W każdym razie, nie ma w tym żadnej zasługi moich ludzi. Nie zadbaliśmy o panią tak, jak należało, lady Eileen. To plama na naszym honorze.

— Jestem bardzo wytrzymała — rzekła Bundle.

— I mam kupę szczęścia. Ale nie mogę przeboleć tego, że Loraine była w to zamieszana. Taka miła istota.

— Cóż... — westchnął nadinspektor Battle. — Podobnie jak morderczyni z Pentonville, która zabiła pięcioro dzieci. Nie należy się kierować pozorami. Ona ma w sobie złą krew, jej ojciec powinien być skończyć za kratkami.

— Złapał ja pan? Nadinspektor skinął głową.

— Przypuszczam, że jej nie powieszają, sędziowie mają miękkie serca. Ale młody Thesiger skończy na stryczku — i dobrze. To najbardziej okrutny i zdeprawowany przestępca, jakiego spotkałem.

— A teraz — dodał po chwili — jeżeli głowa pani za bardzo nie dokucza, lady Eileen, co powiedzą państwo na małą uroczystość? Tu za rogiem jest miła, nieduża restauracja.

Bundle zgodziła się z ochotą.

— Umieram z głodu, nadinspektorze. A poza tym...

— rozejrzała się — muszę przecież zapoznać się z moimi nowymi przyjaciółmi.

— Siedem Zegarów! — wykrzyknął Bill. — Hurra! Trzeba to koniecznie oblać. Mają tam coś odpowiedniego, nadinspektorze?

— Proszę się o to nie martwić. Moja w tym głowa.

— Nadinspektorze Battle — powiedziała Bundle.

— Jest pan nadzwyczajnym człowiekiem. Szkoda tylko, że już żonatym. Wobec tego nie pozostaje mi nic innego, jak wyjść za Billa.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY LORD CATERHAM POCHWAŁA WYBÓR

— Tatku — rzekła Bundle — mam dla ciebie ponurą wiadomość. Boję się, że będziesz musiał mnie stracić.

— Nonsens — odparł lord Caterham. — Nie powiesz mi chyba, że cierpisz na galopujące suchoty. I tak w to nie uwierzę.

— Nie mówię o śmierci. Chodzi o małżeństwo.

— Masz ci! Jeszcze gorzej. Wiesz, jak nie znoszę wesel i sztywnych kołnierzyków. Pewnie jeszcze będę musiał ucałować George'a w czoło, fuj!

— Wielkie nieba! Chyba nie myślisz, że wychodzę za Lomaxa?!

— Chodziły słuchy. Wszak oświadczył ci się nie dalej jak wczoraj rano.

— Zamierzam poślubić kogoś tysiąc razy miłszego niż ten nudziarz George.

— Mam nadzieję — odparł lord Caterham. — Z tym, że ja bym nie ufał twojej ocenie ludzkich charakterów. Niedawno mówiłaś, że ten młody Thesiger jest wesołym próżniakiem, a tymczasem okazuje się, że to najbardziej perfidna kanalia pod słońcem. Szkoda, że nie miałem szansy poznać go osobiście. Noszę się z zamiarem wydania swoich wspomnień i nawet postanowiłem sobie, że poświęcę cały rozdział wszystkim kryminalistom, jakich znałem. Cóż za pech!

— Nie bądź niepoważny, tatku. Wiesz dobrze, że nigdy się za to nie zabierzesz. Jesteś zbyt leniwy.

— Chyba nie myślisz, że będę je pisał własnoręcznie? Tak się już nie robi. Spotkałem ostatnio czarującą młodą damę, która zarabia na życie spisywaniem wspomnień sławnych ludzi. To ona będzie zbierać materiał i redagować całość.

— A ty?

— Będę się z nią spotykał raz dziennie na pół godzinki i opowiadał o swoim życiu. Nic więcej, zaręczam ci. — Po krótkim wahaniu lord Caterham dorzucił: — To miła dziewczyna.

— Wiesz, tatku, mam wrażenie, że jak mnie zabraknie, to popadniesz w nie lada kłopoty.

— I kto to mówi? — odparł lord Caterham z wyższością.

Zamierzał już zniknąć w swoim gabinecie, kiedy nagle coś sobie przypomniał i rzucił przez ramię:

— Ale, ale. Mówiłaś, że wychodzisz za męża. Mogę wiedzieć za kogo?

— Już myślałam, że nigdy nie zapytasz — rzekła Bundle. — Zamierzam się wydać za Billa Eversleigha.

Niepoprawny egoista stał w milczeniu, rozważając wybór córki. Po chwili kiwnął głową usatysfakcjonowany.

— Dobrze się składa — rzucił. — Właśnie szukam partnera do ćwierćfinału w jesiennym pucharze.